

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



ANTONI HRAM

W szponach szantażu

Współczesna powieść sensacyjna

Wydawnictwo „Tower Press”
Gdańsk 2001

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

ROZDZIAŁ I

KOSZMAR CZY RZECZYWISTOŚĆ

Anita nie mogła zasnąć. Od pół godziny leżała z przymkniętymi powiekami, a mimo to sen nie przychodził. Czuła, że ma gorączkę. Odrzuciła jedwabną kołdrę, która zsunąwszy się z łóżka upadła na dywan zaścielający podłogę. Jakiś czas leżała bez ruchu.

Gdzieś z odległych pokoi doleciało dwukrotne uderzenie zegara. – Nie zasnę... – pomyślała, wyciągając po ciemku rękę do lampy stojącej na nocnej szafeczce. Przekreśliła taster i blade, różowe światło zalało przytulną sypialnię. Anita upadła z powrotem na poduszki, z wzrokiem utkwionym w ozdobny, stylowy sufit.

W różowym świetle wydawała się piękniejszą niż zwykle: złote pukle włosów, rozsypanych w nieładzie, otaczały opaloną na brąz, okrągłą twarzyczkę. Duże, koloru morza oczy, ujęte od góry ciemnymi kłamrami brwi, spiętych nad zgrabnym noskiem, błyszcząły w bladym świetle gorączką bezsenności. Delikatna jedwabna tkanina opinała jej ciało od dziewczęcego, będącego w pełni rozkwitu, biustu, aż po klasycznie skrojoną linię bioder.

Jednak i w tej pozycji, jaką przed chwilą przybrała, nie mogła pozostać na dłużej. Dziś, może pierwszy raz w życiu, kiedy znalazła się sama w sypialni, trafiły ją bez przerwy koszmarnie przywidzenia. Jakiś paniczny, nieokreślony bliżej lęk zakradł się do duszy, jakby w przeczuciu czegoś strasznego, co nieuchronnie musi nastąpić. Na próżno starała się zasnąć i przykre kosmary rozproszyć w zapomnieniu. Powracały uparcie...

A przecież dzisiaj powinnam być wesoła... – myślała z niejakim żalem, przypominając sobie, że kilka zaledwie godzin temu stało się to, o czym dawno marzyła: Stefan oficjalnie oświadczył się rodzicom o jej rękę. Został przyjęty, co było zresztą z góry do przewidzenia, gdyż bliższy stosunek, jaki młody inżynier od dłuższego już czasu utrzymywał z Anitą, nie był nikomu obcym, i państwo Childs dawno byli przygotowani na oświadczyzny Ronickiego.

Szczególnie życzliwie został przyjęty przez matkę Anity. Kobieta ta, pochodząc z polskiej rodziny, osiadłej od wielu lat w Stanach, pomimo iż rękę oddała Amerykaninowi, nie przestała tęsknić do swej dalekiej ojczyzny, którą opuściła w pierwszych latach dzieciństwa. Na dźwięk ojczystej mowy, którą niestety coraz rzadziej słyszy się w centrum Chicago, łzy wzruszenia stawały w oczach matki Anity. Nic więc dziwnego, że kiedy jedynaczka przekroczyła wiek, który z podlotka czyli dojrzałą panną, – pani Childs z obawą myślała o tej chwili, kiedy jeden z bogatych Jankesów sięgnie po rękę Anity.

Tymczasem, zrządzeniem losów – jak w myślach powtarzała pani Childs – wielkie zakłady przemysłu chemicznego pod firmą: „Childs et Compagne”, przyjęły młodego inżyniera Polaka na jedną z odpowiedzialnych kierowniczych placówek.

Odtąd Ronicki był gościem w domu Childsów. Dobry fachowiec, a przy tem sumienny i pracowity, potrafił w krótkim czasie zjednać sobie nie tylko uznanie zarządu, lecz jednocześnie ujmował otoczenie taktem i niepoślednią kulturą.

Przede wszystkim jednak młody inżynier opanował serce Anity. Przystojny, wysportowany, a nade wszystko śmiały mężczyzna był wymarzoną jej typem. I wszystkie te zalety Stefan jednoczył w sobie.

Niemal codzienne wycieczki autem w podmiejskie okolice, a wreszcie wakacje, spędzone razem na Florydzie, pogłębiły uczucie, jakie od pierwszej niemal chwili spotkania żywili na wzajem do siebie.

I właśnie tam, na Florydzie, w obliczu falującego bezmiarem wód oceanu, padło to pierwsze, tłumione w głębinach serca, upojne słowo: kocham...

Odtąd, wpatrzeni w siebie, roili świetlaną przyszłość w dalekiej ojczyźnie, którą dziewczyna знаła zaledwie z opowiadań swej matki. Zaraz po ślubie, jachtem Anity udadzą się do Polski, gdzie Stefan obejmie kierownictwo powstającego tam oddziału zakładów Childsa.

I kiedy dziś już Ronicki stał się oficjalnym narzeczonym Anity, zdawało się, że nic już tym dwojgu ludziom nie zabraknie do szczęścia.

Tymczasem... te od kilku dni trapiące ją koszmary...

Wiedziała, że wystarczy nacisnąć guziczek dzwonka, a zjawi się natychmiast jej oddana mulatka, śpiąca w sąsiednim pokoju, a wraz z jej wejściem ulecą przywidzenia. Nie chciała jednak tego czynić, pragnąc wysiłkiem, woli opanować rozedrgane nerwy.

– Będę czytała – postanowiła, sięgając po leżaka na krzesło, w połowie otwartą książkę.

W tym celu wychyliła się nieco z łóżka i... nagle przerażenie sparaliżowało jej członki.

Ujrzała wystającą spod łóżka, nadmiernie owłosioną rękę mężczyzny, zaciskającą w potężnej dłoni jakąś białą tkaninę.

I jeżeli na ten widok Anita nie wydała okrzyku bezgranicznej rozpaczy, to jedynie dlatego, że nie potrafiła w tej chwili zdobyć się na najmniejszy wysiłek. Resztkami mdlejącej świadomości, choć niejasno, zdawała sobie sprawę z tego, co może lada chwila nastąpić. Nie ulegało już żadnej wątpliwości, że ktoś niepostrzeżenie zakradł się do pokoju i przyczaił pod łóżkiem.

Groza położenia była najlepszym bodźcem do odprężenia nerwów dziewczyny. Zdawała sobie już jasno sprawę, że jedynym ratunkiem może być tylko zimna krew i opanowanie. A przede wszystkim nie wolno jej stracić zmysłów.

I mimo że febryczne dreszcze wstrząsał bez przerwy jej ciałem, umysł począł pracować z wyczerpaniem. Przede wszystkim błogosławiła chwilę pierwszej niemocy, dzięki czemu nie mogła wydać nawet okrzyku. W przeciwnym bowiem razie, jak słusznie przypuszczała, byłoby to hasłem dla ukrytego draba, że zastał odkryty, co w prostej konsekwencji przyśpieszyłoby wykonanie jego niecznych zamiarów, których, co prawda, nie rozumiała.

Obecnie więc miała do wyboru dwie drogi, choć żadna nie dawała całkowitej pewności. Albo, zgasiwszy lampę, rzucić się do ucieczki, lub zadzwonić na służbę. To drugie było wprawdzie łatwiejsze do wykonania, wymagało jednak pewnego wychylenia się z łóżka, by dosięgnąć wiszący u lampy guziczek, a wówczas drab mógł łatwo ten manewr zauważyć, a gdyby nawet i nie, to kto wie, czy przed tą ewentualnością nie zabezpieczył się z góry, przecinając biegnące wzdłuż ścian cienkie przewody.

Tę drogę Anita uznała za niebezpieczną. – Raczej pierwsze.. ucieczka... – myślała gorączkowo, wyciągając słuch, wrażliwy teraz na bicie własnego serca.

Leżąc tak usłyszała tuż nad głową delikatny szmer, jakby ktoś ręką otarł się o poduszkę. Wstrzymała oddech, gotując się do ucieczki. Jeszcze raz pełną piersią zaczerpnęła powietrza i... nagle rezygnacja owładnęła nią niepodzielnie.

Doznała jakiejś dziwnej, a zarazem rozkosznej niemocy. Przed chwilą zaledwie tak uparcie skupiane myśli poczęły rwać się na strzępy, by utonąć w przesłodkiej ekstazie zapomnienia...

Teraz już nie boi się ani trochę... Nie chce uciekać... Jest jej dobrze... tak niewypowiedzianie dobrze, a wokół jakieś słodkie, odurzające zapachy... Tamto wszystko jedynie było sennym mamidłem...

I Anita dziwi się, że mogła ulec uczuciu lęku, kiedy tuż obok niej stoi jej Stefan ukochany... Teraz już wie skąd ta upajająca woń kwiatów. To Stefan przyniósł jej ogromny bukiet

białych jaśminów... I rzuca je pękami na jej wpolnagie ciało... Zarzucił ja aż po piersi, które prężą się teraz nadmiarem rozkoszy...

I znów pochylił się nad nią i chłodną dłonią dotyka jej skroni. Jest jej z tym dobrze, tylko czemu te kwiaty tak odurzają?... Musi ich być za dużo... tak, stanowczo za dużo, że trudno nawet oddychać, a Stefan dalej rzuca świeże wiązanki.

Pragnie mu to powiedzieć, lecz woń ją oszałamia i tchu brakuje w piersi.. Na szczęście rzucił ostatni trzymany bukiet. Teraz jej lżej, tylko dalej jest słaba... nie może nawet uśmiechnąć się do niego...

Stefan to widzi i bierze ją na ręce, jak dziecko. Wyraźnie czuje objęcia jego ramion.. A potem ją gdzieś niesie.. Anita poznaje klomby swego ogrodu... I znów kwiaty... kwiaty... Dziewczyna boi się ich upojnej, przesłodkiej woni...

Szczęściem Stefan zakrył jej twarz jakąś tkaniną, a prawie – nagie ciało otula ciepłym pledem...

Jadą autem za miasto. Anita czuje jak maszyna lekko sunie po asfalcie ulicy... Biorą zawrotne wprost tempo. Świst wiatru wdziera się przez małe okienko i szumi piekielnie w uszach... Stefan przytula ją mocniej do siebie i rozpalonymi wargami miążdzy jej usta... W głowie powstaje zamęt... A auto pędzi coraz szybciej... W szalonym pędzie rozwiewają się ostatnie strzępy świadomości.

Stan ten jednak trwa krótko. Anita znów słyszy zajadłe szczekanie motoru i czuje gwałtowny pęd chłodnego powietrza, Wichrzącego złote kędziory włosów, które muskają jej policzki. Stara się skupić myśli, by odgadnąć, gdzie jest i co się z nią dzieje. Próbuje otworzyć oczy, ale ciężące ołowiem powieki nie pozwalają się unieść omdlałym mięśniom. Wreszcie udaje się to o tyle, że poprzez gęstą, firanek rzes Anita może już spojrzeć przed siebie.

Pierwszą myślą, jaka teraz zawibrowała jej w głowie, jest to, że uległa jakiejś halucynacji. Że to nie Stefan siedzi obok, a jakiś obcy, szczupły mężczyzna, o czarnych, błyszczących niezdrowo źrenicach.

Pod wpływem tego odkrycia nagły lęk zakrada się do duszy dziewczyny. Nie może krzyknąć, a tylko stara się powiązać ze sobą leniwie pełznące wśród labiryntów mózgu strzępy ostatnich wspomnień. – Przychodzi to jednak trudno: piekielny zamęt w głowie i ten mdły, aż do nudności zapach w nozdrzach, gardle i ustach, co chwilę przyprawia o omdlenie. Dziewczyna jednak zdaje sobie sprawę z tego, że dzieje się z nią coś niezwyklego. Raz po raz rozchyła powieki i spogląda na swego towarzysza, troskliwie otulającego ją pledem.

– Kto to być może?... – stara się skupić myśli, gdyż jest niemal pewną, że tego człowieka zna dobrze, choć nie może sobie przypomnieć kiedy i gdzie poznała... Wie tylko, że nie jest nim Stefan jej drogi, najdroższy chłopiec...

– Co Stefan na to powie – myśli naiwnie – gdy dowie się, że odbyłam, automobilową przejażdżkę nocą, z obcym mężczyzną i w dodatku w bieliźnie?...

Pod wpływem tej myśli świadomość wróciła jej nagle w całej pełni.

– Stać!... co to znaczy?!... Dokąd mnie pan uwozi?... – wyrzuciła z siebie tych kilka słów, podyktowanych pierwszym odruchem samoobrony, widząc już jasno wiszące nad nią niebezpieczeństwo. – Ratus... – krzyknęła jeszcze, ale w tej samej chwili siedzący obok mężczyzna omotał jej głowę pledem, tłumiąc okrzyki beznadziejnej rozpacz, a w kilka sekund później Anita poczuła na ustach wilgotną odurzającą mdłym, zapachem, chusteczkę.

Szarpnęła się jeszcze raz i drugi, ale omdlałe, bezwładne mięśnie nie były zdolne przeciwstawić się silnym uściskom młodego człowieka.

Tymczasem gęsty, czarny tuman wypełnił źrenice dziewczyny i zgasił do reszty tlejącą iskrę świadomości.

Auto, minawszy ostatnie budowle przedmieścia, sunęło swobodnie szerokim, prostym gościńcem.

ROZDZIAŁ II

STRASZNE ODKRYCIE

Mister Childs codziennie około godziny dziesiątej z rana odwiedzał swoje zakłady, położone na jednym z przemysłowych przedmieść Chicago. Zdarzało się jednak, że wyjeżdżał smacznie wcześniej, wobec czego szofer, piegowaty Tom Kenney, obowiązany był raz na zawsze już od godziny ósmej czekać – przed głównym hallem na swego pana.

Nudę oczekiwania urozmaicał sobie Tom pogawędkami ze starym Johnem, który już od świtania zamiatął alejki parku, otaczającego willę Mr Childsa. Poza tym jeszcze John pełnił funkcję nocnego stróża.

Zwykle, kiedy Tom Kenney po wykonaniu maszyny kilku wiraży „dla wprawy”, jak mawiał, ustawiał wóz przed werandą – zjawiał się John i, wsparty na miotle, rozpoczynał dwugodzinna pogawędkę z Kenney'em.

Tom chętnie słuchał niewyczerpanych opowieści starego, Spędziwszy młodość na statku wielorybniczym, który jak twierdził, opłynął wszystkie morza północne od cieśniny Berynga aż po Wyspy Niedźwiedzie, był John przebogatą skarbnicą niezwykłych przygód.

Opowiadania starego były jeszcze tym ciekawsze, że w głowie Johna, po tylu latach, jakie dzieliły go od awanturniczej młodości, istotnie osobiste przeżycia zlewały się w jedną całość z tym wszystkim, co kiedykolwiek zasłyszał, wędrując po świecie, tworząc jedne, z tak wielu niezapisanych epepei, które jeszcze i dziś można usłyszeć z ust kanadyjskich traperów, lub urągających niebezpieczeństwu poszukiwaczy złota na dalekich, bezkresnych, śnieżnych pustyniach Alaski.

Sprytny Tom, chciwy coraz to nowych opowieści, dopingował starego, wyrażając podziw dla niezwyklej odwagi przedsiębiorczości i energii nieustraszonego Johna, lekceważącego sobie najgroźniejsze niebezpieczeństwa.

Nic więc dziwnego, że kiedy dziś Tom ustawił maszynę na zwykłym miejscu, a stary John nie zjawił się od razu – szofer doznał uczucia niemiłego zawodu.

Było to tym więcej usprawiedliwione, że wedle wywiadu, jaki Tom zdołał już przeprowadzić z przechodzącą przez ogród służącą, Mr Childs nie opuścił jeszcze sypialni. Zostało zatem około dwóch godzin czasu do chwili wyjazdu chlebodawcy, które można było spędzić na pogawędce ze starym gadułą.

– Hej, John! – krzyknął Tom, powstając od kierownicy, by udać się w głąb ogrodu na poszukiwanie starego.

John jednak nie odpowiadał. Szofer przemierzył więc wszystkie parkowe alejki, a widząc, że go tutaj nie znajdzie, skierował kroki w stronę niewielkiej budki, w której John stróżował przy głównej bramie.

Śmiało pchnął małe drzwiczki i... nagle zdumienie zatrzymało go w miejscu. Na podłodze leżał John, skrępowany silnymi oplotami powroza.

Kiedy minęło pierwsze wrażenie, jakie siłą rzeczy musiał wyrzucić tego rodzaju widok, Tom podszedł do leżącego i teraz stwierdził że w otwartych ustach stróża tkwi duży knebel sporządzony na oczekaniu z jakiejś szmaty. Jednym szarpnięciem oswobodził mu zdrętwiałe szczęki i stary otworzył oczy.

– Hej, John!... kto was tak urządził? – krzyczał, potrząsając go za ramiona.

Stary jednak nie mógł zdobyć się na odpowiedź. Na powrót przymknął powieki i sina, narzękała twarz wykrzywiła się bólem.

– Prawda, muszę was najpierw oswobodzić z powrozów – przypomniał sobie i wyjąwszy olbrzymi, składany nóż, porozcinał więzy, po czym powtórnie pochylił się nad omdlałym.

John jęknął tylko, lecz dalej pozostał nieczułym na wszelkie wysiłki szofera, który starał się przyprowadzić starego do przytomności.

Nie mogąc sam nic poradzić, Tom zrezygnował z bezskutecznych zabiegów i pozostawiając omdlałego starca, pobiegł z ta, niezwykłą wieścią, wprost do pałacu.

Mr Childs w pyjamaie wychodził właśnie z sypialni, by udać się do łazienki, gdzie każdego rana brał zimną kąpiel, gdy Kenney wpadł do hallu jak bomba.

– Panie dyrektorze!... John leży skrepowany w stróżówce! – wyrzucił jednym tonem, po czym na powrót popędził w stronę bramy.

– Wariat... – mruknął flegmatyczny Mr Childs, znając zbyt dobrze swojego szofera, który niejednokrotnie już z błahego powodu urządzał fałszywe alarmy. Tym niemniej jednak zarzucił płaszcz na pyjamę i wolno, nie śpiesząc się, ruszył za jego śladem.

Tymczasem. Tom, który zdążył po drodze zacerpnąć trochę wody z sadzawki, zdołał dotrzeć do starego Johna. Wprawdzie chłop nic nie mógł się jeszcze podnieść, doznając ustawicznych zawrotów głowy, jednak patrzył przytomnie i, aczkolwiek z wysiłkiem, odpowiadał na pytania rozgorączkowanego szofera.

Kubek mocnego wina, przyniesionego na polecenie Mr Childsa, postawił Johna na nogi i pozwolił rozwiązać skolczyły od knebla język.

Okazało się, że kiedy stary, dobrze już po północy, obszedłszy dom dokoła, zbliżał się do stróżówki, z bramy wypadło nagle dwóch drabów i rzuciwszy się na nieprzeczuwającego nic złego stróża, obezwładnili go, kneblując mu jednocześnie usta, po czym skrepowanego przenieśli do budki, gdzie wkrótce, dławiony kneblem, stracił przytomność. Wszystko to działo się z tak błyskawiczną szybkością, że John nie zdołał nawet zaobserwować sylwetek napastników.

Wypadek ten zaintrygował Mr Childsa Nie mógł przypuszczać, by w grę tu wchodziły jakieś porachunki osobiste, gdyż stary John, o czym wszyscy wiedzieli, prowadził życie spokojne i odosobnione, a zresztą, napastnicy obezwładniając go jedynie, nie wyrządzili mu zasadniczo wielkiej krzywdy. Pozostawało więc tylko domyśleć się, że planowano bandycki napad na mieszkanie przemysłowca, co, jeśli nie doszło do skutku, to prawdopodobnie z jakichś nieprzewidzianych przeszkód.

Snując tego rodzaju przypuszczenia, Mr Childs wracał powoli do domu. Był mocno zaniepokojony i postanowił natychmiast zatelefonować do jednego z najlepszych detektywów, któremu pragnął powierzyć rozwikłanie tej, bądź co bądź, niezwyklej zagadki. Przypadkowo wzrok jego padł na lewe skrzydło budynku, gdzie znajdowała się sypialnia Anity. Wiedziony jakimś przecuciem, nie skręcił na główne schody, wiodące do hallu, lecz przyspieszywszy kroku, udał się w tamtą stronę. Znalazłszy się pod oknem córki stanął jak wryty i nagle uczucie lęku wstrząsnęło nim do głębi.

Zauważył bowiem na ziemi odłamki szkła z rozbitej szyby i podeptane rośliny, tworzące w tym miejscu wspianiały kwietnik.

Pełen najgorszych przeczuć powrócił momentalnie i poprzez hall pobiegł do pokoju Anity.

Nie pukając nacisnął klamkę, obrzucając nerwowym spojrzeniem cały pokój.

Anity jednak nie było.

– Może zdążyła już wyjść – pomyślał bez przekonania, gdy wzrok jego padł na leżącą na stoliku kopertę. Podbiegł i chwycił list w drżące ze wzruszenia dłonie.

„Tylko do własnych rąk Mr Childsa” – odczytał adres, po czym jednym szarpnięciem rozerwał kopertę, z której wysunęła się biała kartka papieru, zapisanego ołówkiem.

Treść listu brzmiała:

„Córka pańska, Anita, została uprowadzona i jest ukryta w bezpiecznym miejscu, gdzie jej nie tylko pan, ale cała „zdolna” policja Stanów odnaleźć nie zdoła. Odzyskać może ją pan jedynie za sumę stu tysięcy dolarów, które muszą być mi wpłacone bezzwłocznie, z zachowaniem następujących okoliczności:

Pan, lub upoważniony do tego człowiek, zaopatrzony w gotówkę (czek wykluczony) musi pojutrze udać się do miejscowości Nevland, odległej od Chicago o bliska dwadzieścia mil drogi w kierunku na St. Louis. Dochodząc do mostu kolejowego, należy skręcić na prawo, i uszedłszy milę z biegiem rzeki, zatrzymać się nad brzegiem pierwszego napotkanego po drodze jeziora. Tam będzie oczekiwał mój upoważniony wysłannik, który wylegitymuje się okazaniem pierścionka, jaki Anita miała tej nocy na palcu. Po uiszczeniu okupu, pańska córka w ciągu dwóch dni powróci do domu.

Pragnę jednak zaznaczyć, że jest to jedyna dla pana droga. Na wypadek odrzucenia mojej propozycji, lub powiadomienia policji, Anita zostanie sprzedana handlarzom żywym towarem, na co, jak śmiem przypuszczać, nigdy pan nie pozwoli. Jednocześnie pośpieszam ostrzec, aby nie pokusił się pan o urządzenie zasadzki na mego wysłannika, gdyż człowiek, jakiego do tego celu wybrałem, nie jest wtajemniczony w żadne szczegóły, które pozwoliłyby mnie skompromitować, a panu odzyskać córkę.

Spodziewam się więc, że kochający ojciec, biorąc pod uwagę wszystkie wyżej przytoczone argumenty, zechce zastosować się ściśle do moich wskazówek z pożytkiem dla mnie i dla siebie.

Wyrażając na tym miejscu moje głębokie współczucie, pozostaje z należnym szacunkiem
Kameleon.

P. S.

Mr Johna zechce pan w moim imieniu przeprosić za tę niewielką przykrość, jaką dla dobra sprawy zmuszony byłem mu wyrządzić.”

Ostatnie wyrazy Childs widział już tylko jak przez mgłę. Wypuścił list z drżących dłoni i błędnym wzrokiem rozejrzał się po pokoju. Jeszcze przez chwilę zdawało mu się to wszystko jedynie snem upiornym. Lecz kiedy raz i drugi przecierał oczy, a straszny list nie znikał, uwierzył w swoje nieszczęście i z wściekłym rykiem rozpaczy rzucił się na łóżko Anity.

Na jego krzyk wbiegła do pokoju smągła mulatka, pokojówka Anity.

– Co się stało?!... Gdzie miss Anita?!... – wykrztusiła blednąc, śmiertelnie przerażonym, obłądnym wzrokiem spojrziała na Mr Childsa, wijącego się w rozpaczy na łóżku swej jedy-naczki.

Ale Mr Childs, choć chwilowo uległ przyływowi niemęskiej rozpaczy, był jednak w gruncie rzeczy człowiekiem silnego charakteru. Zjawienie się pokojówki podziało na niego jak zetknięcie dwóch przeciwnych biegunów elektrycznych, wyładowując w jednej chwili pierwszy odruch rozpaczy, jakiej uległ pod wpływem tego strasznego odkrycia.

– O tym nie może nikt wiedzieć – zawibrowała mu w rozgorączkowanym mózgu myśl, gdyż znając aż nazbyt dobrze potężny świat gangsterów i nieudolność policji, zdawał sobie wyraźnie sprawę, że jedynym ratunkiem może tu być wyłącznie podporządkowanie się woli zbrodniarzy. A w tym wypadku cała afera musi pozostać w tajemnicy.

Nadmiernym wysiłkiem woli opanował się w jednej chwili.

– Nic się nie stało... Miss Anita wyjechała na kilka dni, pozostawiając mi list, który sprawił mi trochę przykrości... Proszę nie wspominać o tym nikomu... – wykrztusił tych kilka zdań, po czym szybko, jakby w obawie, że nie potrafi dłużej zapanować nad sobą, opuścił sypialnię swej córki, pozostawiając oszołomioną, zdezorientowaną, pokojówkę.

Lecz kiedy przebrzmiały odgłosy ciężkich stąpań Mr Childsa, mulatka powoli przycho-dziła do siebie. Przebiegła kobieca natura kazała jej domyślać się, że zaszło tu coś więcej nad

to, co usłyszała z ust swego chlebowodawcy, inaczej bowiem nie potrafiła sobie wytłumaczyć bezgranicznej rozpacz, w jakiej zastała tutaj ojca Anity.

Kobieta jeszcze raz byстрыm spojrzeniem omiotła cały pokój, dłużej spoczęła wzrokiem na rozrzuconym w nieładzie posłaniu, zlustrowała szeroko otwarte okno, na którym wyraźnie widniały ślady dużych stop męskiego obuwia i, zda się, zrozumiała wszystko...

Ale odziedziczona po dzikich przodkach natura mulatki daleką była, pomimo psiego wprost przywiązania do Anity, od bezsilnej rozpacz, w jaką, z lada powodu popadają białe kobiety. W jej ciemnych, stalowych oczach, miast przerażenia, zamigotały jakieś zagadkowe, chytne przebłyski. Stojąc nieruchomo w miejscu, urywanymi wdechami wciągnęła w płuca powietrze w ten sani sposób, jak to do dziś dnia czynią jej odlegli współbracia, wężący dym dalekich koczowisk, lub swąd zaszytego w ciemnych gęstwinach dżungli dzikiego zwierza.

– Tu był on... – rzekła po chwili, upewniwszy się, że nie mylą ją przypuszczenia i szeroki uśmiech zadowolenia z tego odkrycia rozplynał się po jej smagłej, powiędłej już nieco twarzy.

ROZDZIAŁ III

W SZPONACH KAMELEONA

Anita poczuła chłód na twarzy, jakby ktoś mokrą chustką rozcierał jej skronie. Z wysiłkiem uniosła powieki i ujrzała tuż nad sobą twarz starej kobiety o odpychającym wyglądzie.

– No, przecież się obudziłaś... – odezwała się stara, ukazując w uśmiechu zadowolenia dwie pary pokrzywionych, żółtych zębów. – A myślałam, że nie obejdzie się bez zastrzyku... – dodała, nie przestając nacierać dziewczyny zimną wodą.

– Teraz poleż spokojnie, a ja ci przygotuję coś takiego, że zaraz wstaniesz na nogi – rzekła w końcu, widząc, że dziewczyna przyszła już do siebie i patrzy zupełnie przytomnie. Jeszcze raz prysnęła Anicie w twarz zimną wodą i bezszelestnie zniknęła jej z pola widzenia.

Dziewczyna uniosła nieco głowę i rozejrzała się dookoła. Na pierwszy rzut oka stwierdziła, że znajduje się w jakiejś niewielkiej ubikacji, wyglądającej na piwnicę, na co wskazywało łukowate sklepienie z cegieł, nietynkowane ściany i zupełny brak okien. Jedyнным oświetleniem piwnicy była mata elektryczna żarówka, zawieszona na środku sufitu. Nie było tu żadnych sprzętów, za wyjątkiem zbitego z desek tapczanu, na którym leżała i dużej drewnianej skrzyni, stojącej pod przeciwległą ścianą.

– Gdzie ja jestem?... – pomyślała dziewczyna prawie głośno, siadając na twardym posłaniu. Na próżno jednak starała się zebrać myśli. Piekielny szum w głowie i ustawiczny brak tchu, nie pozwalały na większy myślowy wysiłek. Upadła z powrotem na posłanie i apatycznym wzrokiem spoczęła na wilgotnych ceglach sklepienia.

Leżąc tak posłyszała nagle szmer dochodzący ze skrzyni, którą przed chwilą zauważyła. Spojrzała w tamtą stronę z lęklwym oczekiwaniem. Nagle potężne wieko skrzyni zadrgało i powoli poczęło się podnosić. Z wnętrza wysunęła się ta sama odrażająca kobieta, która przed kilkunastu minutami cuciała Anitę. Zaledwie jednak wiedźma, jak ją dziewczyna nazwała od pierwszego wejrzenia, wygramoliła się z wysokiej skrzyni, ukazał się za nią jakiś otyły mężczyzna.

Dziewczyna przerażonym wzrokiem śledziła ruchy tych dwojga ludzi, od których, jak przeczuwała, nie mogła się spodziewać nic dobrego.

Kobieta postawiła na ziemi jakiś garnek, po czym podeszła do stojącego obok tapczanu mężczyzny, który pilnie przyglądał się Anicie.

– Słuchaj, Bill – rzekła ochryplym głosem – jej tu trzymać nie można. Franck dał jej trochę za dużo chloroformu... Trzeba żeby dziewczyna miała świeże powietrze...

– Głupia jesteś!... he, he, he... – zaśmiał się Bill, wsuwając ręce w kieszenie szerokich spodni. – Mówiłem ci, że to nie „towar”, który trzeba trzymać w dobrym fasonie, bo inaczej nie osiągniesz nawet kosztów „produkcji”, ale zastaw, a to jest co innego. Mr Childs zapłaci, choćby cię z niej pozostał.

– A jeśli nam nie zaufa i trzeba ją będzie sprzedać któż wtedy kupi dziewczynę, co ledwie włóczy nogami? – zauważyła przezornie.

– He, he, he!... – zarechotał drab na całe gardło, aż Anita zadrżała mimo woli. – A któż ci, jędzo, powiedział, że Childs nie da wykupu?! – spoważniał nagle, obrzucając kobietę ponurym spojrzeniem.

– Nikt mi nie mówił, ale może się zdarzyć – odparła, wytrzymując spojrzenie swego rozmówcy.

– Głupstwa pleciesz... – mruknął pod nosem, zbity nieco z tropu wątpliwościami, jakie tamta nasunęła. – A zresztą nie nasza w tym głowa: stary sam wie najlepiej, jak należy postąpić.

– Właśnie o to mi chodzi – podjęła wiedźma skwapliwie – że stary wie co zrobić... Masz rację, Bill. Mądry chłop z ciebie, tylko za bardzo uczciwy – schlebiła mu, mrużąc dwuznacznie powieki i ukazując w uśmiechu resztki spróchniałych zębów.

– Co chcesz przez to powiedzieć – zapytał z udaną obojętnością, choć w głosie jego łatwo było wyczuć nutę zaciekawienia.

– Nie mogę ci o tym mówić przy niej – wskazała na leżącą Anitę.

– To chodź do izby – rzekł Bill, nie ukrywając już dłużej zaaferowania, o jakie przyprawiła go stara Agata.

Kobieta skinęła głową przytakująco i w chwilę później obydwójce zniknęli pod wiekiem skrzyni, skąd, poprzez labirynt podziemnych przejść, prowadziła droga do małej farmy Billa Monktona.

Idąc przodem i przyświecając sobie elektryczną latarką. Bill rozmyślał nad dwuznacznym powiedzeniem swej przyjaciółki, z której zdaniem zwykł był się liczyć, odkąd przekonał się niejednokrotnie, że Agata odznacza się nieprzeciętnym sprytem i zdolnością zamierzeń, co z dawna zjednało jej, niepoehlebne zresztą, miano czarownicy. Każdy dobry interes potrafiła wyczuć w właściwą porę i nakreślić plan wykonania śmiałego nieraz przedsięwzięcia, a tym bardziej zabezpieczyć tyle przed niespodziewaną „wspą”.

Z tej strony Bill znał ją dobrze. Razem przez wiele lat za czasów „błogosławionej” prohibicji prowadzili transporty alkoholu z odległych, przygodnych portów w głąb łądu, prześlizgując się nieopatrzenie między kordonem policji i wywiadowców, a zawsze marszrutę nakreślała Agata, umiejająca nawet w czasie niebezpieczeństwa celnie odstrzeliwać się z pędzącego samochodu.

Ale wtedy jeszcze prowadzili interesy na własną rękę; dopiero wszechwładny kryzys, zniesienie prohibicji i do najwyższych granic posunięta konkurencja w podziemnym świecie chicagowskich gangsterów, podcięły egzystencję bandy Billa, której anonimowym hersztem była stara Agata.

Na szczęście w tym krytycznym momencie Bill przypadkowo natknął się na jednego z dawnych klientów z dawnej szajki. Ludwika Bluma, młodego, inteligentnego żydziaka, którego świetny humor, dobra prezentacja, a przede wszystkim grubo nabity portfel, świadczyły, że sprytny ten chłopak zdołał chwycić w ręce mimo kryzysu, jakiś dobry interes.

Pragnąc zgłębić tajemnicę powodzenia dawnego współpracownika, Bill gwałtem niemal zaciągnął go na swoją farmę i tu przy szklance whisky jął rozpytywać Bluma o interesy, co chwila powołując się na dawną przyjaźń, która w rzeczywistości ograniczała się jedynie do zwykłej znajomości ludzi zajętych w jednej firmie i wykonujących zbliżone do siebie czynności.

Jednak Ludwik Blum nie miał zamiaru, bowiem nie miał potrzeby ukrywać przed Billem tego, co zdecydowało o jego fortunie, która z dnia na dzień się powiększała. Po prostu oświadczył swemu natrętnemu interlokutorowi, że pracuje w firmie Kameleona.

To nazwisko czy pseudonim nie było obcym Monktonowi. Bill wiedział, że ów Kameleon, którego tajemnicy nie zgłębił dotąd żaden z chicagowskich gangsterów, choć od kilku miesięcy podawano sobie to zagadkowe imię z ust do ust po wszystkich spelunkach i domach nocnych schadzek, stoi na czele dobrze zakonspirowanej bandy szantażystów, trudniących się

porywaniem dzieci bogatych przemysłowców, w celach uzyskania pokąźnego okupu. Nikt jednak ze znajomych Monktonowi gangsterów nie miał szczęścia zetknąć się z nim osobiście, a tym więcej powiedzieć coś konkretnego o osobie tego tajemniczego, będącego postrachem chicagowskich finansistów człowieka.

Przewidujący Ludwik Blum nie zawiódł się w swych przypuszczeniach. Bill bez wstępów i chytrego podchodzenia, do czego nie był zdolny, zaproponował tamtemu swoją, współpracę.

Ludwik krzywił się, ociągał, zadał kilku dni zwłoki, ale wreszcie stało na tym, że Monkton, zapłaciwszy Blumowi niewiarygodnie wysokie „wkupne”, dostał „posadę” w „firmie” Kameleona.

Gdyby jednak naiwny Bill wiedział wówczas, jak wiele Ludwikowi zależało na pozyskaniu sobie jego, Billa Monktona, na pewno nie tylko nie pozwoliłby się naciągnąć na wygórowane wkupne, ale przeciwnie, zażądałby nie mniejszego akonta. Bowiem tajemniczy szef bandy szantażystów potrzebował jakiejś dobrze zakonspirowanej kryjówki, niezbyt zresztą odległej od centrum, która służyłaby za chwilowe lokum dla porywanych ofiar. A właśnie niewielka, ustronnie położona na przedmieściu Chicago farma Monktona odpowiadała w zupełności wymogom w tym kierunku.

Po sporządzeniu umowy. Bill pod fachowym kierunkiem Bluma zainstalował potrzebne urządzenia alarmowe, zamaskował wejścia do piwnic, zamienionych teraz na cele, oraz zorganizował „służbę bezpieczeństwa”, na której czele stała chytra Agata, mająca być jednocześnie „samarytanką” przyszłych niewolnic.

W kilka dni później, kiedy farma Monktona była gotowa do użytku, zjechał osobiście na lustrację sam szef, groźny, tajemniczy Kameleon.

Monkton z bijącym niespokojnie sercem przeprowadził go poprzez labirynt podziemnych krużganków, pokazał cele, objaśnił sposób działania urządzeń alarmowych, z niepokojem śledząc zagadkowy uśmiech, nie schodzący z twarzy groźnego szefa.

Był to jednak uśmiech zadowolenia, bowiem w jakiś czas później, kiedy obydwaj znaleźli się z powrotem w obszernej, starannie uprzątniętej na przyjęcie niecodziennego gościa, izbie – Kameleon poklepał Billa po ramieniu, rzucając mu protekcyjnie kilka pochlebstw i... banknot studolarowy, jako zadatek na przyszłe bajońskie sumy, jakie miał otrzymywać za pracę dla firmy Kameleona.

Ale już wówczas, po odejździe szefa, beztroski humor, w jaki popadł Bill pod wpływem tak obiecująco zarysowującej się kariery, zmroziła stara Agata.

Bowiem ta chytra, przebiegła kobieta, obserwując pilnie zachowanie się, ton i żywo grającą, muskulaturę twarzy nowego szefa, nie uroniła nic z tego, co mogło wskazywać na to, że ów tajemniczy jegomość dalekim jest od urzeczywistnienia, swoich ponętnych obiecanek.

Późniejsze doświadczenie przekonało Monktona, jak wiele racji miała jego wypróbowana towarzyszka. Bill na podstawie rozkazów Kameleona, dostarczanych mu za pośrednictwem Ludwika Bluma, dokonywał śmiałych, niebezpiecznych wypadów na rozległe plaże Ontario, uprowadzając upatrzone sportsmenki, zwabione przez Bluma w ustronne miejsce, lub wprost z niedostępnych na pozór, buduarów porywał żony bogatych przemysłowców, narażając się na każdym kroku na niechybną śmierć, lub dożywotnie więzienie. Wynagrodzenie natomiast, jakie otrzymywał za swą pracę, było w rażącej sprzeczności z obietnicami, danymi mu przez szefa.

Nic więc dziwnego, że w duszy Billa Monktona coraz częściej powstawał odruch buntu, w porę i umiejętnie podsycany przez starą Agatę.

Tak samo było i dzisiaj: Bill znając możliwości finansowe starego Childsa, ani chwili nie wątpił, że Kameleon łatwo uzyska żadaną, sumę okupu, o jemu przypadnie zaledwie tysiącdolarowy ochłap, którym musi podzielić się z Agatą, i pokryć koszty, związane z transportem „towaru” na farmę. I właśnie przewidująca wszystko Agata w chwili tego rodzaju refleksji podrażniła jego ambicję w tym kierunku. Jednym, pozornie niedomówionym zdaniem roz-

budziła w duszy gangstera pragnienie posiadania tej całej sumy, jaką wyznaczono Childsowi do zapłacenia za zwrócenie Anity.

Ale tępy, ociężały umysł Monktona nie był w stanie odszukać wiodącej do tego celu drogi. Obcą mu była treść pozostawionego w pokoju Anity, listu, w którym zawarte były: wszystkie warunki i wskazania, jakie należało zachować w czasie wymiany, a to śmiałą myśl Billa komplikowało niepomrotnie. Wprawdzie to wszystko znał Ludwik Blum, ale od niego niełatwo było cośkolwiek w tej mierze wydobyć; z drugiej znów strony w umyśle inteligentnego, bystrego żydziaka mogłoby się zrodzić podejrzenie.

Nie mogąc się uporać z napadającymi wątpliwościami postanowił zasięgnąć rady Agaty.

I kiedy opuściwszy podziemia znaleźli się w obszernej izbie – Bill bez skrupułów podzielił się swymi myślami ze starą kobietą.

– Nareszcie zmądrzałeś chłopcze – rzekła stara skrzeczącym głosem i jej pomarszczona, odrażająca twarz wykrzywiła się uśmiechem zadowolenia.

— Dawno ci to mówiłam, – ciągnęła dalej – że szczęście masz do interesów tylko nie umiesz go w porę za łeb uchwycić, a przez to inni żerują, na twojej ucziwości...

– Ale z tym nie tak łatwo – przerwał Bill, pragnąc wyłuszczyć wszystkie przeszkody, piętrzące się na drodze do zrealizowania śmiałych zamierzeń.

– Zdaj to na moją głowę – nie pozwoliła mu dokończyć. – Przekonałeś się nieraz, że zawsze potrafisz znaleźć potrzebne wyjście z najtrudniejszych opresyj...

Monkton odetchnął z wyraźną ulgą. Jego niezachwiana wiara w przedsiębiorczość, a przede wszystkim w jakieś wyższe siły, którymi, jego zdaniem, rozporządzała ta stara pomimo tylu lat znajomości zawsze dla niego zagadkowa kobieta, kazała mu się spodziewać, że i w danym wypadku Agata znajdzie właściwe rozwiązanie.

– Nie się nie martw, mój chłopcze, bo kiedy twoja Agata zabierze się do dzieła, nie pozostanie ci nic innego, jak tylko przyszykować bezpieczną, skrytkę na kupę banknotów... Ale za to musisz mnie pocałować... pieniędzy nie potrzebuję... – szturchnęła go w bok i zaskrzeczała śmiechem, szczerząc do Billa resztki spróchniałych zębów.

ROZDZIAŁ IV

MISTER SAMUEL SPENZER

Mister Samuel Spenser adwokat, posiadający swą kancelarię przy jednej z główniejszych ulic Chicago, jaką jest Milwaukee Avenue, załatwił bieżącą korespondencję i powstał od biurka, aby udać się na zasłużony spoczynek. Nim jednak zdążył opuścić luksusowo urządzone gabinet, posłyszał dzwonek w przedpokoju, a w chwilę później służący oznajmił mu przybycie inżyniera Stefana Ronickiego.

Samuela Spenzera bynajmniej nie zdziwiła ta spóźniona wizyta, a przeciwnie, po jego okrągłej, nalanej nieco twarzy przewinął się na moment jakiś zagadkowy uśmiezek, świadczący o wewnętrznym zadowoleniu.

– Prosić! – rzucił służącemu, sprzątając z biurka papiery, po czym ruszył w stronę drzwi, którymi miał wejść inżynier Ronicki.

– Kochany pan Stefan!.. jakże się cieszę... – mówił po chwili, ściskając wylewnie dłoń spóźnionego gościa. – Ale co z panem jest, panie Stefanie?... – zapytał teraz, spostrzegłszy wyraźnie malujące się na twarzy Ronickiego cierpienie. – Co panu jest?... – powtórzył z niepokojem, badawczo spoglądając mu w oczy.

Ronicki opanował się w jednej chwili, maskując zewnętrzne objawy cierpienia, jakie rozsadzało mu piersi.

– Przychodzę po radę do pana... Stało się nieszczęście... straszne nieszczęście... – rzekł i ciężko zagłębił się w fotelu.

Mister Spenser zrobił minę człowieka przerażonego. – Co takiego?... Mów pan, na Boga!... Upadłość... krach na giełdzie? bankructwo firmy? – wyrzucił tych kilka pytań jednym tchem prawie, świdrując swego rozmówcę niespokojnym, pełnym zaciekawienia, spojrzeniem.

Ronicki uśmiechnął się z jakąś szatańską, zjadliwością. – Dla was, ludzi Nowego Świata – rzekł, cedząc wyrazy – największym nieszczęściem może być tylko zachwianie się interesów...

– Więc co?!... – niecierpliwosć Spenzera osiągnęła punkt kulminacyjny.

– Porwano miss Anitę...

– Co?!.. jak?!... Gdzie?!... Kiedy?!... – oburzenie adwokata nie miało granic.

– Mniejsza o to gdzie, kiedy... – odparł Ronicki z udanym spokojem. – W tej chwili aktualną jest tylko sprawa wyrwania jej z rąk zbrodniarzy.

– Istotnie... – zgodził się Spenser.

– Zbrodniarze pozostawili list. – mówił dalej Ronicki – w którym żądają sto tysięcy okupu, przestrzegając starego Childsa, aby nie ważył się oddawać sprawy w ręce policji. Rozumie pan, że nie chodzi tu absolutnie o pieniądze, które gotowiśmy w każdej chwili wypłacić, lecz o to czy można zaufać tego rodzaju ludziom...

– Hmm – mruknął Spenser, dając tym samym poznać ze sprawę należy wszechstronnie rozważyć.

– Proszę nie liczyć się z kosztami, gdyby korzystnym było przekazać całą sprawę któremuś z najlepszych detektywów. Płacimy każdą sumę... – rzekł Stefan, pragnąc w ten sposób ułatwić adwokatowi to rozważanie.

– Moim zdaniem należy przyjąć przedstawione warunki – zaopiniował Spenser po krótkim namyśle. – Nie możemy się bowiem łudzić, że najlepszy nawet detektyw zdoła czegoś dokonać bez poparcia policji, a na tę ostatnią nie możemy liczyć. Jeżeli nawet, co prawda ze świecą w rękę, możemy odnaleźć w całym olbrzymim mieście kilku komisarzy policji nie współdziałających z gangsterami, to ci ostatni niezbyt chętnie przyłożą ręce do zlikwidowania potężnej szajki, jaką niewątpliwie stanowią, tego rodzaju szantażyści. Ryzyko olbrzymie, a korzyść bardzo problematyczna... – dodał i pytającym spojrzeniem zawisnął na zmienionej twarzy swego rozmówcy.

– Ale czy można im wierzyć?... – powtórzył jeszcze raz swoje pytanie Ronicki.

– Sądzę, że tak – odparł Spenser, już teraz bez wahania. – Ci ludzie z tego żyją i wiedzą dobrze, że jeśli jeden raz tylko nie dotrzymają przyrzeczenia, tracą zaufanie raz na zawsze.

Spokój, z jakim adwokat wymówił te ostatnie słowa i tkwiąca w nich obojętność wobec tej potwornej rzeczywistości, niemile uderzały młodego człowieka. Kładł to jednak na karb zawodu, jakiemu oddawał się Mr Samuel Spenser.

– Adwokaci posiadają swoistą etykę – rozmyślał – która za pieniądze nakazuje im wybierać najpotworniejsze zbrodnie, hub błahe przewinienia wyolbrzymiać do miary zbrodni, zależnie od tego, która strona ich angażuje.

Mr Spensera Ronicki znał dotąd tylko jako wytwornego, pełnego dystynkcji, człowieka, którego dość często spotykał w domu Childsów, gdyż jako prawny doradca firmy, Samuel miał tam wstęp zawsze otwarty. Natomiast dziś po raz pierwszy widział w nim sądowego obrońcę.

– Więc radzi pan mecenas uścić bezzwłocznie okup i nie zawiadamiać organów policyjnych... – raczej stwierdził niż spytał Ronicki, podnosząc się z fotelu.

– Bezwzględnie! – odparł Spenser. – Przykre to, ale niestety, żyjemy w tak barbarzyńskich czasach, że bezprawie i zbrodnie silniejsze są od całych piramid ustaw i ich nieudolnych wykonawców. Życie jest życiem, panie Stefanie – dodał adwokat, ściskając dłoń Ronickiego na pożegnanie. – Szczerze współczuję... szczerze... i co tylko będzie w mej mocy, nie omieszkam uczynić dla pana... – skłonił się i odprowadziwszy gościa do hallu, nie wracał do gabinetu dotąd, aż warkot auta Ronickiego skonał gdzieś na zakręcie ulicy.

– To się nazywa umieć chodzić koło swych interesów – rzekł wreszcie półgłosem, wracając do gabinetu. – Zajmować dobrze płatną posadę u Childsa, uprowadzić mu córkę, mieć w perspektywie pewnych sto tysięcy dolarów i jeszcze zostać pierwszym doradcą, który swą „cenną” radą ma przyczynić się do wyrwania Anity z rąk zbrodniarzy... He, he, he!... – zarechotał na całe gardło, układając się na wygodnej, nakrytej wzorzystym dywanem, kozetce. – Na to trzeba mieć szczęście doktora Leona Bauma, a spryt i przedsiębiorczość Józefa Zilbermana, by razem tworzyć uniwersalny typ międzynarodowego przestępcy – Kameleona... – dodał, przymykając powieki i zaciągając się kłębem, wonnego dymu.

– Mimo wszystko trzeba uważać – dodał po chwili, przypominając sobie, jak niedawno, zdawałoby się nieuchronnie wisiało nad niań ostrze sprawiedliwości.

– Było to w Gdańsku – począł odgrzebywać obrazy tak bliskich jeszcze wydarzeń. – Zajmował się wówczas handlem żywym towarem. Interes prosperował znakomicie, gdyż Józef Zilberman, zamordowawszy słynnego psychiatrę, doktora Leona Bauma, zawładnął jego nazwiskiem i, co ważniejsze luksusowym sanatorium dla chorych nerwowo kobiet, które przyjmowane oficjalnie na przepisową półroczną kurację – nieoficjalnie odjeżdżały pod pokładem ściętego „Posejdona” do Argentyny, by podzielić haniebny los tysięcy swych poprzedniczek. Interes szedł dobrze, ale w ostatniej chwili nastąpiła nieoczekiwana wprost katastrofa. On, Józef Zilberman, nieuchwytny dotąd, owiany już niesamowitą legendą wszechmożliwości, wpadł w ręce polskiej policji kryminalnej. I zdawało się, że nie ma wyjścia z tej nad wyraz ciężkiej opresji. Kordon policji, niezbite dowody wszystkich spełnionych dotąd zbrodni, niczym złowrogi pierścień owinęły się dokoła osoby nieuchwytnego dotąd Kameleona. I tu

(Zilberman z uczuciem wstydu przypomniał sobie teraz te chwile) przesławny, nieustraszony Kameleon zatracił wiarę w swoją szczęśliwą gwiazdę i po raz pierwszy jego ciałem zatargał febryczny dreszcz lęku.

Widząc się osaczonym, postanowił na zawsze przeciąć kres swego życia, pełnego występku i zbrodni. Pokonując całą siłą woli odruchy samozachowawczego instynktu, wyjął z kieszeni kamizelki małą, niepozorną pigułkę cjankali i połknął ją szybciej, niżli to mogli zauważyć siedzący na przeciw urzędnicy wydziału śledczego. Ale dopiero teraz, kiedy poczuł charakterystyczny posmak tej strasznej trucizny i w ułamek sekundy później doznał gwałtownych skurczów wszystkich mięśni i duszność, zapierającą mu oddech, obudziło się w nim nadspodziewane nieopanowane uczucie lęku przed śmiercią. Spontaniczna, nieokiełzana chęć życia, choćby w najgorszych warunkach, okazała się teraz silniejsza od nakazów chłodnego, wyrachowanego rozsądku. W ślad za tym zrodził się w drętwiejącym już mózgu Zilbermana nazybyt śmiały, jak na obecne warunki, plan działania: upozorować śmierć, już bez tego zagładającą mu w oczy ciemną, przerażającą głębią oczodołów.

– Jeszcze czas... jeszcze pora zneutralizować truciznę... – przebiegła mu błyskawica myśli, a w ślad za nią drżąca dłoń Zilbermana sięgnęła jeszcze raz do kieszonki kamizelki i wrzuciła w gwałtownym skurczem rozwarłe usta, drugą pigułkę. Lecz tym razem nie była to już pastylka cjankali, a niedawno odkryty, mało jeszcze znany związek siarki z wodorem, posiadający własności momentalnego zobojętnienia cjanku potasu.

Niedoszły samobójca wkrótce doświadczył cudownych wprost własności działania tego jedyne w tej mierze, odczynnika. Odrętwienie, duszność i okropne zawroty głowy, wszystko to ustąpiło momentalnie, sprowadzając tym samym rozkoszne uczucie jakby odrodzenia.

Jednakże chytry, przebiegły Zilberman nie wypadł z roli, jaką w tak realistyczny sposób zapoczątkował. Te wszystkie objawy, które zaczęły występować w pierwszych chwilach działania trucizny, starał się utrzymać nadal, a nawet spotęgować. Wytrzeszczył szeroko oczy, grube, nabrzmiące wargi obficie zrosił pieniącą śliną, a z krtani wydobył świetnie udane rżenie. Jakiś czas rzucał się w febrycznym dreszczu, drapiąc zakrzywionymi kurczowo palcami poręcz krzesła, aż wreszcie, tracąc równowagę, runął na ziemię.

Wszystko to zostało zagrane wprost po mistrzowsku. Świadkowie tego co zaszło, patrząc teraz na nieruchome ciało Zilbermana, byli wprost święcie przekonani, że zbrodniarz popełnił samobójstwo. Pierwszy oprzytomniał stary komisarz Młotocki, prowadzący śledztwo w tej całej potwornej aferze. Bez chwili namysłu rzucił się do drzwi, by przywołać okrętowego lekarza. Za nim podażyła reszta osób, obecnych dotąd w kajucie.

Tego momentu czekał tylko Józef Zilberman, vel doktor Leon Baum. Zerwał się szybko i popędził ich śladem. Gdy znalazł się na pokładzie, w przelocie zerwał jeden z wiszących pod szalupami pasów ratunkowych i bez namysłu, niedostrzeżony przez nikogo wśród, mroków nocy, rzucił się w lekko rozkołysane fale morza.

Teraz począł z nadludzkim wysiłkiem wiosłować rękoma, by jak najdalej znaleźć się od okrętu, spodziewając się, że potężna smuga reflektora przemierzy rozchybotane fale i rozproszy ostatnią nadzieję ratunku.

Obawy te jednak okazały się płonne. Widocznie nikt nie przypuszczał, aby omdlały, jak sądzono, więzień miał tyle siły i odwagi, by rzucić się prosto w morze, lecz przypuszczano, że schronił się gdzieś blisko kajuty, gdyż nie zapalono żadnego z reflektorów, a statek, nie zwalnając, pruł dalej rozkołysane fale i wkrótce rozpląnął się w pomroce, pozostawiając samotnego człowieka na pastwę potężnego wodnego żywiołu.

Zbieg odetchnął z wyraźną ulgą. I choć po pierwszym nadludzkim wprost wysiłku siły opuściły go prawie zupełnie, nie obawiał się już niczego. Wiedział, że duży pas ratunkowy utrzyma go na powierzchni, a względnie spokojne morze i błyszczące w niewielkiej odległości światelka wybrzeża, pozwolą mu znaleźć właściwy kierunek i wylądować bezpiecznie.

Jakoż w niespełna trzy godziny później, gdy blada jeszcze zorza rozjaśniła horyzont i pierwsze świetliste pyłki poczęły rozpraszać ciemności nocy i igrać tysiącem barw na granatowym ekranie zatoki – Zilberman siedział już na piaszczystym wybrzeżu zdrów i pełen najlepszych myśli, wierząc w swoją szczęśliwą gwiazdę, której nie sądzono było tej nocy zagaśnąć.

Teraz pozostawała mu jedynie ucieczka poza granice Polski – zdawał bowiem sobie dokładnie sprawę z tego, jak łatwo może być osaczony powtórnie, gdyż wiedział, ile energii władze bezpieczeństwa poświęcą w tym kierunku.

Ale Józef Zilberman był zbyt przebiegłym i doświadczonego przestępcą, by się pokusić o natychmiastową próbę ucieczki w czasie najintensywniejszych poszukiwań. Dlatego też postanowił zdawałoby się wbrew rozsądkowi, pozostać jakiś czas w Gdyni. Wiedział, że poszukiwania skoncentrują się przede wszystkim na terenie Wolnego Miasta, skąd ucieczka do odleglejszych krajów nie przedstawia zbyt wiele trudności. Pozostał więc w Gdyni.

Jakież było jednak jego zdziwienie, kiedy nazajutrz, przeglądając dzienniki, nie znalazł najmniejszej wzmianki o swej sensacyjnej ucieczce. Z początku sądził, że wiadomość ta jeszcze nie zdołała dotrzeć do prasy, ale przekonał się, że był w błędzie, bowiem wiadomość taka nie ukazała się w ogóle na przestrzeni całego tygodnia, który poświęcił na skrupulatne wertowanie wszystkich dzienników, jakie tylko można było nabyć w Gdyni. Natomiast przeciwnie, pisma wypełnione były wprawdzie reportażami z tej wielkiej afery, ale o jego ucieczce nie było ani słowa.

– Co to wszystko ma znaczyć?... – zastanawiał się Zilberman, leżąc na sofce w jednym z podrzędnych pensjonatów, gdzie zamieszkiwał od chwili ucieczki pod innym nazwiskiem i w nowej, świetnej charakterystyce. Po dłuższym namyśle przyjął dwie hipotezy: albo wyprowadzone w ten sposób w pole władze liczą na szybkie ujęcie zbiega i w tym celu zataiły ucieczkę, aby uniknąć kompromitacji, albo też przemilczały ten fakt jedynie dla dobra śledztwa. Którąkolwiek by przyjąć z tych hipotez, należało pogodzić się z niezaprzeczoną faktami, że gorączkowe poszukiwania trwają bez przerwy i dlatego Zilberman postanowił podwoić czujność.

Tak przeszły trzy miesiące, w czasie których, zbieg zaopatrzył się w doskonale podrobione paszporty, zapuścił stylową brodę i najspokojniej w świecie, via Hamburg, odpłynął do New Yorku. Stamtąd bezzwłocznie odjechał do Chicago, otwierając tam kancelarię adwokacką na nazwisko Samuela Spencera, przy ruchliwej Milwakuee Avenue. Lecz głównym celem nowego zawodu Zilbermana nie była obrona tysięcy gangsterów, dających utrzymanie setkom adwokatów, ani oczyszczanie bogatych przemysłowców z „bezpodstawnych zarzutów” milionowych nadużyć skarbowych. To wszystko dawało tylko firmę, pod jaką pragnął ukryć swoją właściwą działalność: – mister Samuel Spenser był bowiem genialnym zbrodniarzem-szantażystą. Dobrawszy sobie odpowiednich ludzi i będąc z urzędu obrońcy i doradcy prawnego w kontakcie z wielu wysoko, politycznie czy finansowo, postawionymi osobistościami, przeprowadzał potrzebny wywiad, naradzał się ze współnikami, a w kilka dni później w tajemniczych okolicznościach zniknął ktoś z najbliższej rodziny jednego z najbogatszych Jankeśów.

Sowity, z góry wyznaczony okup wkrótce przywracał dawny porządek rzeczy, a Mr Samuel Spenser lokował w banku grube pieniądze i upatrywał nowe ofiary. Wypadków powiadamiania policji przez poszkodowanych dotąd nie było.

Dlatego też i w obecnym wypadku uprowadzenia miss Anity Childs, Mr Spenser już na-przód zanotował dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów na konto przychodnie, po odliczeniu dziesięciu tysięcy „kosztów kancelaryjnych”, przez co należało rozumieć wynagrodzenie podwładnych, właściwych wykonawców planu Spencera.

– Do tego jeszcze coś musi dojść od Childsa za cenną radę, jakiej udzieliłem niedoszłemu zięciowi – rzekł prawie głośno – gdyż w przeciwnym razie porywczy młodzieniec gotów z

tym wszystkim był lecieć do policji, a to by już raz na zawsze odebrało staremu nadzieję oglądania ukochanej córeczki – myślał dalej ze zjadliwym uśmiechem na swej bezczelnej twarzy urodzonego zbrodniarza.

Po tych słowach umilkł na dłużej, snąc rozważając nowe projekty, bo czoło marszczył w wydatne fałdy i brwi podnosił wysoko, co było u niego oznaką intensywnego myślenia.

– Mam!... – krzyknął prawie głośno, zrywając się z kozetki. – Jaki też cymbał ze mnie, że wcześniej nie wpadłem na ten genialny pomysł – wymyślał sobie, przemierzając w różnych kierunkach olbrzymi dywan, który natychmiast tłumił odgłosy kroków. – Ach, to będzie wspaniałe... – zachwycał się teraz nowym planem, jaki niespodziewanie zaświtał mu w głowie. – Inaczej nie może być, tylko ofiaruję się Childsowi przeprowadzić pertraktacje ze zbrodniarzami. Jednym słowem uiszcę im okup w imieniu ojca i przyprowadzę Anitę. Czyż może być inne, prostsze i pomyślniejsze rozwiązanie tej sprawy z obopólnym pożytkiem?... – zacierał ręce z zadowolenia, postanawiając zaraz rano skomunikować się z Mr Childsem.

Los jednak chciał inaczej.

ROZDZIAŁ V

ŚMIAŁY PLAN

Ludwik Blum, powróciwszy nad ranem do swego mieszkania w jednym z pierwszorzędných hoteli, wziął zimną, orzeźwiająca kąpiel i bezpośrednio potem położył się do łóżka.

Mimo to nie mógł zasnąć. Przewracał się z jednego boku na drugi, siłą niemal zaciskał powieki i powtarzał sugestywną formułkę: „muszę zasnąć” – sen jednak nie przychodził. Na próżno starał się nie myśleć o wypadkach ostatniej nocy – obraz Anity i te kilka chwil spędzonych z nią sam na sam w zakrytym, z szaloną szybkością pędzącym automobilu, powracały uparcie, przyprawiając serce o żywsze bicie i spędzając z klejących się powiek resztki senności.

Nie mogąc się oprzeć fali napływających rozkosznych wspomnień, Blum począł w myślach przeżywać to wszystko od początku. Więc widzi pogrążoną we śnie narkotycznym, ukochaną dziewczynę. Jej blade, w pół rozchylone wargi kuszą do pocałunków, a alabastrowe, w klasycznych liniach skrojone ciało nie pozwala oderwać od siebie oczu.

Ludwik bierze ją lekko na ręce, podaje stojącemu pod oknem. Franckowi, a potem, w aucie, opiera na swej piersi jej omdlałą, spowitą złotymi puklami pachnących włosów główkę i z szaleńczą, chciwością wżera się w rozchylone, chłodne wargi dziewczyny.

Anita budzi się, szeroko otwartymi oczyma wpatruje się w pochyloną nad nią twarz Ludwika. Snadź jednak nie może powiązać ze sobą strzępów omdlałych myśli, bo nie znać w jej granatowych oczach ani cienia przestachu.

Blum zdaje sobie dokładnie sprawę z tego groźnego faktu, że może być poznanym. Wie przecież, że dziewczyna za wysokim okupem ma być zwrócona rodzicom, a wówczas nad jego głową, nieuchronnie zawiśnie ręka sprawiedliwości, mimo to nie może zdecydować się na powtórne uśpienie dziewczyny, jakby w obawie, że pozbawi go to niewypowiedzianej rozkoszy spoglądania w przepastne, pełne nieziemskiego wprost czaru oczy Anity.

Ale rozsądek zwycięża wreszcie tę chwilę sublimacji romantycznych uczuć, niegodnych businessmana. Ludwik szybkim, zdecydowanym ruchem zarzuca dziewczynie na twarz białą tkaninę, nasyoną chloroformem. Anita się nie broni. Omdlewającym, ruchem powiek nakrywa oczy koronką długich rzęs, a resztki niedawno zbudzonej półświadomości rozwiewają się w miarę pogłębiania oddechu.

Ludwik przyciska ją silniej do piersi i czuje, że dłużej nie będzie w stanie zapanować nad rozedrganymi aż do ostatniego fibru, nerwami. Chwila tragedii bezbronnej, omdlałej Anity zbliżała się w szybkim tempie...

Nagle, kiedy pewnym niemal zdawało się, że nic już nie zdoła wyrwać dziewczyny ze szpon oszalałego zbrodniarza, zgrzytnęły hamulce taksówki i wóz zatrzymał się prawie momentalnie, a równocześnie poprzez celuloidową szybkę okienka zajrzały do wnętrza, połyskując białkami, oczy szofera Murzyna.

Opanował się jednak szybko i z udanym spokojem zapytał szofera o powód zatrzymania maszyny.

– Jesteśmy na miejscu, Mister Blum – odparł tamten, nie przestając wykrzywiać gęby w zagadkowym uśmiechu.

Ludwik zaklął z pasją i wyskoczył z karetki.

– Nie przypuszczałem, że mój pośpiech popsuje panu przyjemny flirtik, mister, he, he... – zarechotał szofer, ukazując w uśmiechu dwa rzędy białych zdrowych zębów.

– Bydlę! – rzucił mu Ludwik i szybko pobiegł w stronę bielejących w ciemności konturów farmy Billa Monktona.

Na umówiony sygnał zjawiała się bezzwłocznie stara Agata, po czym oboje przenieśli uśpioną dziewczynę do podziemnej, specjalnie na ten cel przygotowanej separatki.

Ludwik pragnął za wszelką cenę pozostać sam na sam z Anitą. Nie było to jednak możliwym ze względu na starą Agatę, która natychmiast zabrała się do trzeźwienia dziewczyny. Blum nie chciał jej stąd wyprawiać, wiedząc, jak łatwo w umyśle tej chytrej, przebiegłej kobiety może się zrodzić uzasadnione podejrzenie. Zresztą i Bill, który po obezwładnieniu stróża Childsa, starego Johna, miał się udać na farmę okrężnymi drogami, mógł zjawić się lada chwila.

Wobec takiego stanu rzeczy, Ludwikowi nie pozostawało nic innego, jak wracać do domu oczekującą na szosie taksówką. W czasie powrotnej drogi rozdrażnienie, w jakie był popadł, nie pozwalało mu spokojnie rozważyć tego wszystkiego, co zaszło i wyciągnąć odpowiednich wniosków na przyszłość najbliższą. Dopiero teraz, leżąc na łóżku, począł spokojnie analizować ostatnie wydarzenia.

Przede wszystkim dziwił się, że Anita, którą często widywał, bywając w domu jej ojca, nie wywarła na nim nigdy dotąd jakiegoś głębszego wrażenia, aż dopiero teraz, te trzy kwadransy sam na sam z nieprzytomną dziewczyną pozostawiły w jego duszy niezatarte wspomnienie.

– Czyżby to była miłość? – pomyślał z pewnego rodzaju trwogą, wiedząc, jak nieziszczalne w obecnych warunkach byłoby marzenie pozyskania wzajemności Anity. – Wykluczone! – odegnał to niedorzeczne przypuszczenie. Chwilowe podniecenie, które uleci bezpowrotnie, gdy tylko wypocznie po wielu godzinach „pracy”, która nadzwyczaj wyczerpuje człowieka nerwowo – sugerował się bez przekonania, starając się myśli skierować na inne tory.

Wszystko to jednak nie było w stanie wyprzeć ze świadomości obrazu czarującej dziewczyny. Blum widział ją jak na jawie: kształtna, na brąz opalona twarzyczka, otoczona pachnącymi puklami złotych włosów, rozsypanych w nieładzie, długie a wąskie łuki czarnych brwi, lekko stykających się nad zgrabnym, zadartym nieco noskiem, i te oczy... Oczy koloru mórz południowych... Jest w nich jakaś tajemna niezrozumiana wprost siła... Ludwik wstydzi się przyznać przed samym sobą, jak wiele gotów jest oddać w tej chwili, byle tylko móc patrzeć na tę dziewczynę bez końca. Wystarczyłby mu tuż tylko sam jej widok. Niskie, samcze instynkty, jakie przed kilku godzinami władaly nim niepodzielnie, zniknęły gdzieś niepowrotnie, a miejsce ich zajęła niewypowiedziana wprost tęsknota...

To nowe, nieznanne dotąd Ludwikowi uczucie silniejsze jest nad wszystko, co dyktuje chłodny rozsądek i wyrachowanie. Młodzieniec nie tylko, że nie stara się zapomnieć o tych krótkich chwilach, spędzonych sam na sam z Anitą, a przeciwnie, przymknawszy powieki, puszcza wodze fantazji... Widzi się znów przy boku ukochanej dziewczyny... Nagie, wypieszczone ręce Anity oplatają mu szyję, a w pół-rozchylone, gorące wargi kuszą, do pocałunków... Blum jednak boi się dotknąć ustami jej warg, aby nie spłoszyć cudnego przywidzenia. Wystarcza mu już tylko sam obraz umiłowanego dziewczęcia. Pragnie jedynie, aby ten stan trwał jak najdłużej...

Ale pomiędzy nimi staje Ronicki. Przerażona jego widokiem Anita blednie śmiertelnie i, niczym przecudna, nadziemska zjawia, rozplywa się we mgle. Wraz z nią niknie gdzieś postać Stefana Ronickiego.

Blum znów zostaje sam. i tęsknota, jak przed tym, rozsadza mu piersi... Teraz już czuje, że życie bez tej dziewczyny, która tak nagle wżarła mu się w najskrytsze tajnie głębin duszy, będzie już raz na zawsze pełne udreki i nadludzkiej katuszy. Obec mu dotąd, bo uśpione gę-

boko na dnie serca uczucie płomiennej miłości wyzwoliło się z okowów wyrachowania i spekulacji i rozgorzało wspaniałą pochodnią.

– Miłość czyni ludzi dobrymi... – przypomniał sobie stary aforyzm i ujrzał, jak na dłoni, całą przerażającą nagość swego niecnego życia, będącego jednym, nieprzerwanym łańcuchem występku i potwornych zbrodni.

Rumieniec wstydu wypełznął mu na policzki. Widział wyraźnie, jaka przepaść dzieli go od ukochanej. Wiedział również i to, że nic nie zdoła przed nią zataić, skoro zwróci na niego swoje pogodne, ale sięgające aż do samego dna duszy spojrzenie. A wtedy... wszystko stracone na zawsze...

Ale tego rodzaju refleksje trwały krótko. Nie odpowiadało to wszystko przedsiębiorczej i nie liczącej się ze środkami, naturze Bluma, który do raz obranego celu dążył wszelkimi drogami. Anitę kochał – w tę prawdę nie wątpił już ani chwili, tym niemniej jednak nie zamierzał popadać w rozpacz z tak błahego powodu, że nie może liczyć na wzajemność dziewczyny. Był bowiem niemal pewnym, że kiedy Anito przekona się, że nic jej nie zdoła wyrwać z rąk swojego pana i władcy, jakim Ludwik widział się już teraz w stosunku do dziewczyny – obdarzy go wzajemnością, choćby z prostego wyrachowania...

– Zamieszkają razem w którymś z kalifornijskich miasteczek, rozmyślał teraz Ludwik. – Los Nietos, Westminster, Orange, Anaheim, oto malowniczo położone osiedla, którymi Blum zachwycał się w ostatniej swojej podróży po Kalifornii. Zwłaszcza Anaheim, miasto-ogród, położone pośród tysiąca winnic, zdobne kępami eukaliptusów, kaktusów i drzew pieprzowych, rzucone między dwoma bezmiarami, pustyni i oceanu, zdawało się być wymarzoną zakątkiem na spędzenie pierwszych miesięcy z ukochaną dziewczyną...

I Ludwik długo jeszcze snuł śmiało marzenia na niedaleką już przyszłość. Pomimo swojego młodego wieku, był już na tyle doświadczonym przestępcą, aby zdawać sobie sprawę, że wcześniej czy później, o ile nadal będzie pozostawał na usługach Kameleona, powinie mu się noga, i zakończy swój niecny żywot na elektrycznym krześle. Tymczasem, mając uskładaną sporą sumę pieniędzy, otworzy w Kalifornii równie intratny a mniej niebezpieczny interes, dający mu odpowiednią rentę na prowadzenie beztróskiego żywota.

Lecz w tych, zdawałoby się fantastycznych, planach Ludwika był jeden ciemny punkt, który przyprawiał go o niepokój. – Blum obawiał się zemsty wszechmocnego Kameleona. Wiedział bowiem, że uprowadzając Anitę uderzy w same podstawy interesy swojego szefa, który przez to straci zupełnie „zaufanie” „klientów”...

– A jednak, z dwojga złego – zdecydował – lepiej mieć porachunki z jednym Kameleonem, niżli z całą policją Stanów i zgrają detektywów, stojących na usługach poszkodowanych milionerów. Dlatego dobrze by było sprzątnąć jeszcze staremu owe sto tysięcy dolarów, które spodziewa się otrzymać od Childsa za Anitę... Nie wypada brać panny bez posagu... – powiedział głośno, z właściwym, sobie cynicznym uśmiechem.

Uczepiwszy się tej nowej myśli, począł układać plan działania. Wiedział, że i w tym wypadku, jak zwykle, do podjęcia okupu zostanie wysłany Franck, a stary będzie oczekiwał na niego przy drodze wiodącej do Los Anietto. Do miejsca wyznaczonego na spotkanie jest stamtąd cztery mile, a przy tym droga wiedzie przez gęsty las, gdzie łatwo przyciąć się na powracającego z pieniędzmi Francka. Oczywiście, ażeby osiąść tę sumę, należy uciec się do morderstwa. W tym względzie jednak Blum nie miał wielkich skrupułów. O jednego łajdaka mniej będzie na świecie – zaopiniował, postanawiając w stosownej chwili celnym strzałem z browninga położyć Francka na miejscu, a następnie ze zrabowanymi pieniędzmi szybko powróci na farmę Billa Monktona.

Całą sprawę ułatwia jeszcze ten fakt, że wedle ustnych dyspozycji Kameleona, Bill był obowiązany wydać dziewczynę jedynie na polecenie jego, Ludwika Bluma. W praktyce miało to wyglądać w ten sposób, że któryś z wyznaczonych przez Ludwika ludzi, nocą zapa-

kuje Anitę do taksówki i odwiózłszy ją z zawiązanymi oczyma na drugi kraniec miasta, wysadzi ją na ulicy, po czym sam szybko schroni się w jednej z najbliższych gangsterskich spelunek.

Wedle więc planu, jaki obecnie dojrzał w umyśle Ludwika, po obrabowaniu Francka ze stu tysięcy dolarów, uda się niezwłocznie po Anitę, z którą pojedzie wprost za miasto, na jedno z lotnisk, gdzie w dużym hangarze, oznaczonym liczbą 64, znajduje się prywatny samolot Mr Spenzera. I zanim Kameleon odkryje całą prawdę. Ludwik będzie już wówczas daleko, zawieszony wraz z ukochaną dziewczyną pomiędzy usianym miliardami gwiazd niebem a bezkresnym obszarem pustynnych plenów.

– Po wielu godzinach lotu – marzył dalej – wylądują w słonecznej Kalifornii, gdzie odtąd on, Ludwik Blum, ścigany przez prawo przestępca, znajdzie wytchnienie przy boku ukochanej dziewczyny.

W swych młodzieńczych, pełnych optymizmu marzeniach nie myślał wcale o tym, że los lubi płać złośliwe figle, a najgenialniej nawet przemyślane plany działania potrafią rozsypać się w gruzy z błahaego nieraz powodu.

ROZDZIAŁ VI

W ZASADZCE

Dwaj panowie dłuższy czas siedzieli naprzeciw siebie w milczeniu. Na tęgiej, zazwyczaj czerwonej, a tym razem trupio bladej twarzy Mr Childsa odmalowany był cały bezmiar cierpienia, jakie targało serce kochającego ojca, na ustawiczną myśl o losie najdroższej jedynaczki.

Natomiast w obliczu Ronickiego, po pierwszych odruchach niemęskiej rozpacz, bez trudu dawało się dostrzec jakiś upór, który nie chciał ustąpić nakazom rozsądku, wobec groźnej rzeczywistości.

– Uważam, że należy iść za radą Spenzera – przemówił wreszcie Mr Childs, głosem, w którym znać było rezygnację. – Przypuszczam, że zbrodniarze dotrzymają warunków, w przeciwnym bowiem razie nie mogą liczyć na uprawianie podobnego procederu w przyszłości...

Ronicki zagryzł wargi. Jego gorący, porywczy temperament nie pozwalał mu łatwo pogodzić się z myślą, że banda nikczemnych szantażystów odniesie przez to tryumf, a nie pomszczona krzywda Anity palić go będzie wstydem słabości i poniżenia. A jednak nie miał odwagi oponować, w obawie o los ukochanej.

– Tym niemniej jednak należy zrobić wszystko, aby zbrodnia poniosła zasłużoną karę – zauważył z naciskiem, przy czym w jego szarych, zazwyczaj dobrodusznie spoglądających oczach, rozpały się jakieś złowrogie błyski.

Lekki uśmiech ironii przewinął się po bladej twarzy Mr Childsa – Za mało pan zna Chicago, panie Stefanie... i w ogóle całe Stany... Te pięć lat, jakie pan tutaj spędził, nie dały panu jeszcze poznać złowrogiej potęgi podziemnego świata przestępców. Wasze szlachetne polskie porywy, nie poparte rozsądkiem, nie zawsze na naszym gruncie się udają... Mierzycie siły na zamiary... Przypomnę panu tylko szlachetną postać burmistrza Czermaka. Miał władzę, wpływy, a jednak... podziemny świat Al Caponów i Dillingerów okazał się silniejszym od niego...

– To wina was, Amerykan!... – rzucił Stefan z oburzeniem – Obawa o mienie, życie, a wreszcie, do ostatnich granic posunięte przekupstwo, rzuca was wszystkich na pastwę zbezczelniałych zbrodniarzy!...

– Niestety, tak... ale nie mówmy o tym...

– Nie mówmy – zgodził się tamten i znów na długie minuty zapadło głuche milczenie.

Przerwało ją niespodziewane wejście mulatki, pokojówki Anity.

Mister Childs zmarszczył groźnie brwi. Nie znoził, aby ktokolwiek ze służby nie wołany wchodził do gabinetu, a tym więcej w tak niestosownej chwili.

Ale spojrzenie to nie onieśmieliło kobiety. Stała przy drzwiach milcząca, ale zacięta w jakimś postanowieniu.

– Co to znaczy, Doroto?... – w głosie Childsa zadrgało wyraźne zniecierpliwienie.

– Mam prośbę... wielką prośbę Mr Childs – wymówiła, nieśmiało, z lękiem, czy będzie dopuszczona do głosu.

– To bezczelność!... – zawołał oburzony milioner i twarz na nowo przyoblekła mu się purpura. – Proszę wyjść!

W ciemnych oczach kobiety zaszklily się łzy, lecz nie ruszyła się z miejsca. – Mr Childs... ja w sprawie miss Anity. Ja wiem wszystko... chcę pomoc... ja wiem, kto ją porwał... – wyszeptała głosem wstrząsanym łkaniem i niespokojnym spojrzeniem zawisła na twarzy swojego pana.

Zapadła chwila ciszy. Piorun z jasnego nieba, ani gwałtowny spadek akcji nie wywarłby na flegmatycznym Mr Childsie takiego wrażenia, jak słowa tej kobiety.

– Mój pan, Mr Childs mi powiedział, że miss Anita wyjechała... ale ja nie wierzyłam... – zaczęła z ożywieniem. – Widziałam przecież rozpacz pana, rozbitą szybę, nieład w pokoju, a przede wszystkim poczułam zapach perfum, jakich panienka nigdy nie używała...

Dwaj panowie w bezgranicznym zdumieniu spojrzeli na siebie. Spojrzenie to uchwyciła mulatka i uznała, że właśnie przyszła stosowna chwila, by rzucić niespodziewaną bombę.

– W sypialni miss Anity poczułam perfumy Mr Ludwika Bluma... – wyrzuciła to zdanie jednym tchem i umilkła, czekając jakie wrażenie uczyni ta wiadomość na słuchaczach.

Te słowa rozbudziły w umyśle Ronickiego nowe, chwilami przerażające myśli. Wiedział, że ten młody, zdaje się, Żydziak, choć podawał się za Anglika, był sekretarzem adwokata Spenzera i razem z nim dosyć często odwiedzał mieszkanie Childsów, jako czwarty do bridgea, ale nie można było przypuścić, aby Anita potajemnie przyjmowała go w swym pokoju. A zatem?... – Chaos myśli, jaki wytworzył się teraz w głowie Stefana, nie pozwalał choć w przybliżeniu dać odpowiedzi na to dręczące pytanie.

– Proszę nas pozostawić samych i nikomu nie wspominać o tym ni słowem – rzekł Mr Childs do mulatki, ochłonawszy z pierwszego wrażenia. Nie stawiał żadnych uzupełniających pytań, gdyż znając ją dobrze, wiedział, że tego, co powiedziała, nie zmieni i nie odwoła.

Kobieta bezszelestnie wysunęła się z gabinetu.

– Co pan o tym sądzi, Mr Childs? – spytał Ronicki.

– Źle jest – odparł tamten. – Z tego by wynikało, że Anita padła ofiarą Bluma, a to już od gruntu zmienia wszystko. Blum, panie Stefanie, nie porwał jej dla okupu. Ten list, który zostawił, miał tylko za zadanie wprowadzić nas w błąd.

– Więc w jakim celu uprowadził Anitę?... – wycharczał Stefan, a twarz przyoblekła mu się trupią bladeścią.

– Chciał ją posiadać...

Ronicki zerwał się, niczym w ataku furii. Childs, domyślając się, co tamten zamierza uczynić, zagroził mu drogę.

– Rozwagi, panie Stefanie; chce pan przez swą porywczosć sprowadzić gorsze nieszczęście, bo pozbawić nas raz na zawsze widoku ukochanej dziewczyny?...

– Co robić?... co robić?... – powtarzał teraz młody inżynier, łamiąc ręce w bezsilnej rozpacz.

– Trzeba się zastanowić – rzekł Childs, sadzając Stefana na powrót w fotelu. – Przede wszystkim należy sprawdzić otrzymaną wiadomość, śledząc pilnie Ludwika Bluma.

– W tym celu trzeba niezwłocznie wynająć jakiegoś zdolnego detektywa – zauważył Ronicki.

– Broń Boże!... – zaprotestował Childs gorąco. – Czy może pan ręczyć, nie zgłębiwszy tajemnic nieprzebytej ludzkiej dżungli, jaką jest nasze Chicago, że nie natrafi pan w osobie sławnego detektywa na współnika zbrodniarzy?

– Więc sam się tego podejmę! – krzyknął Stefan, a w oczach miał teraz taką siłę postanowienia, że nawet sceptycznie nastrojony Mr Childs uwierzył w skuteczność jego zapędu.

– Tylko rozwagi, panie Stefanie... dużo rozwagi i trzymać nerwy na wodzy, I niech pan nie zapomina, że dziś wieczorem musimy powziąć ostateczną decyzję, gdyż termin uiszczenia okupu upływa jutro...

Ronicki powstał, zabierając się do odejścia. Nim jednak zdążył opuścić gabinet, na progu ukazał się kamerdyner, oznajmiając przybycie Mr Samuela Spenzera.

I dziwne, że dopiero teraz, na dźwięk nazwiska adwokata, w umyśle Stefana zrodziło się nagle podejrzenie, czy ten, tak mało jeszcze w tutejszych kołach towarzyskich znany prawnik, nie był wtajemniczony w szatański plan swego współpracownika. – A może po prostu jest jego współnikiem – pomyślał, przypominając sobie wczorajszą z nim rozmowę, w której Spenser radził uiszczyć żądany przez szantażystów okup.

Nie było jednak czasu na dłuższe rozważanie tej sprawy, bowiem w minutę później do gabinetu wszedł mister Samuel Spenser. Ronicki postanowił tylko sprytnie prowadzić rozmowę, by jak najwięcej potrzebnych wiadomości wysądować z tego podejrzanego od niedawna człowieka.

– Mister Childs, proszę przyjąć moje głębokie współczucie – zagaił Spenser rozmowę, uściskawszy dłoń gospodarza. Usiedli w wytwornych klubowcach.

– Czy nie zmienił pan wczoraj zdania w wiadomej sprawie, Mister Spenser? – zapytał z miejsca Ronicki.

Adwokat rozłożył ręce na znak bezsilności. – Niestety, innego wyjścia nie widzę – odparł z dobrze udanym żalem. – To jedno tylko, co mogę zrobić, to oszczędzić panom tej wielkiej przykrości, z jaką jest niewątpliwie połączone zetknięcie się ze zbrodniarzami w chwili uiszczenia okupu. Pragnę tę sprawę załatwić w imieniu panów...

– Niewielka pociecha – zauważył cierpko Ronicki.

– Owszem – pośpieszył zaoponować adwokat. – Zapominają, panowie, że z tytułu sądowego obrońcy, często miałem okazję zetknąć się z czołowymi przestępcami, a nie ulega wątpliwości, że tylko ktoś z tych ludzi mógł się pokusić o tego rodzaju zbrodnię. Kto wie, czy w ten sposób nie uda mi się któregoś z nich rozpoznać...

Ronicki zagryzł wargi. Pośpiech, z jakim adwokat ofiarowywał swoje usługi w tym kierunku, poczynił coraz bardziej wydawać mu się podejrzanym. Jednakże przez zwykłą ostrożność nie oponował, tym więcej, że Mister Childs bez wahania przystał na propozycję. Sprawa stanęła na tym że nazajutrz Spenser podejmie z kasy Childsa gotówkę i uda się we wskazanym przez zbrodniarzy kierunku.

W kilka minut po wyjściu Spensera, Ronicki pozostawił Childsa, a sam udał się śladem adwokata. Wychodząc już z hallu, zauważył, że tamten udał się nie w kierunku Milwaukee Avenue, gdzie mieściła się jego kancelaria, a na Broadway. Stefana zdziwiło jeszcze i to, że Spenser nie wsiadł w przejeżdżający tramwaj, lecz udał się pieszo, czego nie czynił nigdy, opuszczając dom Mr Childsa.

Wobec poprzednich, a ostatnio spotęgowanych podejrzeń, Ronicki postanowił z oczu nie spuszczać Spensera. Ruch, jaki o tej porze dnia panował w śródmieściu, co prawda z jednej strony zabezpieczał go przed zauważeniem przez śledzonego adwokata, z drugiej natomiast utrudniał obserwację, wobec czego łatwo było stracić z oczu obserwacyjny obiekt.

Na szczęście Mr Spenser nie miał zamiaru trudzić się długim spacerem. Uszedłszy około trzystu metrów, skierował swe kroki do jednej z wytwornych kawiarni.

Ronicki się zatrzymał. Pragnął za wszelką cenę znaleźć się teraz w lokalu, gdzie jak przypuszczał, Spenser musiał mieć jakieś spotkanie, nie mógł natomiast uczynić tego przez wzgląd na zdemaskowanie. Na szczęście adwokat wybrał jeden ze stolików łatwo widocznych przez olbrzymie tafle szyb okna wystawowego i Stefan bez trudu mógł z ulicy zaobserwować jego postać.

Przez kilka minut Mr Spenser siedział sam, przeglądając jakieś papiery, wyjęte z portfela, nie przestając, co pewien okres czasu, rzucać spojrzenia na główne drzwi, wiodące z ulicy.

Z tego rodzaju zachowania się Ronicki wywnioskował, że adwokat oczekuje na kogoś. Sam więc teraz zrezygnował z dalszej obserwacji Spensera, a odszedłszy kilka kroków dalej pilnie lustrował postacie nowych gości, przekraczających próg kawiarni.

Nagle omal nie wydał okrzyku, będącego wyrazem uczucia, takiego doznał na widok wchodzącego do lokalu Ludwika Bluma.

– Przeczucie mnie nie myliło – pomyślał z zadowoleniem, gdyż uczepliwszy się myśli, że adwokat Samuel Spenser współdziałał z Blumem w uprowadzeniu Anity, miał teraz niejako potwierdzenie swoich podejrzeń. Tak się przynajmniej zdawało Stefanowi, zapominającemu o tym, że ci dwaj, współpracujący ze sobą ludzie mogli mieć również tysiące innych spraw do omówienia, a ich obecne spotkanie bynajmniej nie musi świadczyć o tym wszystkim, co on wyrozumiał na podstawie, bądź co bądź, sensacyjnego zeznania służącej Anity.

Ale żyjący w stanie wyjątkowego rozstroju nerwowego, Ronicki w tej chwili widział w tych ludziach jedynie zbrodniarzy i pragnął ich śledzić aż do skutku.

Teraz podsunął się blisko, pod samą framugę okna. Blum już siedział przy stoliku, naprzeciw Spensera, tyłem do okna i opowiadał coś z ożywieniem, gestykulując przy tym rękoma, z właściwym swej rasie ożywieniem. Adwokat słuchał uważnie, a na jego nalanej, czerwonej twarzy znać było zadowolenie.

Jednakże Ronicki, w obawie, aby nie został dostrzeżonym przez bystro spoglądającego dokoła, Spensera, musiał opuścić posturę obserwacyjną, tym więcej, że i tak rozmowy tamtych nie był w stanie dosłyszeć. Natomiast nie zrezygnował z dalszego śledzenia tych podejrzanych, obecnie, ludzi i przeszedłszy na drugą stronę ulicy, przywarował wzrokiem, na drzwiach kawiarni.

Nie upłynęło jednak więcej nad kwadrans, gdy na ulicę wybiegł Blum, i podszedłszy do wiszącej opodal skrzynki pocztowej, wrzucił doń jakąś niebieską kopertę, po czym szybko powrócił do lokalu.

Ten na pozór błahy wypadek zelektryzował i tak już do ostatnich granic napięte nerwy Stefana.

– Do kogo ten list i co on zawiera? – było dla niego naczelnym, najbardziej palącym zagadnieniem. – Co robić?... jak się dowiedzieć... – myślał, starając się wynaleźć jakiś sposób, który dopomógłby mu do obejrzenia tego listu.

Tymczasem jakiś barczysty jegomość podszedł do skrzynki i wrzucił drugi list; zanim w kilka zaledwie sekund, młoda, zgrabna dziewczyna w słomkowym kapeluszu z szerokim rondem, uczyniła to samo.

Ronicki stojąc naprzeciw liczył te wszystkie wrzucane listy, alby nie zgubić kolejności, w której znajduje się koperta, wrzucona przez Bluma.

Nareszcie przyszła mu myśl właściwa. Szybko, nie przestając obserwować pocztowej skrzynki, wyjął z notesu wizytową kopertę, nakreślił na niej ołówkiem adres Mr Childsa, i wrzucił ją do skrzynki, po czym pobiegł na dawne miejsce, postanawiając oczekiwać na funkcjonariusza pocztowego, który regularnie, co godzinę opróżnia skrzynki. Teraz już nie liczył nowych, wrzucanych listów, wiedząc o tym, że koperta Bluma znajduje się na siódmym miejscu przed jego „listem”. – Obawiał się teraz jednego, mianowicie, ażeby w chwili przybycia pocztyliona, któryś ze śledzonych przez niego ludzi nie wyszedł z lokalu.

Nie upłynęło więcej nad dziesięć minut, gdy pocztowy motocykl zatrzymał się na skraju jezdni.

– Przed chwilą wrzuciłem do skrzynki list – rzekł Ronicki, podchodząc do pocztyliona – na którym przez roztargnienie nie nalepiłem znaczka. Pan zechce mi ten list odszukać...

Pocztowiec z wysokości swej „władzy” spojrzął groźnie na natręta i odwróciwszy się do niego plecami, począł odmykać skrzynkę, umieszczoną na motocyklu.

– Na dowód, że mówię prawdę – krzyknął wyprowadzony z równowagi Ronicki – uprzedzam pana, że list jest zaadresowany do Mr Childsa.

To zdanie wywołało efekt nadspodziewany. Zbyt dobrze znanym było w Chicago to nazwisko, z którym łączyło się pojęcie milionowej fortuny i szerokich stosunków, ażeby przeciętny funkcjonariusz pocztowy mógł przejść nad nim do porządku dziennego. W tej chwili w jego oczach postać nieznanego, korespondującego z potężnym potentatem, wyrosła do wysokości lorda lub

barona. Ponury wyraz twarzy pocztowca zastąpił teraz przesłodki, uprzejmy uśmiech, a spotęgował go jeszcze widok pięciodolarowego banknota, jaki Ronicki wsunął mu w rękę.

Chłop, jak wyrzucony sprężyną, „kopnął się” do skrzynki, wytrząsnął z niej całą zawartość i wrócił do stojącego na uboczu Ronickiego.

– Mister zechce odszukać... – rzekł, trzymając naręcze listów.

Ronicki począł nerwowo przerzucać koperty od góry. Natrafił na swoją, przerzucił ją wraz z innymi, dopiero odliczywszy siedem następnych, wziął w rękę list, wrzucony przez Bluma.

– Mister Bill Monkton, Chicago – przeczytał imię i nazwisko oraz miejscowość, a dalej nazwę nieznaną w śródmieściu ulicy, z czego mógł wnosić, że adresat mieszka prawdopodobnie na jednym z przedmieść.

– Dziękuję! – rzucił, zaspokoiwszy częściowo swoją ciekawość i szybko zniknął w płynącej fali przechodniów.

– Lord, baron albo wariat... – mruknął zdezorientowany pocztowiec. Ale daj Boże więcej takich roztrzępionych – wyraził to pobożne życzenie, ściskając w ręku jedwabny banknot – a opłaci się przerzucać wszystkie listy na każde żądanie.

Tymczasem Ronicki wpadł jak bomba do najbliższej księgarni.

– Proszę mapę Chicago! – rzucił zgiętemu w uprzejmym ukłonie ekspedientowi.

Za chwilę z przejściem studiował niewielki planik, rozpoczynając poszukiwania ulicy, jaką wyczytał na liście Bluma, od podmiejskich okolic.

Jest! – krzyknął wreszcie, zapominając, że przez swe dziwne zachowanie ściągnął na siebie uwagę dość licznej klienteli i personelu księgarni. Nie obchodziło go to wcale. Fakt, że ulica, jakiej szukał, była już raczej zwykłą szosą, wiodącą na zachód od ostatnich domków przedmieścia, upewnił go jeszcze bardziej w powziętych podejrzeniach.

Zapłacił należność, wypadł na ulicę i zatrzymawszy pierwszą wolną, taksówkę, kazał wieźć się w kierunku zachodniej dzielnicy miasta.

Po trzech kwadransach wysiadł przy ostatnich domkach przedmieścia. Serce zabiło mu jak miotem, kiedy ujrzawszy nadchodzącego Murzyna, zapytał go o bliższy adres Billa Monktona. Czarny, snadź dobrze obznajmiony w stosunkach panujących w podmiejskich zaułkach, obrzucił Ronickiego podejrzliwym spojrzeniem, sam widać, jak zresztą większość mieszkańców tego przedmieścia, nie mając czystego sumienia, uważał prawdopodobnie młodego, elegancko ubranego człowieka za przedstawiciela urzędu policyjnego.

Lecz i w tym wypadku pięciodolarowy banknot okazał się silniejszym od obaw, jakie w przechodniu wzbudziła postać Ronickiego, bowiem bez chwili wahania wskazał widoczny stąd w odległości kilometra, położony przy drodze domek, obwiedziony wysokim parkanem.

Ronicki podążył we wskazanym kierunku, postanawiając od tej chwili zachować wszelką ostrożność.

W pierwszym więc rzędzie, udając zwykłego przechodnia, minął ową niepozorną farmę, ukrytą za dużym parkanem i ścianą bujnie rozrosłego żywopłotu. Jedyne, co mógł zauważyć z niewielkiego wzniesienia, jakie w tym miejscu stanowił nasyp szosy, to to, że poza ogrodzeniem panowała wyjątkowa cisza. Nie dochodził najmniejszy odgłos jakiejś pracy, lub ludzkiej rozmowy, ani nie widać było żadnego ze zwierząt domowych, które w podmiejskich okolicach stanowią główny, dobrze rentujący się zbyt farmera.

To wszystko ośmieliło Ronickiego do tego stopnia, że szybko zboczył z drogi i, podkradłszy się pod sam parkan, ukryty w gąszczu żywopłotu, począł czynić dalsze obserwacje poprzez szczeliny między deskami ogrodzenia.

Nie zauważył tylko, że wdzierając się między koleczaste zarośla, zahaczył nogą o cienki, niewidoczny prawie drut dzwonek alarmowego, okrążający całą prawie farmę w odległości dwóch metrów od parkanu.

Zaledwie jednak zajął postępek obserwacyjny, dostrzegł wybiegającą na podwórze starą kobietę o odpychającym wyglądzie, która z pośpiechem odryglowała furtkę i wybiegła na zewnątrz dziedzińca.

Ronicki przycupnął w krzakach, widząc, że kobieta podąża wzdłuż płotu w jego stronę. Nie mógł jej teraz widzieć, a tylko po człapaniu drewnianych chodaków orientował się, że stara obchodzi parkan dokoła.

Kiedy po kilku minutach furtka skrzypnęła powtórnie i odgłosy kroków dochodziły już teraz z podwórza farmy, Ronicki odetchnął z ulgą, gdyż jak mu się zdawało, nie dostrzeżony przez starą, mógł dalej z bezpiecznego ukrycia obserwować cały dziedziniec podejrzanej farmy.

Teraz dopiero zauważył z zadowoleniem, że miejsce, jakie sobie tu obrał, było jedynym punktem, nadającym się do celów śledzenia wszystkiego, co dzieje się na wewnątrz, gdyż tylko tutaj szpary między deskami nie były pozabijane szerokimi listwami, i tylko tutaj żywopłot tworzył obszerną, dobrze zamaskowaną kryjówkę.

Lecz kiedy w duchu błogosławił tę chwilę natchnienia, które zaprowadziło go od razu w to miejsce – nagle stała się rzecz nieoczekiwana: – uszu doleciał jakiś złowrogi zgrzyt, ziemia zakołysała mu się pod nogami i, zanim zdążył przedsięwziąć jakąkolwiek myśl o ratunku – runął na dno przepaści, spowitej w nieprzeniknione mroki.

ROZDZIAŁ VII

W SZPONACH ZBRODNIARZY

Stara Agata nie posiadała się z radości. Ptaszek – jak powtarzała – sam wpadł w nastawione sidła, co niepomrotnie już ułatwiało zrealizowanie śmiałego planu, jaki opracowała w czasie długich godzin bezsennej nocy. Należało jednak działać szybko, gdyż, jak mogła wywnioskować z obecności Ronickiego pod ich farmą, kryjówka Anity została w jakiś sposób odkryta. Tak czy owak, należało się wyrzec domku, nie przedstawiającego zresztą większej wartości, wymusiwszy na Childsie okup, szukać wraz z Billem jakiejś bezpiecznej kryjówki.

Na szczęście, do chwili wyznaczonego spotkania w celu uiszczenia okupu, pozostawała jeszcze okrągła doba, było zatem dość czasu, aby przeprowadzić pertraktacje z uwięzionym Ronickim.

Po dłuższej naradzie Agata wraz z Billem udała się do najgłębiej położonego lochu, gdzie młody inżynier leżał na wiązce słomy, skrepowany silnymi opłotami powroza.

Kiedy białe światło elektrycznej żarówki rozjaśniło podziemne mroki i postać leżącego więźnia zarysowała się w całej pełni – bezczelny i zawsze pewny siebie Bill Monkton doznał pewnego rodzaju onieśmienia. Szare, rozumnie spoglądające oczy Ronickiego miały w tej chwili w sobie wyraz tak pełen pogardy i wyniosłości, że Bill długo nie mógł znaleźć właściwego doboru słów, aby rozpocząć pertraktacje.

— Sir – rzeki wreszcie, kiedy ciężąca mu cisza zdawała się przedłużać w nieskończoność – chcę, aby pan był wolnym... i pańska narzeczona, miss Anita Childs, także... – wyjąkał i umilkł, pragnąc, aby Ronicki sam zawiązał wątek rozmowy.

Więzień drgnął, uniósł nieco głowę i utkwivszy w oszpeconej bliznami i ospą szerokiej, kwadratowej twarzy gangstera swe bystre, aż do dna duszy sięgające, spojrzenie, zapytał zmienionym, ochrypłym głosem:

– Więc Anita jest tutaj?...

– Jest, Sir – pośpieszył Bill z odpowiedzią – i możecie się niebawem zobaczyć...

– Tylko pod jednym warunkiem... – wtrąciła kobieta, dając porozumiewawczy znak swemu towarzyszowi, aby bezzwłocznie przystąpił do rzeczy.

– Chcecie pieniędzy; czy tak?... – rzekł teraz Ronicki, odgadując tok myśli tej, godnej siebie, pary.

– Jest pan domyślny, Mr Ronicki – uśmiechnął się Monkton, znacznie już ośmielony. – Bezrobocie... ciężkie czasy... – dodał tonem usprawiedliwienia.

– Czy wy dokonaliście porwania miss Anity? – pytał dalej Ronicki, patrząc Billowi prosto w oczy.

– Nie, panie; na to nie poważałbym się nigdy – zaprotestował Monkton żywo. – To jest brzydka robota.

– Powiedz raczej, że na to jesteś za głupi – zaopiniował inżynier – co wcale nie przeszkadza, że skończysz swój nędzny żywot na elektrycznym krześle. Znamy waszą kryjówkę...

– He, he, he!... – zarechotał gangster na całe gardło. – Kto ma w swym ręku córkę Mr Childsa – rzekł, poważniejąc nagle – ten nie ulęknie się pustej groźby.

Po tych słowach piwnice zaległa cisza. Ronicki pomimo wściekłości, jaka targała nim do głębi, nie był w stanie odmówić słuszności zbrodniarzowi. Wiedział, że ludzie ci potrafią szantażować do końca, a kiedy przekonają się, że nie ma już dla nich ratunku, uciekną się do strasznej zemsty. Te kilka zaledwie minut rozmowy z Billem Monktonem aż nadto go upewniło, że zbrodniarz nie da się tak łatwo zastraszyć i że jedynym wyjściem będzie wpłacenie okupu. Nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego ta para zbrodniarzy pragnie nawiązać rozmowę z nim na ten temat, skoro, jak wnosił, nici tej całej afery; schodzą się w rękach Bluma, czy też Spenzera, którzy sprawę okupu wyprowadzili na dobre drogi; zbędną więc wydawała mu się rozmowa z Billem Monktonem, nie mogącym mieć żadnego większego wpływu na poczynania swoich szefów. Mimo to zaryzykował pytanie:

– Czy zobowiązujecie się uwolnić miss Anitę Childs z chwilą wpłacenia przeze mnie żądanej sumy?

– Po to tylko ją tu trzymamy – odparł Monkton z pośpiechem. – Uwolnimy natychmiast!...

– Jak sobie zatem wyobrażacie przeprowadzenie tej całej, podłej transakcji? – pytał dalej Ronicki, unikając spojrzenia Billa, gdyż niepojętym żarem paliło go uczucie wstydu i poniżenia, jakie dla dobra ukochanej dziewczyny musiał znosić.

– Bardzo prosto – odparł gangster. – Ale skoro pan, Mr Ronicki, skłonnym jest z nami pertraktować, należy się i z naszej strony trochę grzeczności – to mówiąc, podszedł do leżącego więźnia i kilku wprawnymi cięciami długiego noża uwolnił go z więzów.

Stefan usiadł na słomie i w milczeniu, z głową zwieszoną na piersi, oczekiwał odpowiedzi zbrodniarza.

– Żądana wysokość okupu jest panu już znana. – Zaczął teraz Bill wyklądać warunki – przypomnę jednak, że ze stu tysięcy, niestety, nie możemy nic spuścić. Pana zwolnimy w każdej chwili, i dziś jeszcze musi pan podjąć potrzebną gotówkę. Nie musi pan jednak wracać z pieniędzmi na moją farmę, pomiędzy ósmą a dziewiątą godziną spotkamy się przy Washington Street, przed cukiernią Freda Simona. Tam nastąpi tego rodzaju wymiana, że ja otrzymam sto tysięcy dolarów, a w zamian za to wręczone panu klucz od swej farmy, gdzie znajdzie pan swą narzeczoną, miss Anitę Childs, zamkniętą w czwartej piwnicy na lewo, licząc od pierwszego zakrętu głównego korytarza.

– Ale potem, co powiedziałem – zaczął po chwili na nowo – może się panu wydać, że jestem człowiekiem bardzo naiwnym, gdyż pan, zamiast mi wpłacić żadaną sumę okupu, może mnie oddać w ręce policji, a tym samym uwolnić swą narzeczoną. Otóż pragnę uprzedzić, że tego nie obawiam, się absolutnie, bowiem trzeba panu wiedzieć, że cała farma jest silnie podminowana, a zakończenia drutów elektrycznego zapalnika ukryte są w odległości półtorej mili od domu i czuć przy nich będzie ta oto (wskazał na Agatę) moja wypróbowana towarzyszka. Na wypadek jakiegokolwiek zdrady ze strony pana, cała farma wraz z miss Anitą wyleci w powietrze. Dlatego nie widzę dla pana innego wyjścia, jak poddać się naszym warunkom.

Ronicki nie zaraz odpowiedział. Obecnie jego myśli nie owijały się bynajmniej dokoła wyłuszczonej przez Monktona warunków. Bowiem od pierwszej chwili rozmowy z tą godną siebie parą, zauważył, że ci mają jakieś ukryte plany, sprzeczne z instrukcjami, zawartymi w pozostawionym w pokoju Anity, liście. Po krótkim namyśle przyszedł do przekonania, że albo w ostatniej chwili zmieniono pierwotny plan działania, i o tym właśnie Blum zawiadomił Monktona listownie, albo też Bill w tym wypadku działa na własną rękę, bez porozumienia się z szefem. Którękolwiek by przyjąć z przypuszczeń, należało przede wszystkim upewnić się, że Anita jest uwięzioną w ustronnej farmie Monktona. Z tym postanowieniem Ronicki zwrócił się do Billa zdradzającego już wyraźnie objawy zniecierpliwienia:

– O jakichkolwiek pertraktacjach nie może być mowy dotąd – rzekł stanowczo – dokąd nie będę mógł zobaczyć się z miss Anitą.

– Daruje pan, ale przed tym muszę mieć stanowczą odpowiedź. Oczywiście nie będzie ona obowiązywać, o ile nie przekonamy pana, że miss Anita jest w naszych rękach – odpowiedział gangster, wymieniając z swoją przyjaciółką porozumiewawcze spojrzenie.

– A więc tak sprawy stoją... – pomyślał Ronicki, gdyż teraz dopiero zrozumiał istotne zamiary zbrodniarzy. Aby się jednak upewnić, rzucił jeszcze jedno pytanie:

– Dlaczego przedtem nie mogę się widzieć z miss Anita? Monkton zmieszał się, nie mogąc zdobyć się na odpowiedź, Natychmiast jednak wyreczyła go przebiegła kobieta.

– Sir – rzekła, starając się nadać swemu skrzeczącemu głosowi najbardziej łagodne, a zarazem przekonujące brzmienie – pan wie już dobrze, że jedynym naszym celem jest w tym wypadku zarobienie owych stu tysięcy dolarów. Jeżeli więc nie da nam pan już teraz w tym względzie zapewnienia, czy może pan żądać, abyśmy uczynili dla niego tę grzeczność i pozwolili na bezwartościowe dla nas czułości ze swą narzeczoną?... Business, to grunt i przede wszystkim business Mr Ronicki... – wykrzywiła żółtą powieść, twarz w odrażającym uśmiechu.

– A ja wam powiem, że właściwa przyczyna tego ma całkiem inne podłoże... – odparł na to Ronicki i urwał, pragnąc spotęgować niespokojne zaciekawienie jakie teraz bez trudu można było wyczytać na ich zmienionych obliczach, a zwłaszcza na twarzy Billa Monktona.

Odczekawszy kilkadziesiąt sekund, Stefan rzekł:

– Pragniecie całą sumę przywłaszczyć sobie, a przez to zakpić ze swego szefa, który dotąd dawał wam tylko nędzny ochłap za pomoc, jaką dawaliście mu w tym nędznym procederze... I jeżeli nie chcecie dopuścić mnie do Anity przed oficjalnym przyrzeczeniem, że przyjmuję wasze warunki, to wchodzi tu w grę jedynie obawa, aby na wypadek nieudania się całego planu, jaki powzięliście. Anita nie zdradziła mej obecności tu przed waszym szefem... Czy ośmielicie się zaprzeczyć temu, co mówię?..

Ale zarówno Bill, jak i jego przebiegła towarzyszką, widząc już jasno, że ich najskrytsze zamierzenia zostały odkryte przez Ronickiego, nie mieli zamiaru dłużej ukrywać tego wszystkiego, co i tak zostało niespodziewanie zdemaskowane w całej rozciągłości.

– Jest pan domyślnym, Mister Ronicki – rzekł wreszcie Bill z głupkowatym uśmiechem.

– Czyż wobec tego, że zdradzacie swojego szefa, a może i innych współtowarzyszów tego niecnego procederu, jakiemu się oddajecie, mogę zaufać, iż dotrzymacie przyrzeczenia? Że uwolnicie Anitę z chwilą podjęcia okupu?...

– Tak, Sir; przyrzeczenia dotrzymamy z całą pewnością – pośpieszyła upewnić go stara Agata.

– A jednak mam prawo wątpić w waszą uczciwość, jeżeli w ogóle słowo „uczciwość” może mieć jakiegokolwiek znaczenie w odniesieniu do was, zbrodniarzy najpodlejszego gatunku, – zauważył Stefan z naciskiem.

– Nie ma pan innej drogi, Mister Ronicki – przypomniał Monkton z gestem, obrazującym bezradność. Inżynier zagryzł wargi niemal do krwi. Bezczelność i pewność siebie, z jaką tamci konsekwentnie zdążali do celu, wszystko to doprowadzało go do wściekłości, którą jednakże musiał hamować, zdając sobie dokładnie sprawę, że jest wobec nich bezsilnym.

– Niech pan się szybko decyduje, Mister Ronicki; pośpiech jest nakazany nie tylko dla nas, ale i dla pana – przypomniał Bill, śledząc grę twarzy Stefana i dostrzegając w niej coraz wyraźniej występujące zewnętrzne objawy poddania się woli jego, Billa Monktona. – Opóźnienie może pociągnąć za sobą niespodziewane i przykre następstwa – dodał z dobrze udanym niepokojem.

– Przyjmuję wasze warunki – wykrztusił wreszcie Ronicki przez zaciśnięte zęby, a w oczach zapaliły mu się groźne, złowieszcze przebliski.

– Wiedziałem, że pan się tylko będzie chciał potargować – ucieszyła się stara Agata, szczerząc w odrażającym uśmiechu resztki spróchniałych zębów

– Prowadźcie mnie do Anity! – krzyknął Stefan, nie mogąc dłużej zapanować nad rozdraganymi nerwami.

– Agato, prowadź, a ja pójdę z tyłu – rzekł Bill, pragnąc mieć więźnia pod czujnym dozorem swoich potężnych mięśni.

Troje ludzi przedzierało się teraz przez wąskie i niskie zakamarki podziemi. Stefan, posuwając się za starą kobietą, czuł jak serce uderzało mu coraz silniej, a przy każdym mijanych drzwiach skurcz jakiś chwycił go za gardło i dreszcz nieokreślonego lęku wstrząsał ciałem bez przerwy.

Wreszcie zatrzymali się nad kwadratową pokrywą, zasłaniającą niewielki otwór, wiodący pod podłogę głównego korytarza. Bill odryglował ukrytą pod kamieniami zasuwkę i uniósł drewniane wieko.

Przy świetle elektrycznej latarki Ronicki dojrzał wąską drabinę, biegnącą prostopadle w ciemną, czeluść otworu.

Agata, postępując pierwsza, poczęła spuszczać się po szczeblach drabiny. Kiedy jej rozczochrana głowa zniknęła pod podłogą, Bill dał Ronickiemu znak, aby poszedł jej śladem.

I dopiero kiedy wszyscy troje znaleźli się na dnie następnej piwnicy i wieko z głuchym trzaskiem nakryło na powrót wąski, kwadratowy otwór, Monkton przekręcił ukryty w szczelinie między cegłami ściany taster i światło elektrycznej żarówki rozjaśniło panujące tu dotąd nieprzeniknione ciemności.

Stefan nerwowym spojrzeniem omiół ściany piwnicy.

– To jeszcze nie tu – rzekła Agata, odgadując, że Ronicki spodziewał się tutaj zastać Anitę. – Dobrześmy ją ukryli, co? – uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Bill tymczasem podszedł do stojącej pod ścianą dużej skrzyni i począł wyrzucać z niej małe, niezbyt ciężkie woreczki, zawierające prawdopodobnie owies, przeznaczony na paszę dla koni.

Ronicki w pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, dlaczego właśnie teraz, zamiast wedle umowy poprowadzić go do Anity, Monkton zajmuje się gospodarskimi czynnościami. Nim jednak zdążył zwrócić gangsterowi na to uwagę, ten, wyrzuciwszy ostatni woreczek, rzekł, zwracając się w stronę Agaty:

– Wehódź; tylko ostrożnie, bo dźwignia kiepsko działa; Mister Ronicki pójdzie za tobą.

Stefan przysunął się bliżej i zajrzał do wnętrza skrzyni. To jedno spojrzenie wystarczyło mu w zupełności, aby zrozumieć, że znajduje się tutaj jeszcze jedno zamaskowane przejście, wiodące z dna skrzyni do następnej piwnicy. Woreczki z owsem normalnie poukładane na poprzecznych listwach, nie pozwalałyby nawet domyślać się, co kryje się pod dnem olbrzymiego, drewnianego pudła.

– Rozmyślając nad tym, Stefan w duszy przyznawał rację współtowarzyszce gangstera, że istotnie Anita, jeśli gdzieś tam się znajduje, jest dobrze ukryta, nawet na wypadek dokładnego przetrząsania piwnic farmy Monktona. Teraz widział już jasno, jak trudną jest walka z podziemnym, przestępczym światem, który dzięki niebywalej organizacji i rutynie, może bezkarnie dokonywać najpotworniejszych zbrodni, wobec których prawo wykazuje zupełną bezsilność. Tym stwierdzeniem niejako usprawiedliwiał się przed samym sobą za uległość w stosunku do zbrodniarzy.

Ale tego rodzaju refleksje musiały ustąpić przed otaczającą go rzeczywistością, bo oto zagłębiwszy się w ślad za Agatą w wąski otwór nowego podziemnego przejścia, za chwilę Ronicki znalazł się w obszernej, słabo oświetlonej małej, elektryczną żarówką, piwnicy. Nim zdążył rozejrzeć się dokoła, usłyszał przed sobą skrzeczący głos starej kobiety:

– Jesteśmy już na miejscu...

Te słowa do reszty zelektryzowały napięte nerwy Stefana. Nim jednak zdążył się opanować na tyle, aby odzyskać potrzebną w takich razach choć niewielką, dozę zimnej krwi – ujrzał o dwa kroki przed sobą, siedzącą na tapczanie Anitę.

– Stef! – usłyszał jeszcze pierwiej, nim zdołał się zbliżyć do ukochanej dziewczyny, a w chwilę później białe, kształtne ramiona Anity oplótły mu szyję.

Zapominając o wszystkim, na długie minuty utonęli w przesłodkiej ekstazie własnego szczęścia...

Bill Monkton okazał się dżentelmenem, bowiem wraz ze swą nieodstępną towarzyszką natychmiast zniknął z piwnicy. Nie znaczyło to bynajmniej, aby ukryty w którymś z sąsiednich zakamarków, nie obserwował zachowania się tych dwojga, oszalałych ze szczęścia kochanków.

– Stef... mój Stef jedyny.. najdroższy... – powtarzała Anita, nie odrywając ramion od szyi ukochanego.

Ronicki nie mógł słowa wyrzucić. Wszystko to, co przeżywał w tej chwili, zdawało mu się być jakimś nadziemskim objawieniem, czy też przesłodkim sennym mamidłem. Bał się po prostu poruszyć, aby nie spłoszyć cudnego mirażu. W nawale szczęścia, jakie potężną, wezbraną falą przelewało mu się przez serce, zapomniał, że obydwójce jeszcze znajdują się w przemożnej mocy zbrodniarzy. Czuł tylko na piersi rozedrgane nadmiarem radosnych wzniesień ciało ukochanej dziewczyny i ta świadomość przesłaniała mu wszystko inne.

ROZDZIAŁ VIII

NOWY CIOS

Ronicki wracał do miasta. Auto z szumem pneumatyków sunęło po gładkim asfalcie, odkrzykując się co chwila metalicznym głosem trąbki, pędzącym w przeciwną stronę automobilom.

Gdy wpadli w rojne o tej porze śródmieście, gwar płynących bez przerwy tłumów, nawoływania ulicznych sprzedawców, ryk syren samochodowych, dzwonki elektrowozów, – wszystko to w skołatanej głowie Stefana zlało się w jakąś potępieńczą, oszalałą melodię, nie pozwalając pracować, skupianym nadludzkim wysiłkiem woli myślom.

Rąbek słabej nadziei nie potrafił przytłumić przewiercającego mu mózg na wylot lęku o los najdroższej istoty, którą zostawił tam w ponurych podziemiach farmy zbrodniarza, zdane na łaskę potwornych ludzi-szakali.

– Czy można im zawierzyć?... czy można im zaufać?... – powtarzał bez przerwy, nie znajdując odpowiedzi, pomimo, że przyjął przedstawione mu warunki i spieszył podjąć z kasy żadaną przez Billa sumę.

Obawy Ronickiego były uzasadnione. Z tego wszystkiego, co dotychczas zdołał przeniknąć, a przede wszystkim z ostatniej rozmowy z godną parą zbrodniarzy, widział wyraźnie, że Anita znalazła się w wirze, pozornie zamaskowanej, tym niemniej jednak okrutnej, zaciętej walki między wyzyskiwaczem „Kameleonem” a wyzyskiwanym gangsterem, Billem Monktonem. Wyraźna, wyrafinowana zdrada, do jakiej uciekał się ten ostatni, miała już raz na zawsze podciąć egzystencję, zdawało się, wszechwładnego szefa.

– Lecz czy ten nie zdoła przeniknąć, lub w porę odkryć śmiałych zamiarów Monktona?... – myślał Ronicki, zdając sobie dokładnie sprawę, jakie komplikacje tego rodzaju wypadek wprowadziłby w całą aferę. – Całe szczęście, że Kameleon dopiero na jutro wyznaczył termin uiszczenia okupu – pocieszał się. – Do tego czasu, o ile Monkton choć w tym wypadku okaże się uczciwym, zdołam Anitę wyrwać z rąk tych potworów...

Ale nagle, w rozgorączkowanym umyśle Stefana, zrodziła się nowa, przerażająca myśl: – czy Bill, który tak łatwo przyznał się do zdrady wobec swojego szefa, nie działa w ścisłym z nim porozumieniu?... Czy nie jest to wszystko jeszcze jednym oszustwem, mającym na celu uzyskanie podwójnego okupu?... Kto wie, czy w tej właśnie chwili, mając zapewnione sto tysięcy dolarów, zbrodniarze nie przenoszą Anity do innej kryjówki, aby nazajutrz, w myśl przedstawionych w liście warunków, uzyskać za pośrednictwem Mr Spenzera drugi raz taką samą sumę?...

To, tak niespodziewanie zrodzone przypuszczenie zjeżyło Stefanowi włosy na głowie, a zimny obfity pot zrosił mu czoło.

– Co robić?... co robić?... – powtarzał na wpół przytomnie, nie mogąc już zdobyć się na żaden myślowy wysiłek.

Na szczęście auto ze zgrzytem hamulców zatrzymało się przed willą Mr Childsa.

Ronicki wyskoczył z karetki, nim jednak zdążył dojść do schodów, wiodących poprzez werandę do hallu, spotkał wychodzącego stamtąd lokaja.

– Czy pan dyrektor jest w domu? – rzucił pytanie, zgiętemu w ukłonie służącemu.

– Jest, Sir, lecz leży w łóżku i nikogo nie przyjmuje – odparł tamten. – ale pana kazał prosić o każdej porze.

Ronicki bez słowa podążył za lokajem. Gdy przekroczył próg sypialni swojego szefa, już od jednego spojrzenia przekonał się, że Childs jest istotnie chory. Jego szeroka, czerwona zazwyczaj twarz oblekła się teraz chorobliwie żółtą maską, nieznaczne dotąd zmarszczki pod oczami ukształtowały się wydatnie w obwisłe podkwy i niespokojne, zalekłe spojrzenie, świadczyło o trawiącej go gorączce.

Pomimo to na widok gościa chory usiadł na łóżku i wyciągając drżącą dłoń na powitanie, zapytał zmienionym, zachrypłym głosem:

– Co z Anitą, na miłość Boską?!... Czemu jej nie szukacie?!... Stef... ty ją musisz... koniecznie musisz odnaleźć... Patrz... ja nie mogę... – wykrztusił z widocznym wysiłkiem, wskazując na serce.

Ronicki siłą woli stłumił wzruszenie, jakie opanowało go na widok tego zdrowego i rześkiego jeszcze wczoraj człowieka, z którego nadludzka rozpacz po prostu w oka mgnieniu, wysała żywotne soki, pozostawiając jedynie ruinę dawnego zdrowia. Z tych też względów Stefan, wbrew poprzednim postanowieniom, uznał za konieczne zataić wszelkie trapiące go obawy, a jedynie starać się pocieszyć chorego, zrozpaczonego ojca.

– Jesteśmy na dobrej drodze – rzekł z dobrze udaną pewnością – i jeszcze dziś wieczorem miss Anita szczęśliwie wróci do domu.

Na te słowa w błyszczących oczach Childsa zapaliły się żywsze błyski, a na policzki wypełzł lekki rumieniec. Trwało to jednak krótko. Childs bowiem wyczuł nieszczerłość słów Ronickiego, więc rzeki złamanym, nabrzmiałym skargą głosem:

– Chcecie mnie pocieszyć... Ale ja wiem, że jest inaczej... Ja to czuję... – zwiesił głowę, a po zwiędłych policzkach stoczyły się, może pierwsze od czasów dzieciństwa, łzy.

Stefan widząc to czuł, że i jemu wilgotnieją powieki, a do serca na nowo zakrada się straszny, przerażający lęk, który do reszty stłumił iskrę nadziei. A było to tym boleśniesz, że zaledwie godzinę temu tulił do piersi tą jedyną, ukochaną dziewczynę, a dotknięcia jej gorących warg czuł jeszcze dotąd i widział w jej oczach bezgraniczną po prostu wiarę, że nie długo wyrwie ją z rąk zbrodniarzy.

I Stefan, przypominając sobie to wszystko, cierpiał nadludzkie katusze, zatracając do reszty wiarę w dotrzymanie umowy przez Billa Monktona. W dużym stopniu przyczyniło się ku temu zwątpienie i rozpacz starego Childsa, czemu tak łatwo uległ optymizm młodego inżyniera.

I aczkolwiek w szczegółach różne, lecz zbiegające się w jednym ośrodku, któremu na imię Beznadzieja, bezlitośnie dręczące uczucia przewalały się przez serce tych dwóch nieszczęśliwych ludzi, ojca i narzeczonego ofiary potwornej, nieludzkiej zbrodni. Ronicki nie miał odwagi pocieszać chorego, zrujnowanego tym strasznym ciosem ojca, bowiem nie wierzył w to wszystko, co mógłby powiedzieć. Trwali więc obaj w bolesnej, aż do szaleństwa ciszy, choć myśli ich i uczucia owijały się dokoła jednego, wspólnego problemu.

Jednakże, stary Childs, który choć zdawał się być w stanie ostatecznej depresji ducha, widocznie, wbrew swoim poprzednim słowom, uczepił się rąbka nadziei, jaką na wstępie wskrzesił w nim Ronicki, gdyż podnosząc niespokojne spojrzenie na swego gościa, zapytał niepewnym głosem:

– Stef... czy jest choć odrobina prawdy w tym wszystkim, co powiedziałeś?... Czy to możliwe?...

Te słowa w jednej chwili wytrąciły Stefana ze stanu dotychczasowej apatii, wywołanej przemożnym wpływem sugestii. Nieśmiała nadzieja, jaka teraz zadrgała w słowach ojca Anity, wyzwoliła drzemiącą gdzieś głęboko w podświadomości wiarę w samego siebie, a zatem w pomyślnie przeprowadzenie do końca tej okrutnej transakcji.

– Tak jest – odparł bez chwili wahania. – Miss Anita. dziś jeszcze wróci do domu. Udało mi się niezbitnie stwierdzić miejsce jej chwilowego pobytu i wejść w kontakt ze zbrodniarzami. Za godzinę uiszcę okup i przywiozę Anitę.

Słowa jego tchnęły tak głęboką pewnością (istotną czy dobrze udaną), że stary Childs uwierzył w nie bez chwili wahania.

– Stef... mój kochany... dobry Stef... – wyszeptał, ściskając dłoń Ronickiego, a duże, jak groch, łzy kapały na koldrę.

Idź, Stef... idź... śpiesz się!... – szeptał, trzęsąc się jak w febrze. – Podejmij potrzebną sumę... Oto klucze od biurka. Podpisane in blanco czeki znajdziesz w szufladzie... Śpiesz się, mój chłopcze!

Ronicki na wylew czułości Childsa odwzajemnił się silnym uściskiem dłoni i wybiegł z sypialni. Nim jednak wyjął książeczkę czekową, zadzwonił po lekarza, któremu zalecił stałe czuwanie przy łóżku chorego.

W niespełna pół godziny później, ze stoma tysiącami dolarów w kieszeni, przechadzał się nerwowo po ruchliwej Washington Street, przed cukiernią Freda Simona, w niespokojnym oczekiwaniu na przybycie Billa Monktona.

– Między ósmą a dziewiątą.. – powtarzał w myśli, spoglądając co chwila na zegarek, którego wskazówki zdawały się nie posuwać wcale naprzód. – Za kwadrans ósma – powiedział teraz prawie głośno, nie mogąc opanować, do najwyższych granic spotęgowanego zniecierpliwienia.

Jego nerwowy spacer, odbywany na przestrzeni stu metrów, tam i z powrotem, zwrócił uwagę siedzących przy oknie gości cukierni Simona. Poczęto go pilniej obserwować, w złośliwy sposób komentując jego nerwowe, pełne wyraźnego niepokoju, ruchy.

Jednakże rozgorączkowany Ronicki nie był w stanie tego zauważyć, bowiem jego spojrzenia ustawicznie przenosiły się z tarczy zegarka na wylot bocznej ulicy, skąd spodziewał się nadejścia Billa Monktona. Gdyby jednak choć trochę uwagi poświęcił dużym oknom cukierni Simona, niechybnie zauważył by wytwornego jegomościa z krótko przyciętą bródką, w czarnych rogowych okularach, który nieznacznie wychylony z poza okiennej framugi, obserwował go z niezwykłym, zaciekawieniem.

Minuty niecierpliwego oczekiwania płynęły szybko, aczkolwiek Ronickiemu wydłużały się do rozmiarów całych godzin. Zegarek wskazywał już kwadrans po ósmej, a Bill się nie zjawiał. Chwilami Stefan postanawiał bezzwłocznie jechać na farmę Monktona, ale powstrzymywała go obawa przed ominięciem się w drodze. W rzadkich momentach przyływa rozwagi pocieszał się tym, że jeszcze pora wyznaczonego spotkania nie minęła i Bill z całą pewnością zjawi się lada chwila.

Gdy jednak zegarek odmierzył następne dwa kwadranse, a oczekiwany gangster nie ukazał się na ulicy, Ronicki już bez wahania zdecydował się jechać do jego spelunki.

Z tą myślą odwrócił się w stronę jezdni, aby zatrzymać pierwsze, z brzegu, wolna taksówkę, gdy nagle dostrzegł szybko pędzącą limuzynę z rozpartym na szerokim siedzeniu, Ludwikiem Blumem. I aczkolwiek wóz przemknął jak strzała, z niedozwolona na ulicach miasta szybkością, Stefanowi się zdawało, że Blum go zauważył i wykrzywił swą bladą twarz w szyderym uśmiechu. Ten niepozorny, błahy wypadek odebrał Ronickiemu resztki nadziei, prowadząc do zupełnej rezygnacji.

– Łudziłem się, sądząc, że ten podły Bill Monkton chce działać na własną rękę... – rozmyślał teraz z goryczą. – Kryła się w tym jedynie jeszcze jedna zbrodnicza intryga, której źródła i celu nie sposób dociec... O Boże!... – szepnął, zataczając się jak pijany, pod ciężarem bezmiaru nieszczęścia. Rozpacz, bolesna aż do utraty tchu szarpała mu trzewia, kurczowym opłotem niewidzialnych macek ściskała za serce i przewiercała mózg na wylot. Aby nie wpaść, oparł się o stylową fasadę cukierni i błędnym wzrokiem spoglądał na rzekę płynących przechodniów.

Jegomość w czarnych, rogowych okularach, aby go nie stracić z pola widzenia, przysuwał się z krzesłem bliżej okiennej szyby i, wychyliwszy się nieco, z niesłabnącym zaciekawieniem obserwował Ronickiego w dalszym ciągu.

Nagle Stefan drgnął... Ktoś go niespodziewanie pociągnął za rękaw i szepnął w ucho tylko te słowa:
– Sir, proszę za mną!... – po czym zniknął w oszklonych drzwiach cukierni Simona.

Ronicki podążył za nim. Idąc przez długą, rześcicie oświetloną salę, zastawioną małymi, okrągłymi stolikami, pełną gwaru dystygowanych gości, widział tylko przed sobą szerokie plecy nieznanego, zdążającego pod przeciwległą ścianę, gdzie było więcej wolnych miejsc i można było swobodnie rozmawiać.

I teraz dopiero, kiedy nieznanemu zajmując miejsce odwrócił się w stronę Stefana, ten bez trudu rozpoznał w starannie ubranym i dobrze prezentującym się mężczyźnie, Billa Monktona.

Jegomość w rogowych okularach, nie zdradzając do ostatnich granic posuniętego zaafierowania, powstał od stolika, po czym przysiadłszy się bliżej nowych gości, nakryty szeroka płachtą gazety, zdawał się być całkowicie zagłęzionym w czytaniu. Jednakże baczny obserwator bez trudu mógł zauważyć, że poprzez wypaloną cygarem dziurkę w gazecie bez przerwy śledzi zachowanie się Monktona i Ronickiego.

Ci tymczasem rozmawiali ze sobą szeptem. Bezczelny i pewny już wygranej Bill zaproponował solidne „oblanie” interesu i Stefan tylko z trudem opanował się na tyle ażeby nie pluć w szyderczo uśmiechniętą gębę gangstera, znajdującego jakąś sadystyczną wprost rozkosz w dręczeniu nieszczęśliwego młodzieńca.

Na szczęście Monkton w porę zrozumiał, że nie należy zbytnio przeciągać struny, wobec czego, nie ociągając się dłużej, przystąpił do rzeczy.

– Oto klucze – rzekł, dyskretnie wsuwając Ronickiemu w rękę skórzany woreczek. – Poza tym wszystko bez zmiany, wedle umowy... Poproszę o gotówkę...

Stefan nerwowym ruchem wyjął z kieszeni wypchany portfel i odliczył żadaną sumę.

– All right! – stwierdził gangster, wsuwając banknoty w kieszeń szerokich spodni.

Lecz Ronicki już tego nie słyszał. Chwycił kapelusz i wypadł na ulicę. Zatrzymał pierwszą z brzegu wolną taksówkę i rzucił szoferowi adres, wskoczył do wozu, który w sekundę później zniknął na najbliższym zakręcie ulicy.

Ale i Monkton nie miał teraz potrzeby pozostawać dłużej w cukierni. Powoli, nie śpiesząc się, powstał od stolika i drugim wyjściem, wiodącym do ogródka, wyszedł z lokalu. Nie zauważył tylko, że w ślad za nim podążył bezzwłocznie tajemniczy jegomość w czarnych, rogowych okularach.

Stefan z bijącym sercem pchnął niezamkniętą furtkę w ogrodzeniu Monktona i poprzez niewielki dziedziniec podążył w stronę głównych drzwi wejściowych. Z sieni, przyświecając latarką, bez trudu odnalazł zejście do piwnic, przebiegł pierwszy podziemny korytarz, z łatwością odrzucił drewnianą pokrywę, zasłaniającą schodki, wiodące do niżej położonych lochów, przesunął ramię ukrytej w skrzyni dźwigni i wpadł do separatki Anity.

Panowały tu nieprzeniknione ciemności. Ronicki dygocąc jak w febrze, skierował światło elektrycznej latarki na tapczan i... okrzyk bezgranicznej rozpaczycy odezwał się złowieszczym echem pośród zakamarków podziemi.

Posłanie było puste. Anity nie było nigdzie, ani w tej, ani w żadnej z następnych piwnic, zionących zaduchem zgnilizny i przeraźliwą, czarną otchłanią pustki...

ROZDZIAŁ IX

MIŁOŚĆ ZBRODNIARZA

Ludwik Blum swój pierwotny plan zmienił o tyle, że postanowił zabrać Anitę z farmy Monktona w przeddzień zamierzonej ucieczki. Obawiał się bowiem, że gdyby sprawa uiszczenia okupu niespodziewanie się powikłała, stary wydałby nowe dyspozycje, dotyczące losu branki, a to mogło pozbawić go ukochanej dziewczyny raz na zawsze. Obawy Ludwika były jeszcze usprawiedliwione i z tego względu, że aczkolwiek stary Childs ulegle poddawał się ich woli, nie oponując przeciwko uiszczeniu okupu, – narzeczony Anity, Mister Ronicki, w milczeniu zaciskał zęby, a dziko płonący wzrok obiecywał krwawy odwet za krzywdę wyrządzoną ich szczęściu. Kto wie, czy wobec tego młody inżynier w tajemnicy przed Mr Childsem nie zaangażował kogoś ze zdolniejszych detektywów, co w prostej konsekwencji mogło spowodować katastrofalną wyspę.

Z tych względów przebiegły Blum postanowił jeszcze dzisiaj wieczorem przewieźć dziewczynę do jednej z sąsiadujących z lotniskiem gangsterskich spelunek, aby nazajutrz, po rozstrzygającej rozprawie z Franckiem, szybko powrócić do miasta i zabrawszy Anitę do kabiny „Bellanki”, umknąć przed strasznym gniewem groźnego szefa i stworzyć sobie nowe, beztraskie życie w dalekiej, słonecznej Kalifornii, przy boku umiłowanej dziewczyny.

Wobec takiego planu całe popołudnie Blum spędził na, likwidacji osobistych spraw w Chicago. W pierwszym więc rzędzie, podjął z banku całą gotówkę, wyrażającą się pokaźną cyfrą stu dwudziestu tysięcy dolarów, przetrząsnął szuflady biurka, alby pozbyć się wszelkich, mogących go skompromitować papierów, zaopatrzył się w nowe dowody osobiste, po mistrzowsku sfabrykowane przez słynnego w tej branży, Jacka Atkina, na, nazwisko Henry’ego Smitha, bankiera rodem z Detroit, spakował małą podręczną walizkę, i z niecierpliwością oczekiwał nadejścia zmierzchu, aby udać się na farmę Monktona.

Gdy zegar wybił ósmą i hotelowy boy zameldował, że zamówiona taksówka zajechała przed bramę, Ludwik doznał jakiegoś dziwnego lęku, jakby w przeczuciu nieszczęścia, jakie może spowodować jego zbyt śmiałe przedsięwzięcie. Szybko jednak opanował się i, nadrabiając miną, zbiegł lekko po schodach, po czym, rzuciwszy porozumiewawcze spojrzenie znajomemu szoferowi-gangsterowi, wskoczył do wozu i auto ruszyło z miejsca prosto. Jak strzelił, a długą na dziesięć kilometrów ruchliwą Milwaukee Avenue.

Jadąc tak, Blum dla dodania sobie odwagi począł wygwizdywać jakąś kabaretową, piosenkę, starając się w ten sposób zagłuszyć uparcie powracające uczucie niepokoju. Mimo to przed oczyma miał ustawicznie groźną, pałającą żądzą twarz wszechwładnego Kameleona.

– Trudno... – pomyślał wreszcie z niezłomnym postanowieniem, że cokolwiek się stanie, nie zmieni w niczym powziętego zamiaru. Zaczął więc jeszcze raz gruntownie korygować opracowany plan działania:

– Bill o tej porze będzie w domu – rozmyślał. – Bez żadnych wstępów, udając specjalny pośpiech, zażadam z polecenia Kameleona natychmiastowego wydania dziewczyny. Ażeby zabezpieczyć się przed ewentualnymi podejrzeniami, zwłaszcza ze strony przebiegłej Agaty, wspomnę tylko, że stary dość niedwuznacznie dał mi wyczuć, że obecna kryjówka na farmie jego, Billa Monktona, nie jest zbyt pewną i dlatego dziewczynę do jutra należy ulokować

gdzie indziej. Na wszelki wypadek zdradzę im w sekrecie, że Anitę wywożą do dzielnicy murzyńskiej, gdzie ją ukryją w speluncie Marty Connor. Gdyby nawet podejrzliwy Bill, dla sprawdzenia tego, co powiem, pofatygował się na drugi koniec miasta, stara Marta, przekupiona dwudziestodolarowym banknotem, potwierdzi moje słowa. Tymczasem Anita przepełdzi noc w mieszkaniu Johna Allena, w bliskim sąsiedztwie lotniska, skąd jutro wystartujemy na „Bellance” Spenzera.

– Dziewczynie na wszelki wypadek damy zastrzyk – rozmyślał teraz, uspokojony już, co do wątpliwych zresztą przeszkód ze strony Billa. – Mała dawka trucizny oszołomi ją tylko na krótki czas jazdy przez miasto, a z chwilą przybycia na miejsce, kielich mocnego wina postawi ją z powrotem na nogi. John obiecał przygotować odpowiedni, luksusowo urządzony pokój. Spędzimy noc razem...

Na te myśli Ludwik uśmiechnął się z zadowoleniem, gdy nagle, odwróciwszy głowę w stronę chodnika, ujrzał stojącego przed cukiernią Simona, Stefana Ronickiego.

Wprawdzie taksówka przemknęła szybko, jednakże Blum zdołał zauważyć, że narzeczony Anity posłał mu dzikie, pałające żywiołową wprost chęcią zemsty, spojrzenie.

Ten pozornie mały wypadek na jakiś czas pozbawił Ludwika dobrego samopoczucia i paniczny lek, przytłumiony sztucznie wywoływany optymizmem, na nowo wpełzał do duszy, rodząc najgorsze, przerażające myśli.

– Czyżby on wiedział o wszystkim?... – pytał sam siebie z trwogą, czując, że ciało zaczyna dygotać, niczym w febrycznym dreszczu. – A może specjalnie oczekiwał tu na mnie, i w tej chwili w asyście urzędników wydziału śledczego podażą za moim wozem? – To straszne przypuszczenie zjeżyło mu włosy na głowie, a zimny, kroplisty pot wystąpił obficie na czoło.

– Prędej! – krzyknął na szofera, pragnąc umknąć przed urojoną pogonią.

Kierowca podwoił i tak już niedozwoloną szybkość i w kwadrans później wóz, przeciąwszy w poprzek kilka podrzędnych ulic, wpadł na szeroką szosę, przy której w niewielkiej odległości stała farma Billa Monktona.

Jednak przezorny młodzieniec nie od razu opuścił taksówkę. Jakiś czas, zatrzymawszy się w odległości kilkuset metrów od farmy, stali za zgaszonymi latarniami, a Ludwik bacznie lustrował każdy wymijający ich wóz, i dopiero po kilkunastu minutach, upewniwszy się, że narazie niebezpieczeństwo pościgu nie zagraża, wysiadł z wozu i udał się w kierunku zabudowań domostwa Billa.

Zaraz na wstępie zdziwiło go, że nikt nie wyszedł na spotkanie, pomimo, że zainstalowany przy furtce kontakt dzwonka alarmowego dał znać o jego przybyciu. Przyspieszywszy więc kroku przekroczył próg mieszkania, lecz i tu nie zastał nikogo.

– Co to wszystko ma znaczyć? – myślał z rosnącym niepokojem. Zajrzał do następnej izby, obszukał gospodarcze zabudowania, kilka razy zawołał Monktona po imieniu, – nikt jednak nie odpowiadał.

– Źle jest – stwierdził teraz głośno, wnosząc z tego wszystkiego, że stało się coś niezwykłego. Nie mógł bowiem przypuszczać, ażeby pedantyczny pod tym względem Bill zostawił swą farmę, gdzie przebywa tak cenny „zastaw”, bez należytej opieki. – A zatem – rozmyślał dalej Ludwik – albo Spenser z niewiadomych powodów wcześniej zabrał dziewczynę, lub też, co wydawało się mało prawdopodobnym, bezczelny zbir, jak nazwał teraz Monktona, przehandlował „towar” z wolnej ręki, a sam umknął przed słusznym gniewem Kameleona.

To przypuszczenie wypędziło z twarzy Ludwika resztki krwi i duszność, wywołana nadmiarem przykrych wzruszeń, ścisła go za gardło. Bowiem równałoby się to katastrofie na całej linii. Blum zdawał sobie sprawę z tego, że wobec Kameleona przede wszystkim on jest odpowiedzialnym za Anitę, której miał obowiązek pilnować na równi z Billem.

– W takich sprawach szef nie zna żartów – stwierdził głośno, z wyraźnym drżeniem głosu i dostrzegł jasno, jak cały, tak mozolnie opracowany plan wali się w gruzy, które w dodatku mogą i jego pogrzebać raz na zawsze.

Pełen najgorszych myśli wszedł jeszcze raz do sieni przyświecając elektryczną latarką, spojrzął na drzwiczki wiodące do podziemi... Były zamknięte...

Ten mały szczegół wskrzesił w duszy Ludwika bladą iskrę nadziei. O ile bowiem Bill wywiózł stąd Anitę, zbędnym wydawało się zamykanie próżnych podziemi. Jednakże i w tym wypadku mogła gangsterem powodować chęć gry na zwłokę.

– Trzeba to wszystko sprawdzić – rzekł Blum do siebie, wyjmując pęk precyzyjnych wytrychów, którymi bez trudu potrafił otworzyć każdy zamek.

W chwilę później z bijącym niespokojnie sercem zapuścił się w kręte zakamarki podziemi. I choć znał tutaj na pamięć każdy korytarz, każde zamaskowane drzwiczki, jednakże natęzał zmysły, ażeby nie zmyliwszy drogi, jak najprędzej dotrzeć do piwnicy Anity.

I kiedy dobrnąwszy do ostatniego korytarza naciskał ramię ukrytej w skrzyni dźwigni, uczucie niepokoju osiągnęło swój punkt kulminacyjny.

Gdy jednak w minutę później wychylił się po drugiej stronie grubego, kamiennego muru i światło elektrycznej latarki rozproszyło panujące tu mroki, mimowolny okrzyk radości wyrwał się z piersi młodzieńca... – Anita leżała na tapczanie, pogrążona we śnie, o czym świadczył równy, głęboki oddech.

Blum odetchnął, otarł pot z czoła i cicho, na palcach, zbliżył się do śpiącej dziewczyny.

Jakiś czas w milczeniu, z zachwytem ślizgał się pożądliwym spojrzeniem po drobnej, nieco zaróżowionej snem twarzyczce, klasycznie toczonych, nagich ramionach, śledził powolne, miarowe wznoszenie się opiętego jedwabną tkaniną, biustu, i krew kipiącym warem poczęła napływać mu do twarzy. Rozchylone nieco, różowe wargi dziewczęcia kusily do pocałunków i Ludwik tylko z trudem mógł opanować rozedrgane aż do ostatniego fibru nerwy, aby szalonym czynem przedwcześnie nie zdradzić swoich najskrytszych zamiarów.

Jednakże wskazany w tym wypadku pośpiech nie pozwalał na dłuższą rozkoszną kontemplację. Każda stracona minuta mogła przynieść nieoczekiwany, fatalny w następstwach zwrot w tym całym, tak świetnie dotąd układającym się przedsięwzięciu. Dlatego też Ludwik szybko otrząsł się z chwilowej zadumy, a sen dziewczyny postanowił jedynie wykorzystać do wstrzyknięcia jej oszałamiającego narkotyku. Szybko więc wyjął szklaną szprycę, zakręcił długą niklową igłę i naciągnąwszy z małej ampulki mętnego płynu, delikatnie odsunęli pled, przygrywający Anitę.

Dziewczyna drgnęła, powoli otworzyła oczy, nim jednak świadomość wróciła jej w całej pełni, Blum zdążył wyjąć igłę i na powrót zarzucić pled na nogi Anity.

Jakiś czas cisza zalegała piwnicę. Rozbudzona dziewczyna, nie poruszając się z miejsca, szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w stojącego obok młodzieńca, pierwszy raz go tu widząc, a który wydawał jej się znajomym. Nie mogła powiązać ze sobą strzępów snujących jej się po głowie wspomnień ostatnich wydarzeń. Chwilami zdawało jej się, że był tutaj Stefan. I przyobiecał zabrać ją wkrótce do domu... Ale Stefan odszedł, a przyszła ta stara, odróżająca kobieta i przy pomocy Billa wlała jej do ust przemocą jakąś mdłą, słodkawą miksturę, która przyprawiła ją o senność. Lecz czy to wszystko było jedynie sennym urojeniem czy też rzeczywistością, tego oszołomiona dziewczyna nie mogła dociec żadną miarą.

– A teraz ten młody człowiek... Skąd się tu wziął i czego chce ode mnie?... – myślała z widocznym wysiłkiem. – Nie jest to przecież Stefan... W każdym razie woli jego obecność niż tej pary wyrafinowanych zbrodniarzy.

Ale częściowo rozbudzone po narkotycznym śnie myśli Anity poczynają na nowo się płatać pod wpływem zastrzyku Ludwika. Dziewczyna, aczkolwiek ma oczy szeroko otwarte, nie zdaje już sobie sprawy z tego gdzie jest i co ją otacza. W uszach powstaje piekielny szum, a w głowie chaos rwących się wspomnień, aż wreszcie wszystko tonie w nieprzeniknionym mroku niepamięci.

Kiedy dziewczyna na powrót przymknęła powieki, onieśmielony z początku Blum szybko otulił ją pledem, głowę omotał specjalnie w tym celu przygotowaną chustką i pobiegł po oczekującego w taksówce szofera.

Silny, barczysty chłop, jakim był szofer, Willy Vogeler, bez najmniejszego wysiłku przeniósł śpiącą Anitę do wozu, po czym taksówka, omijając ważniejsze arterie, tym razem już z przepisową szybkością podażyła w stronę rzęsicy oświetlonego lotniska.

W pokoju panował półmrok. Mała lampka, nakryta czerwonym abażurem, słabo oświetlała duży, choć niski pokój, którego umeblowanie stanowiło żelazne francuskie łóżko, szeroka otomana i niewielki okrągły stolik, nakryty wzorzystą serwetką. Kilka przyniesionych dywanów zaścielało podłogę, tłumiąc odgłosy kroków nerwowo przechadzającego się tam i z powrotem Ludwika Bluma. W pewnej chwili młodzieniec podszedł do łóżka i smętna spojrzenie zatrzymał na śpiącej dziewczynie. Anita spała niespokojnie. Nierówny oddech i ciężkie westchnienia, jakie dość często wydobywały się z jej piersi świadczyły, że dziewczynę trapią senne koszmary. Może pierwszy raz w życiu w duszy Bluma zrodziła się litość nad bezbronną niewinną ofiarą. Lecz gorące uczucie, jakie tak niespodziewanie wyrosło w jego sercu, było zbyt silnym, aby Ludwik, kierując się nakazem wzbudzonego sumienia, mógł się wyrzec ukochanej dziewczyny, przywracając jej wolność. Czując jednak niegodziwość swojego postępowania wmawiał w siebie, że Anita obdarzy go wzajemnością i dobrowolnie odda mu się na zawsze. Dlatego też z wzrastającą z każdą sekundą niecierpliwością oczekiwał chwili, aż dziewczyna przyjdzie zupełnie do siebie, aby wyjawic jej ów bezmiar uczucia, jakie od owej pamiętnej nocy rozsada mu serce. W myślach powtarzał sobie płomienne słowa wyznania, które do reszty rozwieją wątpliwy zresztą, opór i pchną młodą, niedoświadczoną dziewczynę w prężące się do uścisku ramiona jego, Ludwika Bluma.

– Nie wie przecież dotąd, że byłem jednym z jej prześladowców – rozmyślał dalej, – gdyż dotychczas widziała mnie jedynie w stanie narkotycznego oszołomienia. Dlatego też obecnie, kiedy w pełni odzyska świadomość, mogę bez przeszkód podać się za jej jedyne wybawcę, który wyrwawszy ją, z rąk, zbrodniarzy, umieścił tymczasowo w bezpiecznej, a zarazem wygodnej kryjówce.

Ta nowa myśl olśniła go tak dalece, że pragnąc, aby dziewczyna przebudziła się jak najprędzej, począł na powrót przechadzać się po pokoju, śpiewając głośno jakąś banalną, w treści piosenkę.

Takoż wkrótce posłyszał ciche westchnienie i kiedy podszedł do łóżka, zobaczył, że Anita ma oczy szeroko otwarte i z widocznym zaciekawieniem rozgląda się dookoła, jakby starając się dociec, jakim sposobem znalazła się w tym nowym, luksusowym, w porównaniu z dotychczasowym więzieniem, pomieszczeniu.

Dostrzegłszy Ludwika dziewczyna zatrzymała na nim zdumione spojrzenie i szybko nakryła się kołdrą, aż po brodę.

Blum uznał ten moment za odpowiedni do rozpoczęcia uplanowanej gry.

– Miss – rzekł, przybierając pełną powagi, a zarazem dystynkcji, pozę – jestem uszczęśliwionym, że dzięki moim wytrwałym zabiegom zdołała pani nareszcie odzyskać przytomność...

– Gdzie ja jestem i skąd pan się wziął tutaj, Mr Blum? – przerwała mu dziewczyna pytaniem.

— Poznała mnie... – pomyślał Ludwik z zadowoleniem. – Postaram się wszystko wyjaśnić – rzekł – tylko proszę zachować niezamącony spokój, czego wymaga poważnie nadwątlone zdrowie pani.

– Czuję się zupełnie dobrze i proszę nic nie taić przede mną, – rzekła Anita prawie wesoło, sądząc, że skoro znajduje się przy niej dobry znajomy i będący prawie w przyjacielskich stosunkach z jej domem, mister Ludwik Blum, sekretarz osobisty doradcy prawnego firmy jej ojca, – to wszystkie dotychczas przebyte cierpienia są już tylko upiornym wspomnieniem.

– Prawdopodobnie domyśla się pani, że jestem, tym, który wyrwał ją z rąk potwornych zbrodniarzy – podjął z łatwo dostrzegalną chępliwością w niżonym głosie.

Odpowiedziała mu wdzięcznym, pełnym nieukrywanego podziwu spojrzeniem.

– Ryzykowałem wiele, bo życie – mówił dalej Blum, zadowolony z wrażenia, jakie jego pierwsze słowa wywarły na dziewczynie. – Dla pani jednak gotów jestem ponieść każdą ofiarę...

– Proszę mnie jednak objaśnić, gdzie ja jestem; dlaczego nie odwiózł mnie pan do domu? – przerwała mu Anita, wyczuwając instynktem kobiety, że Ludwik, korzystając z ciężącego na niej długu wdzięczności, sprowadza rozmowę na niewłaściwe tory.

Blum zmieszał się, gdyż w oczach dziewczyny dostrzegł wyraźnie pierwsze przebłyski nieufności. Uznał przy tym, że zbytnia pewność siebie może niekorzystnie powikłać pierwotne zamierzenia. Zmienił więc taktykę w jednej chwili i przyoblekając twarz w maskę pozornej obojętności, rzekł, akcentując dobitnie każde słowo:

– Łudzi się pani, sądząc, że niebezpieczeństwo zostało już zażegnane. Wprawdzie udało mi się wyrwać panią z okrutnych szpon zbrodniarzy, jednakże niespodziewany pościg, jaki przedsięwzięli za nami wyprowadzeni w pole gangsterzy, zmusił mnie do szukania kryjówki w pierwszym napotkanym po drodze hoteliku, który na nasze nieszczęście nie rozporządza telefonem, ażeby można było skomunikować się z policją, lub domem pani ojca. Sam również nie mogę opuścić tego pokoju, gdyż zbrodniarze, znając ulicę, na której panią ukryłem, wszystkie jej wyloty obstawiły swoimi ludźmi, spodziewając się w ten sposób na nowo pochwycić panią w swe szpony...

Blum, wyrzuciwszy z siebie stek tak sprytnie skomponowanych kłamstw, umilkł na dłużej, oczekując wrażenia, jakie na biednej, znękaniej dziewczynie uczyni ta wiadomość.

Niespodziewanie jednak w duszy Anity zrodziły się podejrzenia. Wszystko to, co przed chwilą usłyszała z ust Bluma, brzmiało nieprawdopodobnie a porównując jego obecne zachowanie się z tym, co zauważyła na początku, przysłała do przekonania, że Ludwik dla jakichś ukrytych celów zmienił taktykę postępowania. Tego rodzaju przypuszczenie rodziło inne, zatrważające domysły. Nie potrafiła wprawdzie skonkretyzować swoich podejrzeń, tym nie mniej jednak instynkt samozachowawczy ostrzegał ją przed dawaniem wiary słowom Ludwika Bluma.

Teraz dopiero pod wpływem rozbudzonej nieufności, Anita przypomniała sobie, jak często Blum, bywając w domu jej ojca prześladował ją wiele mówiącym spojrzeniem, w którym bez trudu można było wyczytać to wszystko, co kryje się w tajnych głębiach serca młodzieńca. Wiedziała zatem dobrze, że w obecnym położeniu, kiedy los jej zda się wyłącznie zawisnąć od woli Ludwika, pokost pozornej kultury może zbyt łatwo pęknąć, a spod tej kruchej powłoki wyjdzie prawdziwa natura mężczyzny. – Mężczyzny z rodzaju tych – pomyślała, – którzy nie przebierają w środkach, gdy chodzi o zdobycie pożądanej kobiety.

Tego rodzaju przypuszczenia ziściły się wkrótce co do joty. Blum, w którym pod wpływem świadomości, że znajduje się sam na sam z bezbronną pożądaną kobietą, na nowo zagaśły chwilowo rozbudzone szlachetniejsze uczucia, był znów tym samym okrutnym z uporem zdążającym do celu zbrodniarzem. Gra słów, dwuznaczne powiedzenie, utarte ścieżki tak zwanego flirtu, – jednym słowem wszystkie te drogi, którymi każdy prawie mężczyzna zdąża do jednego celu, jakim jest posiadanie kobiety – wydały mu się bezdennie głupie i nieodpowiadające odwiecznym prawom natury, dającej mężczyźnie przewagę fizyczną nad kobietą. W dodatku zdawał sobie sprawę z tego, że Anita pomimo cechującej ją ekscentryczności,

przepojona jest purytańskimi zasadami moralności, jakie wpajała w nią od wczesnych lat dzieciństwa matka-Polka, i z tych też względów nie mógł się spodziewać łatwych sukcesów.

– A jednak wolałbym nie uciekać się do przemocy – myślał przypominając sobie, że małe okienka pokoju wychodzą na ulicę i krzyk lub szamotanie się ofiary może dolecieć do uszu licznych jeszcze o tej porze przechodniów, między którymi nie trudno o znieawidzonego przez niego policmana.

Z tą myślą Ludwik podszedł do łóżka i usiadł na jego krawędzi. Anita jakby w przecuciu tego, co ma niebawem nastąpić, spoglądała na podnieconego, dwuznacznie uśmiechniętego młodzieńca zalękłym wzrokiem, postanawiając równocześnie walczyć do ostatniego tchnienia w obronie własnej godności. Mimo to łudziła się jeszcze, że Blum, ten Ludwik Blum, jakim go знаła dotąd, wytworny i posiadający wszelkie zewnętrzne cechy gentlemiana, nie zdobędzie się na jakikolwiek grubszy nietakt względem niej, przede wszystkim kobiety, a następnie córki potentata Childsa i zarazem narzeczonej Stefana Ronickiego.

Niestety, Blum był teraz już tylko samym sobą, pragnąc uniknąć niepożądanego ze zrozumiałych względów awantury, jeszcze raz spróbował zagrać komedię.

– Miss – rzekł, przysuwając się bliżej do leżącej kobiety – przez całe życie, odkąd pamiętam, hołdowałem jedynie prawdzie, nie cierpiąc całą duszą fałszu i nikczemnej obłudy, ukrywanej pod płaszczem zdawkowych, idiotycznych konwenansów, czemu z zapalem oddaje się współczesna młodzież. Dlatego też nie weźmie mi pani za złe, że wyznam jej szczerze to wszystko, co dawno noszę ukryte głęboko na dnie serca: – Kocham panią, Anito!... – Ostatnie dwa słowa wymówił w sposób, jakiego nie powstydziliby się najlepszy aktor.

Zapadła długa minuta ciężącej ciszy. Dziewczyna zaskoczona tak niespodziewanym zwrotem w zachowaniu Ludwika, nie mogła zdobyć się na żadną odpowiedź. Przed chwilą była przygotowaną, że Blum dla zaspokojenia swoich niskich, zwierzęcych instynktów wprost siłą rzuci się na nią, gdy tymczasem, przybierając pozę pełną powagi i dystynkcji, wyznaje jej swoją miłość.

Ale szybko uporządkowane myśli już w kilka sekund później przeniknęły chytrą, wyrafinowaną grą młodzieńca, który uważając się za gentlemiana, jednocześnie stara się wykorzystać dla swoich niskich celów nieograniczoną wprost władzę, jaka posiada w tej chwili nad słabą, bezbronną kobietą.

Lecz mimo doznanej odrazy Anita, zdając sobie sprawę z grożącego jej niebezpieczeństwa, postanowiła grać na zwłokę.

– Panie Ludwiku, proszę mnie zostawić w spokoju – rzekła tonem, usprawiedliwienia. – Jestem nadludzko wyczerpana strasznymi przejściami ostatnich dni... Pomówimy, gdy przyjdę trochę do siebie... Jestem panu wdzięczna... bardzo wdzięczna za wszystko, co pan dla mnie uczynił... – uśmiechnęła się blade, z dobrze udaną szczerością.

Ale ten właśnie uśmiech, który w sercu Ludwika miał rozbudzić współczucie dla udęczonej dziewczyny, jedynie spotęgował namiętą, palącą go żądzę. Uskarżanie się przyjął jako zwyczajne, przyjęte w takich wypadkach drożenie się kobiety, które stoi w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do stawianego fizycznego oporu.

– Kocham cię, moja maleńka... – wyszeptał w odpowiedzi na blade uśmiech dziewczyny i, nagłym, silnym uściskiem opasał jej zgrabną kibić.

Szarpnęła się raz i drugi. Uścisk jednak nie słabnął, a potęgował się z każdą sekundą. Gorące, nabrzmiałe wargi Ludwika muskały jej skronie, nie mogąc w gwałtownych ruchach głowy natrafić na chłodne, pobladłe usta dziewczyny. Zalękła, oszalała z rozpaczy szarpnęła się jeszcze raz gwałtownie i z dławionych uściskiem piersi wydobył się przeraźliwy okrzyk.

Blum wzdrygnął się, nic tak bowiem nie peszy zbrodniarza, jak silny, nabrzmiały bólem krzyk ofiary.

Okrzyk ten jednak nie powtórzył się po raz drugi. Czuć, wrażenia, myśli – wszystko to, co Anita przeżywała w tej chwili, poczęło rwać się na strzępy i powoli rozpląwać w tumanie zapomnienia.

Ludwik ze zwierzęcą chciwością wgryzał się w rozchylone w omdleniu, wilgotne wargi dziewczyny.

ROZDZIAŁ X

WYPADKI KILKU GODZIN

Bill Monkton, opuściwszy tylnym wejściem cukiernię Freda Simona, zatrzymał się na jakiś czas w słabo oświetlonych zakamarkach olbrzymiego podwórza. Przede wszystkim wyjął z kieszeni szerokich spodni paczkę banknotów, aby jeszcze raz przekonać się, że to nie sen tylko, lecz istotnie on Bill Monkton jest posiadaczem kolosalnej, jak na niego, fortuny. Suchy szelest nowych, jedwabnych banknotów wywoływał na jego czerwonej, kwadratowej twarzy szeroki uśmiech zadowolenia. Zawinął pieniądze w dużą niebieską chustkę i wsunął na powrót do kieszeni, po czym, pełen najlepszych myśli wobec tak niespodziewanego uśmiechu fortuny, przez wysoko sklepioną bramę wyszedł na ruchliwą, pełną, wrzawy ulicę, aby najbliższą taksówką udać się na 47 Avenue do swej kochanej, niezrównanej w pomysłach Agaty, której zawdzięczał cały, tak łatwo zdobyty majątek.

Niecierpliwiał się nie tylko dlatego, że chciał swej przyjaciółce jak najprędzej zwiastować radosną nowinę, lecz przede wszystkim, aby jeszcze nocnym pociągiem, zdążającym do New Yorku, opuścić raz na zawsze po tylekroć przekłete Chicago, które budziło jedynie wspomnienia nędzy, więzień i poniewierki. Tam, w sercu olbrzymich Stanów, utoną w wielomilionowej rzeszy wszystkich nacji Nowego Świata, bezpieczni nie tylko przed okiem policji, ale, co najważniejsze, przed straszną zemstą groźnego Kameleona.

Nic więc dziwnego, że wobec wskazanego pośpiechu, Bill, ujrawszy stojącą naprzeciw cukierni wolną taksówkę, z radością podbiegi do wozu i, rzuciwszy pochylonemu nad kierownicą szoferowi adres, wskoczył do samochodu, który natychmiast pomknął jak strzała w kierunku 47 Avenue.

Nadmiar radosnych wzruszeń rozpierał piersi Billa Monktona. Nie spodziewał się bowiem, aby wszystko to, co zaledwie kilka godzin temu było jedynie śmiałym, szalonym wprost planem, mogło tak szybko ziścić się w całej rozciągłości.

– Urodziłeś się w czepku – odgadywał już naprzód słowa, jakimi powita go wierna, całą duszą oddana przyjaciółka Agata.

Tego rodzaju rozmyślania przerwał Billowi gwałtowny zgrzyt hamulców i przeraźliwy jaszgot klaksonu. Kiedy wychylił się nieco z okienka, ażeby stwierdzić przyczynę zatrzymania się wozu, zaklął z szaloną pasją pod adresem szofera. Bowiem znając miasto jak swoją kieszeń, na pierwszy rzut oka zauważył, że dawno minęli trzecią przecznicę, wiodącą w stronę 47 Avenue i obecnie stoją na zatarasowanym Broadway'u.

– Zawracać! – krzyknął na kierowcę, gotów go w tej chwili rozszarpać w przystępie szalonej wściekłości.

Ale w tej samej sekundzie policman dał znak pałeczką i sznur pojazdów ruszył dalej, a wraz z nim auto Billa Monktona.

Gangster zacisnął pięści w potężnie kułaki i, przyłożywszy usta do okienka, huknął na całe gardło:

– Zawracać, psiakrew, bo gnaty poprzetrącam! Szofer jednak i tym razem pozostał nieczuły na wezwanie pasażera. Wyrwawszy z długiego rzędu powoli sunących automobilów, dodał gazu i biorąc z miejsca zawrotną szybkość pruł prosto w kierunku zachodnich peryferii miasta.

Bill oniemiał. Jakieś niejasne, a mimo to przerażające myśli poczęły tłuc mu się po głowie. – Co to wszystko ma znaczyć? – wyszeptał wreszcie zbielełymi z przestachu wargami, dygocząc jak w febrze. Ale w tej samej chwili przypomniał sobie rozpychającą mu kieszeń paczkę banknotów i włosy stanęły mu dęba. Zrozumiał bowiem, że padł ofiarą jednej z konkurencyjnych gangsterskich szajek. Widocznie któryś z ich ludzi podpatrzył ten moment, kiedy Ronnicki wręczał Billowi gotówkę i usłużnie ofiarował swój wóz, ustawiając się naprzeciw bramy kamienicy Freda Simona. A on, Bill Monkton, stary, doświadczony przestępca, zaślepiony stoma tysiącami dolarów, bez chwili wahania wlaź w sprytnie nastawione nań sidła.

– Co robić?... co robić?... – myślał z rozpaczą, widząc, że za chwilę auto przemknie pośród ostatnich zabudowań przedmieścia i wpadnie w pole, gdzie najprawdopodobniej oczekują współtowarzysze kierowcy. I gdyby miejsce szofera nie było odgródzone od głównego siedzenia. Bill jednym uderzeniem potężnej pięści przełamałby jego upór, a tym samym zażegnał coraz wyraźniej zarysowujące się niebezpieczeństwo.

Niestety w obecnych warunkach było to rzeczą niewykonalną. A jednak należało natychmiast coś przedsięwziąć. Nie widząc innego wyjścia, zrozpaczony gangster zaryzykował skok z pędzącego wozu. Szybkim, zdecydowanym ruchem nacisnął klamkę i całą siłą żelaznych mięśni rzucił się naprzód.

Szalony pęd powietrza zaświstał mu w uszach, świat zawirował przed oczyma, a w ułamek sekundy później nastąpiło ciężkie uderzenie ciała o ziemię.

Bill jęknął, jednak nie stracił świadomości. Doznał jedynie chwilowego zamroczenia z powodu gwałtownego wstrząsu. Czuł szalony ból w krzyżu, a przed oczyma wirowały miliony świetlistych pyłków. Z wysiłkiem poruszył się, stwierdzając z zadowoleniem, że oprócz silnego potłuczenia nie doznał żadnych poważniejszych obrażeń. Nim jednak zdążył powstać, ujrzał przed sobą pochylonego Murzyna.

– Bill, co wam się stało? – zapytał czarny. – Napewnoście w mieście za bardzo podgazowali i suto potraciło was trochę wachlarzem... Widziałem, jakie koziołki wywijaliście W poprzek drogi... He... he... he...! – zaśmiał się, ukazując dwa rzędy szerokich, białych zębów. – Wstawajcie, podprowadzę was do chałupy – dodał, podając mu rękę.

Wszystkie ostatnie wypadki następowały po sobie z tak zawrotną szybkością, że Bill dopiero teraz zdołał zebrać rozpierchłe myśli. Dopiero teraz w przygodnym, trochę naigrawającym się Samarytaninie rozpoznał Toma Kittnera, z którym jeszcze od czasu alkoholowej kontrabandy łączyły go bliskie stosunki. Jednocześnie, nie bez przykrego zdziwienia przekonał się, że znajdują się w odległości pół mili od swej farmy. Stwierdziwszy to, Bill zastanowił się przez chwilę, co robić dalej. Wracać do miasta było w obecnych warunkach rzeczą po prostu niemożliwą, gdyż okropny ból w całym ciele za lada poruszeniem doprowadzał go do szaleństwa. Jednocześnie doświadczony gangster jasno zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa pozostawania na drodze, gdyż, jak przypuszczał, konkurencyjna banda, której potrafił się tym razem wymknąć, po stwierdzeniu jego ucieczki bezzwłocznie rozpocznie poszukiwania. Po krótkim więc namyśle postanowił na razie szukać schronienia na własnej farmie, zanim Tom Kittner zdąży sprowadzić auto.

– Podprowadź mnie, Tom, do bramy i biegnij sprowadzić taksówkę; pojedę do lekarza, gdyż czuję, że żebra nie wszystkie mam w porządku. Dobrze ci zapłacę, Tom... oh!... – jęknął, chwytając się za piersi.

Ale przebiegły Murzyn teraz dopiero spostrzegł swoją pomyłkę, sądząc, że Monkton, wracając w nietrzeźwym stanie na swoją farmę, został po ciemku najechany przez auto. Bill bowiem był najzupełniej trzeźwy, i na pytania, dotyczące wypadku, nie odpowiadał wcale. Tom wprawdzie z odległości kilkudziesięciu kroków widział ten moment, kiedy nadjeżdżająca jego stronę taksówka odrzuciła na bok jakiegoś człowieka, który następnie okazał się Billem

Monktonem, nie wiedział wszakże, co było bezpośrednią przyczyną wypadku. Nie wydawało mu się jednak możliwym, ażeby tutaj, na szerokiej i mało ruchliwej arterii mógł zajść tego rodzaju wypadek.

Pragnąc dowiedzieć się czegoś więcej, ofiarował się towarzyszyć Billowi do jego farmy.

Ale i Monkton, spodziewając się, że Kittner mógł być naocznym świadkiem tego co zaszło, a uchylanie się od odpowiedzi mogło wzbudzić pewne, szkodliwe w następstwach podejrzania, postanowił zbyć natrętnego Murzyna wykrętną odpowiedzią.

– Założyłem się z Franckiem Dawisem, że wyskoczę z pędzącego wozu – rzekł po dłuższym milczeniu, siląc się, pomimo bólu na uśmiech. – I wygrałem – dodał – choć kilka dni nie ruszę się z łóżka.

Murzyn, choć z lekkim niedowierzaniem, przyjął jednak odpowiedź Monktona do wiadomości i więcej już słowem nie wspominał o tym zagadkowym wypadku. Jako urodzony gangster, zbyt dobrze znał tryb życia i wyczyny swoich współtowarzyszy po fachu, aby się dziwić, że Billowi mógł się nie udać jakiś napad na pędzący automobil, albo, że kompanowie w czasie podziału łupu wyrzucili go z pędzącego wozu.

Były to rzeczy zwykłe, nie godne większego zastanowienia. – Dziś tobie, jutro mnie... – pomyślał – a ode mnie tak samo prawdy nikt się nie dowie.

Szli więc w milczeniu, trzymając się pod ręce, choć Monkton stąpał coraz pewniej i w miarę zbliżania się do farmy okazywał wzrastający niepokój.

– Lepiej mi... znacznie lepiej – rzekł przystając, kiedy w odległości kilkudziesięciu kroków zamajaczyły białe ściany farmy. – Idź, Tom i sprowadź taksówkę; zdrowia nie można lekceważyć... Pośpiesz się przyjacielu... Z nakładem ci wynagrodzę...

Rozeszli się w przeciwnych kierunkach. Kittner pobiegł w stronę najbliższej automobilowej stacji, a Bill powoli, jakby nieśmiało, zbliżał się w stronę farmy.

Doszedłszy do samego parkanu, przystanął i począł nadśłuchiwać z uwagą. Obawiał się wejść do wnętrza, nie będąc pewnym, czy Ronicki zdołał już odjechać z Anitą, czy też jeszcze znajduje się w obrębie zabudowań. Wiedział aż nazbyt dobrze, że spotkanie takie, w jego obecnym położeniu, mogło skończyć się wprost tragicznie, skoro Ronicki przekona się, że pogróżki o wysadzeniu całej farmy wraz z Anitą, były jedynie bluffem. Młody, zapalczywy Polak nie zawaha się wtedy ani przez chwilę przed dokonaniem zemsty za krzywdę narzeczonej i poważną sumę okupu.

A jednak nie mógł pozostać tu dłużej. Bagatelizowane z początku obrażenia dokuczały mu coraz bardziej. Szalony ból w całym ciele i ustawiczne zawroty głowy wprowadzały go w stan bliski omdlenia. Co będzie, jeżeli na dłuższy czas straci przytomność i Tom nie zdoła odszukać go leżącego pod parkanem, wśród gęstych krzewów żywopłotu?... Nazajutrz po doniesieniu Ronickiego, zjawi się niechybnie policja – a z tym już skończy się wszystko.

Na tę myśl włosy zjeżyły mu się na głowie, a, zimny pot wystąpił na czoło. Aby nie upaść, chwycił się oburącz sztachety i dysząc ciężko, z rezygnacją oczekiwał dalszej kolei wypadków.

Nagle spoza parkanu dobiegły go jakieś niezwykle odgłosy. Najpierw jakby szmer przyciszonej rozmowy kilku ludzi, a potem głośnie, niezrozumiałe okrzyki wściekłości.

Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund i nim zaintrygowany do najwyższego stopnia Monkton zdołał podczołgać się do najbliższej szczeliny w płocie – ta sama co przedtem cisza zaległa dziedziniec farmy.

– Co to wszystko ma znaczyć? – myślał Bill z lekiem w duszy, wnosząc z tego, że jego spokojna zaciszna dotąd farma stała się nagle terenem jakichś niezwykle, jakby makabrycznych wydarzeń.

– Czyżby to była policja, sprowadzona przez Ronickiego? – rozmyślał, ale w takim razie kto mógł być tym, pod adresem którego padły słowa przekleństwa?

Ale tego rodzaju rozważania przerwało mu wkrótce ukazanie się na dziedzińcu trzech mężczyzn, idących śmiałym krokiem w stronę wjazdowej bramy. Bill spojrzał w tamtymi kierunku i teraz dopiero zauważył stojącą pod szopa taksówkę. W pierwszej chwili sądził, że jest to wóz Ronickiego, którym inżynier przyjechał po Anitę. Jednakże pomimo wyteżania wzroku nie mógł w żadnej z tych trzech postaci rozpoznać jego sylwetki. Dopiero kiedy na chwilę rozbłysły latarnie samochodu, Bill z przerażeniem stwierdził, że stojący na przedzie wozu mężczyzna jest nikim innym, tylko szoferem, którego pół godziny temu wynajął przed cukiernią, Freda Simona.

To odkrycie upewniło go, że bandyci, pomimo jego ucieczki, nie dali za wygraną, i z całą bezczelnością, rozgościli się w jego domu, w oczekiwaniu, aż sam wpadnie w nastawione sidła.

Zachowując do najwyższego stopnia posuniętą ostrożność, Monkton z zapartym tchem obserwował zachowanie się intruzów. Wkrótce stwierdził, nie bez zdziwienia, że szefem tej małej liczebnie szajki jest szofer, którego jednak zewnętrzny wygląd budził poważne wątpliwości, co do zawodu, jakiemu się obecnie oddawał. Bill, bowiem dotąd nie spotkał zawodowego szofera w eleganckim filcowym kapeluszu, spod którego runda połyskiwały w świetle samochodowym reflektorów duże, okrągłe soczewki okularów w czarnej, rogowej oprawie, nie mając nic wspólnego z automobilowymi ochraniaczami przed pyłem. W dodatku postawa i ruchy tego zagadkowego człowieka z każdą sekundą coraz bardziej wydawały mu się znajome. Że gdzieś go widział, tego Bill był niemal pewnym, nie potrafił jednakże przypomnieć sobie, kiedy i w jakich okolicznościach.

Pomimo wyteżonego nadśluchiwanie nie mógł pochwycić ani strzępa prowadzonej na dziedzińcu rozmowy. Widział tylko gorączkowe gestykulacje szofera i skupione, poważne miny jego współtowarzyszów.

Po dłuższej naradzie wszyscy trzej, zgasiwszy latarnie, ruszyli w stronę furtki, aby wydostać się na zewnątrz ogrodzenia. Widząc to Monkton zrobił gwałtowny przysiad, ażeby lepiej ukryć się w gęstwie żywopłotu. W tej samej jednak chwili doznał strasznego ułucia w pierśiach i nie mogąc opanować krztuszenia, zakaszał kilkakrotnie.

Nim zdążył unormować oddech, posłyszał trzask łamanych w pośpiechu gałęzi i w chwilę później dwie pary rąk z błyskawiczną szybkością rzuciły go o ziemię.

Bill nie bronił się. Nie tylko dlatego, że jego poważnie nadwężone ostatnim wypadkiem siły nie były w stanie stawić najmniejszego oporu, ale jeszcze i z tego względu, że lada chwila spodziewał się przybycia Toma, a widok nadjeżdżającego samochodu może przepłoszyć napastników.

Ale tego rodzaju nadzieje rozwiały się natychmiast, kiedy Monkton, prowadzony przez dwóch rosnących drabów na dziedzińcu swej farmy, uprzytomnił sobie, że przecież jedynym celem napadu jest chęć zdobycia stu tysięcy dolarów, które niestety, znajdowały się dotąd w jego kieszeni. A przecież jeszcze minutę temu mógł je ukryć w bezpiecznym miejscu – wyrzucił sobie, tracąc zarazem wszelką nadzieję na uratowanie gotówki i popadając pod wpływem tego w stan, już nie rozpaczy, ale zupełnej rezygnacji. Ból, wyczerpanie, zarówno fizyczne jak i nerwowe, a przede wszystkim ów srogi zawód, obracający w gruzy marzenia kilkudziesięciu lat, wszystko to zbyt boleśnie przygniatało Billa Monktona, ażeby miał odwagę podejmować nierówną, walkę.

Szedł więc bezopornie, z głową, zwieszoną, jak skazaniec na szafot, obiecując sobie nawet w wypadku oszczędzania go przez bandytów, i tak przeciąć na zawsze pasmo podłego życia, gdzie niepewność jutra jest gorszą udręką, niż najsrozsze fizyczne katusze.

Z tymi myślami Bill w asyście dwóch drabów znalazł się na dziedzińcu farmy. Zatrzymano się obok auta i dopiero, kiedy na nowo rozbłysły samochodowe latarnie i jeden z pilnujących go ludzi skrepował mu ręce silnymi opłotami powroza, ukazał się trzeci z napastników, który podchodząc do więźnia, zapytał zachrypłym, nabrzmiałym wściekłością głosem:

– Gdzie Anita?!

Bill pomimo zupełnej apatii zadrzał na dźwięk tego słowa i cofnąwszy się o dwa kroki, przymknął powieki, aby nie patrzeć w groźnie, niesamowicie wprost błyszczące w oprawie czarnych okularów oczy człowieka, którego imię budziło zabobonny lęk w najśmielszym gangsterze. Bowiem przed nim stał ów wszechwładny, mściwy szef – Kameleon.

– Gdzie Anita?!... – Gdzie Anita?! usłyszał jeszcze raz, ale tym razem w jego skołatanej wypadkiem i nadmiarem okropnych przeżyć, głowie myśli poczęły rwać się na strzępy, przed oczami zawirowały miliony drobniutkich gwiazdek i Bill tracąc świadomość, osunął się na ręce podtrzymujących go drabów.

– Zamknąć to ścierwo w piwnicy i strzec mi jak oka w głowie! – rzucił teraz szef w stronę milczących podwładnych, którzy natychmiast powlekli omdlałego w kierunku lochów.

Nim jednak dotarli do sieni, powstrzymał ich na miejscu nowy rozkaz Kameleona, wypowiedziany tym razem prawie szeptem:

– Zostawcie mi go tutaj, a sami skoczcie za ogrodzenie... Zdawało mi się, jak gdyby ktoś skradał się za parkanem.

Oprawcy Billa pobiegli natychmiast spełnić wolę rozkazodawcy.

Kiedy ich ciemne, barczyste sylwetki zniknęły za bramą i przez kilkanaście następnych sekund żaden najłżejszy nawet odgłos nie zdradzał, aby natknęli się na jakiegokolwiek intruza, Kameleon odetchnął z wyraźną ulgą.

– Zdawało mi się – rzekł, odzyskując na nowo pewność siebie. Aby skrócić sobie czas oczekiwania na powrót swoich ludzi, podszedł do leżącego więźnia i trąciwszy go brutalnie butem, rzekł, z nieukrywanym szyderstwem:

– A co, Bill, nie udało się Kameleona wywieźć w pole?... Kameleon jest zdrow i ma dolary, a ty jeszcze tej nocy zadyndasz na belce w swym własnym domu... He, he he!... – zarechotał na całe gardło, a jego zachrypty głos zabrzmiał w cichym powietrzu jak ryk apokaliptycznej bestii.

Ale omdlały Bill był nieczuły na wszelkie pogroźki srogiego szefa. Leżał jak kłoda pod progiem swojej farmy, a tylko jego szeroka, tym razem trupio błądą twarz odrzynała się wyraźnie w pomroce nocy.

– Coś moi chłopcy za długo nie wracają – pomyślał teraz Kameleon, wyśmiawszy się do woli. – Zbyt gorliwie przetrząsają teren dokoła fermy w poszukiwaniu intruza, który, jak widzę, zrodził się tylko w mojej przewrażliwionej imaginacji... Trzeba ich jednak przywołać.

Z tym postanowieniem wyjął elektryczną latarkę i przyświecając sobie po drodze, ruszył powoli w stronę furtki. Zaledwie jednak wychylił się spoza ogrodzenia, stało się coś nieoczekiwane. Ktoś chwycił go gwałtownie za ramiona, wykręcił je w tył i, nim zaskoczony Kameleon zdołał zorientować się w sytuacji i przedsięwziąć jakiegokolwiek środki obrony, żelazne ogniwa kajdanek z lekkim trzaskiem zamknęły się dokoła przegubów dłoni.

Wszystko to nastąpiło z tak błyskawiczną szybkością, że obezwładniony zbrodniarz w pierwszej chwili przypuszczał, iż padł ofiarą swoich podwładnych. Dopiero, kiedy jeden z napastników zapalił dużą latarnię i przy jej świetle Kameleon dojrzał znajomych urzędników wydziału śledczego, a między nimi zmienioną do niepoznania trupio-błądą twarz inżyniera Ronickiego – zrozumiał wszystko... Zrozumiał, i złamany zwiesił głowę na piersi.

W godzinę później leżał związany w policyjnym aucie obok dwóch swoich podwładnych ludzi i znenawidzonego Billa Monktona.

ROZDZIAŁ XI

MIĘDZY ZIEMIĄ A NIEBEM

Motor grał. Śmiga w zawrotnych, nieuchwytnych obrotach wgrzyzała się w powietrze, rwała go na strzępy i z wściekłą, szaloną furią ciskała pod białe płaty rozpiętych skrzydeł. Srebrna „Bellanka”, niby olbrzymi mityczny ptak, kołysała się lekko zawieszona pomiędzy uśpioną, spowitą w nieprzeniknione mroki, ziemią a rozedrganym miliardem świetlnych pyłków, niebem.

A kiedy pierwszy brzask porozwłóczył po horyzoncie różowe smugi, przygasił roziskrzony szlak mlecznej drogi i nocny tuman nasycił sino – szarą poświatą – stalowy ptak zniżył lotu, nie będąc już teraz narażonym na niebezpieczne zetknięcie się z ziemią.

Wyrównawszy lot na wysokości dwustu metrów, Blum puścił drażkę sterowy i odwrócił głowę w stronę siedzącej obok dziewczyna.

– Usnęła – stwierdził w myśli, widząc, że Anita, oparłszy głowę o skórzaną, poduszkę, przymknęła powieki, a piersi jej wznoszą się powolnym, miarowym oddechem. Ludwik patrząc teraz na jej bladą, zmizerowaną twarzyczkę, mimo woli doznawał uczucia pewnego rodzaju litości. Wiedział przecież aż nadto dobrze, ile nadludzkich cierpień przeżyła przez tych kilka dni pobytu w ich rękach i że było to w stanie złamać najsilniejszy charakter, a najbardziej nawet odporny organizm doprowadzić do ruiny. Nie dziwił się więc, że pomimo ogłuszającego warkotu śmigła, wyczerpana dziewczyna zasnęła w niewygodnej pozycji.

Blum nie był człowiekiem zabobonnym, a jednak trwożne, chwilami wprost okropne przecucia opanowywały go niepodzielnie, ukazując mu wymarzoną przyszłość, jako ciemną, przerażającą otchłań pustki. Kiedy wszystko układało mu się pomyślnie, potrafił stawić skuteczny opór napadającym go wątpliwościom, natomiast w wypadkach niepowodzeń rodziła się w jego duszy wiara w złowrogi, nieubłagane fatum.

– Nagrodzę ci to stokrotnie – szeptał, zatrzymując na śpiącej rozkochane spojrzenie. – Byleby tylko wszystko powiodło się aż do końca – dodał już w myśli i nagle jakiś lęk przed nieznanym rozlał mu się po ciele.

I tego rodzaju ponure myśli opanowały go teraz, pod wpływem chwilowego zastanowienia się nad przyszłością. – Czyż można bowiem twierdzić z całą pewnością, że wszystko na dalszą metę ułoży się ściśle według określonego planu – rozmyślał trzeźwo – skoro już na samym początku, nie tylko u progu zawrotnej kariery, nieubłagany los sprawił mu przykry zawód, bowiem ratując się przed grożącym mu niebezpieczeństwem wpadnięcia w ręce policji, musiał się wyrzec zdobycia stu tysięcy dolarów i jeszcze tej samej nocy uchodzić z Chicago. Pomimo wszystko pocieszał się jeszcze tym, że uniknął większego nieszczęścia, jakie spotkało, nieuchwytnego dotąd, Kameleona i najmniej w tym wypadku winnego, Billa Monktona. Ludwik o wszystkim, co zaszło tego wieczora na farmie Billa, w porę dowiedział się od Toma Kittnera, wysłanego po oprowadzeniu Anity na zwiady na drogę, wiodącą do mieszkania Monktona. Zabezpieczywszy się w ten sposób przed ewentualnym pościgiem ze strony mściwego szefa, gdyby temu przyszła ochota jeszcze dzisiaj odwiedzić kryjówkę branki, Blum przeżywał niezapomniane chwile z ukochaną dziewczyną.

Ale w momencie, kiedy gorąca, rozpuszczona krew coraz silniej poczęła uderzać mu do głowy, a chłodne wilgotne wargi Anity, miażdżone jego ustami, w żarłocznych wprost pocałunkach rozniecały w młodzieńcu szaloną, burzę namiętności, kiedy na wpół przytomny Ludwik rzucił się na omdlałą, dziewczynę, aby dać ostateczne ujście swoim niskim, zwierzęcym instynktom – w tym właśnie krytycznym dla Anity momencie rozległo się gwałtowne kołatanie do okna.

Blum oprzytomniał. Jak oparzony odskoczył od swojej ofiary i wybiegł na ulicę. Pod oknem stał Tom Kittner, ledwo trzymając się na nogach ze zmęczenia.

Gdy weszli do ciemnej sionki i Murzyn ochłonął na tyle, w mógl złożyć relację z przeprowadzonego wywiadu, Ludwik dowiedział się tak nieprawdopodobnych rzeczy, że trzeba było dłuższego czasu, ażeby uporządkować rozstrzelone myśli i przedsięwziąć natychmiastowe środki zaradcze przed strasznym niebezpieczeństwem.

Bowiem, jak wynikało z dalszego opowiadania Kittnera, po odprowadzeniu potłuczonego Monktona pod bramę jego farmy, udając, że biegnie sprowadzić autodorożkę, przyczał się opodal w gęstych zaroślach karłowatej trzmieliny. I tam właśnie, ukryty w bezpiecznym miejscu, był świadkiem owych niecodziennych wypadków, jakie na przestrzeni niecałej godziny rozegrały się przed bramą farmy Billa Monktona. Dopiero, kiedy policyjny wóz odjechał z powrotem do miasta, uwożąc obezwładnionych przestępców, Tom odważył się wyjść z ukrycia i nie tracąc ani sekundy czasu, popędził z ową sensacyjną wieścią wprost do kryjówki Ludwika.

Wobec takiego stanu rzeczy, Blumowi nie pozostawało nic innego uczynić, jak tylko, siłą rzeczy rezygnując z uplanowanego zamiaru zdobycia stu tysięcy dolarów, ratować się natychmiastową ucieczką w kabinie luksusowej „Bellanki” Mr Spenzera.

Niewielka już tym razem dawka narkotyku, wstrzykniętego Anicie, upewniła Ludwika, że z jej strony nie spotka go przez dłuższy czas żadna niemiła niespodzianka.

Wszystkie te wydarzenia ostatnich kilku godzin następowały po sobie z tak zawrotną szybkością, że Blum dopiero teraz mógł skupić się na chwilę i pomimo ogłuszającego warkotu śmigła skorygować pewne niedociągnięcia w powziętym planie.

Najbardziej niepokoiło go przeświadczenie, że Spenser, już tylko z chęci zwykłej zemsty, wskaże na niego, jako głównego sprawcę uprowadzenia Anity, a to może dać w konsekwencji nieobliczalne następstwa, bowiem zarówno stary Childs jak i Ronicki nie poskapią zachodu ni pieniędzy, aby odzyskać ukochaną dziewczynę, a jednocześnie pomścić jej krzywdę. Zniknięcie samolotu z prywatnego hangaru Spenzera wskaże właściwą drogę do pościgu, druty telegraficzne zaalarmują wszystkie miasta w Stanach, nad którymi wypadnie przelot, od Atlantyku aż po Pacyfik. Wprawdzie, ze względu na zbyt małą ilość paliwa, jaką mógł pomieścić w swych zbiornikach, nieprzystosowany do odległych przelotów, samolot Mr Spenzera, Ludwik nie zamierzał lecieć wprost do Kalifornii, lecz wylądować w Detroit albo Buffalo, gdzie łatwo było dobrze spieniężyć maszynę, a stamtąd dopiero koleją udać się dalej. Tymczasem, wobec ostatnich wypadków, stało się to rzeczą wprost niemożliwą.

Pozostawało jedynie wziąć kurs na zachód i, omijając gęściej zaludnione obszary, lecieć aż do ostatniej kropli benzyny w zbiorniku, a wreszcie wylądować na bezludnych obszarach stepowych. Stamtąd dopiero, dotarwszy do najbliższej stacji kolejowej, odjechać na Daleki Zachód. Ale i ten, desperacki zresztą, plan nasuwał poważne wątpliwości, ze względu na obecność Anity, która przecież przy najbliższym zetknięciu się z ludźmi odda swojego prześladowcę w ręce sprawiedliwości. Blum teraz dopiero przejrzał, że wszystkie wspaniałe zamki swych marzeń pobudował na lodzie. Bowiem nie dalej, jak wczoraj w swojej młodzieńczej naiwności wierzył niezłomnie, że dzięki swej nieprzeciętnej urodzie, już w krótkim czasie zdoła sobie pozyskać ukochaną dziewczynę i zrobić z niej powolne narzędzie w swoich rękach. Tymczasem gwałtowny opór, na jaki natrafił zaraz w początkach, rychło przekonał go o bezpodstawności naiwnych przypuszczeń.

Obecnie więc Anita, pomimo tlejącego jeszcze dla niej w sercu Billa uczucia, była jednak niebezpiecznym, a mało wartościowym balastem.

Z ciężkiej sytuacji Ludwik widział już tylko jedno wyjście. Mianowicie postanowił z chwilą wylądowania w jakiejś bezludnej okolicy, przeprowadzić z Anitą poważną i ostateczną rozmowę. Postawił jej tego rodzaju warunek, że albo dobrowolnie zgodzi się dzielić z nim przyszłe życie i zobowiąże się do tego przysięgą, albo... puści ją wolno, samotną, bezbronną i zabłąkaną pośród bezkresnych obszarów pustynnych plenów, zdaną na łaskę półdzikich cowboy'ów, lub wyjętych spod prawa okrutnych outlaw'ów.

Tak czy owak – rozmyślał dalej zbrodniarz – będę pierwszym, który dowoli nasyci się wdziękami Anity, bo nawet w wypadku odrzucenia mej pierwszej propozycji, nie stanie mi nic na przeszkodzie, ażeby przed puszczeniem jej wolno, nie zaspokoić pokus, jakie od pierwszej chwili poznania tej uroczej dziewczynki napadają mnie nieustannie.

W nagrodę mogą jeszcze to dla niej zrobić, że dotarłszy do najbliższego większego ludzkiego osiedla, zadesperuję do Chicago z podaniem miejscowości, gdzie należy szukać zaginionej dziewczyny. Będzie to dla mnie wartościowym o tyle, że po odzyskaniu córki, stary Childs niewątpliwie ochłonie z żądzy zemsty i zaniecha krwawego pościgu za sprawcą wprowadzenia.

Ten nowy plan wydał się Ludwikowi jedynym możliwym do wykonania, tym więcej, że spaliwszy za sobą mosty, ratunek widział już tylko w ucieczce w prerie, gdzie należało przyczaić się na czas dłuższy, nim nie ucichnie wrzawa ostatnich wypadków i nie osłabnie tempo gorączkowych poszukiwań.

Jednakże Blum zdawał sobie dokładnie sprawę i z tego, że powodzenie nowego planu uzależnione jest w pierwszym rzędzie od starannego unikania większych osiedli, dokąd, jak się spodziewał, dotarła już wiadomość o jego sensacyjnej ucieczce wraz z dziewczyną w samolocie Mr Spenzera. Dlatego też ze zdwojoną gorliwością śledził najmniejsze odchylenia nawigacyjnych przyrządów, kierując lot ściśle według dokładnej lotniczej mapy.

Orientacja nie nastęrczała teraz żadnych trudności, bowiem czające się do niedawna, nisko nad ziemią, resztki nocnego тумanu, rozproszyły się pod wpływem następujących od góry zwycięskich promieni dziennego światła a na pogodny, zaróżowiony horyzont wypełzła złota, roześmiana słoneczna kula.

Jednak ten jasny, pogodny ranek rozniecił w duszy Ludwika uczucie lęku. W ciemnym, ponurym mroku nocy, będącym najlepszym sprzymierzeńcem występku i zbrodni czuł się bezpiecznym, mógł bezkarnie urągać wszelkim zasadom prawa i uczciwości, – dzień oślepił go, jak nocnego wampira i zdawał na łaskę niewiadomego losu.

Na szczęście miał za sobą blisko sześć godzin lotu i przyjmując tylko średnią szybkość 150 km na godzinę powinien już przebyć dziewięćset kilometrów, a zatem i Omaha, którą zamierzał ominąć z daleka, dawno pozostała za nimi.

– Jeszcze sto, dwieście kilometrów – cieszył się – i znajdą się nad pustynnym obszarem, ciągnącym się aż do samego podnóża Rocky Mountains. A choćby nawet już w tej chwili zabrakło paliwa, to znaczna odległość od większych osiedli pozwoli mu bezpiecznie wylądować, gdyż jak wnioskował z mapy, znajduje się w połowie drogi pomiędzy Omaha a Denver.

W każdym razie, licząc się z możliwością wyczerpania zapasów benzyny, należało trzymać się blisko linii kolejowej, biegnącej przez te pustynne stepy od Chicago przez Omahę do San Francisco.

Stwierdziwszy na podstawie mapy, że za bardzo oddalił się od przyjętego szlaku, skierował maszynę na północny-zachód, spodziewając się wkrótce dostrzec linię kolejową, przecinającą w tym miejscu szeroką Plitę. Jednakże mijały minuty i kwadransy, a zarówno rzeki, jak i toru nie było widać. Pod szybującym samolotem przesuwiał się jednostajny, monotony krajobraz stepowy, a tylko gdzieś niedaleko majaczyły białe domki rozrzuconych wśród stepów

farm i zieleniły się przytulone do nich obszary uprawnych pól farmerów, biorących powoli, ale uparcie w swe posiadanie dawne państwo czerwonoskórych Indian i potężnych bawołów.

– W każdym razie z tej wysokości i przy panującej pogodzie – pomyślał zaniepokojony Ludwik – powinno być widać wierzchołki Gór Skalistych, a zwłaszcza potężną Blanę; tymczasem, jak wzrok zdoła sięgnąć, kopuła bezchmurnego nieba wspiera się wokół na jednostajnej płaszczyźnie stepu.

Ten fakt na nowo zaniepokoił Bluma. – Czyżbym pobłądził... – myślał przeglądając okolice przy pomocy dużej lotniczej lunety.

Lecz dalsze obserwacje przerwało mu przebudzenie się Anity. Dziewczyna w pierwszej chwili jakby spłoszona szalonym warkotem śmigła, szarpnęła się gwałtownie, lecz widząc, że jest przywiązana do siedzenia oparła się z powrotem na skórzane poduszki i tylko obłądnym zalękłym wzrokiem wpatrywała się w Bluma jakby starała się odegnać przywidzenie.

Widząc to, Ludwik uśmiechnął się z udaną szczerością i przysuwając usta do ucha Anity, krzyknął, starając się zagłuszyć huk motoru. – Wiozę panią do domu, Miss Anito; proszę więc być spokojną i zaufać mi w pełni.

Ale dziewczyna, odzyskując powoli świadomość i przypominając sobie to wszystko, co zaszło ostatniego wieczoru, odgadła, że słowa Ludwika są tylko jeszcze jednym podłym wykrętem. Spojrzała poprzez szybę w drzwiach kabiny, a widząc, że szyby są wysoko ponad bezludnym, pustynnym, obszarem prerii, nie miała już wątpliwości, co do istotnych zamiarów prześladowcy, który uwozi ją gdzieś w odległe nieznane okolice.

Pomimo obecnego położenia, dzielna dziewczyna nie poddawała się zwątpieniu, lecz przeciwnie, poczęła wysilać umysł nad wyszukaniem sposobu wyrwania się z rąk zbrodniarza. Zdając sobie jasno sprawę z tego, jaki ją czeka los w okrutnych szponach zwyrodnialca, postanowiła, nie wybierając w środkach, skorzystać z każdej nadarzającej się okazji, byle tylko odzyskać upragnioną wolność.

Przede wszystkim stwierdziła z zadowoleniem, że obydwójce zaopatrzeni są w spadochrony. Widocznie Ludwik, licząc się z niebezpieczeństwem przelotu na wielkich, często nawiedzanych przez gwałtownie burze przestrzeniach, starannie przygotował się do podróży.

Anicie z zamiłowaniem oddającej się niemal od dzieciństwa wszelkiego rodzaju sportom, nie była również obcą sztuka powietrznej żeglugi, tak zresztą rozpowszechniona dziś w Stanach, gdyż często wraz z narzeczonym odbywała dalsze wycieczki samolotem, zaprawiając się pod jego czujnym i wprawnym okiem we wszelkie arkana prowadzenia maszyny. Nic więc dziwnego, że jedno spojrzenie na licznik zawartości benzyny przekonał ją, że paliwa wystarczy jeszcze najwyżej na półtorej godziny, a zatem Blum prawdopodobnie zamierza lądować na równym i gładkim stepie.

To przeświadczenie na nowo rozbudziło w dziewczynie wspomnienia strasznych chwil, spędzonych z nim ostatniego wieczora, ostrzegając ją jednocześnie, że obecnie nic już nie stanie zbrodniarzowi na przeszkodzie do urzeczywistnienia swoich zamierzeń.

Pod wpływem tych przerażających myśli w głowie Anity zrodził się nazbyt śmiały, bo poddyktowany ostatecznością, plan ratunku; – wyskoczyć z samolotu i o ile się uda, wylądować przy pomocy spadochronu. A należy to uczynić bezzwłocznie, póki jeszcze szyby są na wysokości dostatecznej do rozwinięcia się spadochronu. Gdyby jednak ten, nazbyt ryzykowny, jak na niedoświadczoną dziewczynę zamiar nie miał się udać, to po stokroć wolała śmierć niż hańbę, jaka nieuchronnie czekała ją ze stromy podłego Ludwika Bluma.

Przechodząc szybko od postanowień do czynu poczęła bez dłuższego namysłu wprowadzać swój plan w życie. Delikatnie obserwując każdy, najmniejszy nawet, ruch Ludwika, jęła odpinać główny szeroki pas, przytwierdzający ją do siedzenia.

Praca ta szła jej o tyle łatwo, że Blum, który dotychczas dość często odwracał się w jej stronę, teraz, jakby zapominając o obecności dziewczyny w kabinie całą uwagę skierował na

pilne przeglądanie naprzemian mapy lub krajobrazu. Na jego bladej i dziwnie zmienionej twarzy dość łatwo było wyczytać coraz wyraźniej występujący niepokój.

Jakoż wkrótce, kiedy raz jeszcze sprawdził działanie busoli, odnalazł dokładną długość i szerokość geograficzną – już niepokój, ale po prostu przerażenie zjeżyło mu włosy na głowie. Przekonał się bowiem, że zmyliwszy kierunek, resztkami paliwa zbliża się w stronę Kansasu które to miasto powinien był zostawić za sobą od kilku godzin.

To przeświadczenie, że miast oddalać się od najgęściej zamieszkałej części Stanów, zbliża się tam na powrót od kilku godzin, z szybkością, 150 km na godzinę, było w swej nagiej prawdzie tak straszne, że przedsiębiorczy i niezrażony dotąd przeciwnościami losu, Blum ugiął się pod tym nowym ciężarem. Bezwolnie wypuścił drążek sterowy i zostawiwszy maszynę samopas, popadł w stan zupełnej apatii.

Trwało to jednak krótko. Rozbudzony pod wpływem grożącego niebezpieczeństwa instynkt samozachowawczy podsunął mu nowa, myśl ratunku: – wyskoczyć na spadochronie...

Ten, tak nagle zrodzony pomysł wydał mu się po prostu genialnym. Nie przypuszczając, aby Anita umiała się obchodzić z maszyną, był niemal pewnym, że „Bellanka”, lecąc samopas do ostatniej kropli benzyny w kierunku na Kansas runie wreszcie z wysokości tysiąca metrów, grzebiąc pod swymi szczątkami jedyne świadka ostatnich wydarzeń.

– Trudno... – szepnął jeszcze do siebie, jakby tym słowem rozgrzeszając już z góry swój podły nieludzki postępek i rezygnując jednocześnie z tego wszystkiego, co obiecywał sobie przeżyć sam na sam z piękną, pożądaną kobietą.

Odpinając pas i przygotowując spadochron do skoku miał chęć jeszcze raz spojrzeć w stronę Anity, nie mógł się jednak zdobyć na tego rodzaju wysiłek, jakby w obawie, że widok tej biednej, udręczonej dziewczyny może rozbudzić w jego duszy jakieś szlachetniejsze uczucia, a tym samym odwieść go od powziętego zamiaru. – Trudno... – powiedział jeszcze raz i... nacisnąwszy szybkim, zdecydowanym ruchem klamkę drzwi czek kabiny, rzucił się przed siebie. Stało się to wszystko tak nagle, że zaskoczona tym Anita w pierwszej chwili nie zrozumiała co zaszło. I choć widziała gorączkowe przygotowania Bluma i jego raptowny skok, była raczej skłonna sądzić, że Ludwik uległ wypadkowi, niż że sam zdecydował się na tak ryzykowne, a niezrozumiałe dla niej przedsięwzięcie.

Nim ochłoneła na tyle, że odważyła się spojrzeć przez okienko kabiny, – Blum już przeleciał przestrzeń potrzebną na otwarcie spadochronu i dziewczyna widziała tylko z góry olbrzymi, rozpostarty parasol, który dotąd wyglądał jak duża kula, lecąca w dół jednostajnie przyspieszonym ruchem.

– Co to wszystko ma znaczyć?... – pomyślała przez chwilę, ale spojrzawszy na puste miejsce pilota i jakby nerwowo drgający, drążek sterowy, zrozumiała, że zdana jest obecnie wyłącznie na swoje siły, a to przeświadczenie kazało jej zapomnieć o Blumie, a cały wysiłek skierować na opanowanie puszczonej samopas maszyny.

Szybko przesunęła się na opróżnione miejsce Ludwika i u chwyciwszy stery, wyrównała lot poczym, otwarłszy przytłumiony gaz, przeszła do łagodnego wirażu, aby nawrócić maszynę w przeciwnym kierunku.

Zrobiła to jedynie dlatego, że nie znając omyłki Bluma była wprost przekonana, iż oddalają się od zaludnionych okolic. Należało więc co rychlej zawrócić, aby zanim wyczerpią się zapasy benzyny, dotrzeć bodaj do pierwszej, najdalej wysuniętej na zachód osady.

Gdyby mogła przeczuć, że w ten sposób na powrót oddala się od widocznych już przy pomocy lunety, smukłych wieżyc ruchliwego Kansasu i szybuje w kierunku bezkresnych obszarów pustynnych plenów...

ROZDZIAŁ XII

ZŁE OCZY

Silny, gwałtowny podmuch zachodniego wiatru zabrzączał na suchych badyłach czamizalu, rozfalował bezkresny łąn stepowych burzanów i targnął potężne korony drzew hicoro.

Był to jednak ostatni, silniejszy powiew przed głączą ciszą zapadającej nocy. Wiatr, zda się, tylko prześlizgnął po gładkim stepie i swój niesamowity chichot poniósł gdzieś het, w tajemnicze, bezkresne obszary uśpionych preryj.

I znów dzwoniąca w uszach cisza otuliła niskie, obrosłe łożą, brzegi szerokiej Platy, a tylko lekki, monotony plusk fali kołysał do snu omdlałą dziennym upałem przyrodę stepu.

A kiedy mrok już na dobre zasiał czarnym woalem niskie brzegi i zagasły ostatnie wieczorne zorze, wyłaczające odległe szczyty Gór Skalistych, olbrzymia, granatowa kopuła nieba roziskrzyła się miliardem gwiazd, wśród których niestrudzenie żeglował uśmiechnięty księżyc.

Wyglądał tak samo, jakim Anita widziała go w czasie ostatniej bezsennej nocy w swoim pokoju. Tak samo spokojnie, zda się niedostrzegalnie sunął po niebieskim gościńcu, rzucając jej przez okno smugi bladej poświaty.

– I może teraz zagłąda do okna Stefana... – myśli dziewczyna, wpatrzona w jego srebrną tarczę i duże perliste łzy spływają po jej policzkach.

Ukryła twarz w białych dłoniach i na dłużej popadła w tęskną, aż bolesną, zadumę. Oto sama słaba, bezbronna kobieta siedzi zagubiona wśród olbrzymich, dzikich i tajemniczych stepów, zdana na łaskę losu, nie wiedząc, w którą się zwrócić stronę i gdzie szukać ratunku.

Długie, szerokie płaty i biały kadłub „Bellanki” odrzynają się wyraźnie na ciemnym tle nocnej pomroki. Cóż z tego, że ten ścigły, pożerający kilometry w szalonym pędzie aluminiowy ptak stoi obok, kiedy z jego metalowych aort wysączyła się ostatnia kropla bezbarwnej, lotnej krwi i stalowe serce nie zatętni rytmem potężnych uderzeń. W tej chwili jest tylko martwą, bezużyteczną masą metalu, kauczuku i drzewa.

– Cóż z tego – rozważała dalej Anita – że ten blade księżyc zagłąda może w tej chwili do okien jej najbliższych: – matki, ojca, Stefana – kiedy jego drgające platynowym refleksem zwierciadło nie może odbić jej myśli i strząsnąć na umartwione głowy ukochanych...

Jest sama, a wokół czai się przeraźliwa, złowieszczą cisza, w której najłżejszy nawet szmer wydaje się być odgłosem pełzającego potwora, ciemne kontury nadbrzeżnych zarośli przybie-
rają postaci jakichś upiornych widziadeł.

Czasem gdzieś blisko zakwili zbudzony ptak i strzepując ze skrzydeł rosę, zaszeleści suchymi badyłami kolczastej wacthi, a dziewczynie zdaje się, że to oddech zbliżającego się okrutnego Hamiro, mściwego ducha preryj, zrodzonego z ostatnich przekleństw ginących z pragnienia karawan.

Ciemne, leniwie płynące wody Platy odbijają nadbrzeżne zarośla, niby jakieś ruchome, rozkołysane potwory, przewalające swoje cielska w powolnym rytmie makabrycznego tańca upiorów.

Wszystkie te niesamowite odgłosy i zjawy napełniają serce Anity paniczną trwogą, przytłumiając uczucie zmęczenia i głodu. Nie może dłużej pozostać na tym pustkowiu, gdzie każ-

dy najmniejszy szelest przeradza się w jęki, wycia i stapania niewidzialnych potworów. Gdzie samotność jest większą męką niż najsrozsze fizyczne katusze.

Zaostrzony przesubtelniony słuch nadludzko wyczerpanej dziewczyny chwyta najlżejszy szelest, a chorobliwa wyobraźnia przeradza go w owe przerażające odgłosy. Wolałaby w tej chwili znaleźć się, nawet wobec rzeczywistego z krwi i kości, zbrodniarza, niż liczyć te niepewne straszne minuty trwożnego oczekiwania na Niewiadome...

Z wysiłkiem ślaniając się ze zmęczenia powstała i wodząc trwożnym spojrzeniem, ruszyła wolno przed siebie bez celu, byleby tylko znaleźć się dalej od tego miejsca, gdzie wszystko napawało ją zabobonnym wprost lękiem.

Uszedłszy kilkaset kroków zatrzymała się by odetchnąć i rozejrzeć dokoła. Wszędzie jednak rozciągał się ten sam jednostajny spalony słońcem step i wszędzie ta sama tajemnicza przerażająca cisza, przerywana jedynie suchym szelestem łamanych stopą, zwiedłych badyli. A nad tym wszystkim roziskrzona kopuła nieba.

Jednak śmiertelne wyczerpanie poczyna brać górę nad lękiem osamotnienia. Anita czuje coraz wyraźniej, że jeszcze kilka kroków i upadnie na ziemię. Żałuje teraz, że oddaliła się od „Bellanki”, w której kabinie mogła zasnąć bezpieczniej, niż na otwartym stepie pod gołym niebem. – Wprawdzie niezbyt daleko mającą w księżycowej poświacie białe skrzydła płatowca, ale dziewczyna nie czuje się na sile odbyć powrotną drogę. Nogi ciężą ołowiem, a zmęczone powieki same zamykają się do snu. Powoli osuwa się na kobierzec zeschłej murawy i z twarzą zwróconą w niebo, popada w stan odrętwienia.

We śnie zacierają się powoli koszmarnie obrazy ostatnich dni. Nie ma już przy niej ani cynicznie uśmiechniętej wiedźmy Agaty, ani jej przyjaciela, Billa Monktona, o odrażającej, oszpeconej dziobami twarzy. Zniknął również Ludwik Blum, którego Anita najdłużej czuła przy sobie, a zjawily się ukochane osoby: dobrotliwie uśmiechnięta matka, opanowany zawsze nie zdradzający swych ojcowskich, gorących uczuć ojciec i... Stefan. – Kochany, najdroższy chłopiec...

Wszyscy są przy niej i serce Anity wzbiera nadmiarem szczęścia.

Ale śpieszący się zawsze ojciec składa tylko na czole córki pocałunek i odjeżdża do fabryki; matka odchodzi do swego pokoju, a pozostaje tylko Stefan.

Tylko dziwne, że zamiast zwykłego warkotu motoru odjeżdżającego z ojcem auta dziewczyna słyszy jakby ciężkie stapanie kopyt końskich, które miast się oddalać, staje się coraz bliższe i wyraźniejsze. Anita chce zapytać o to Stefana, ale odgłos ten urywa się nagle i dziewczyna niespodziewanie widzi nad sobą pochyloną, twarz obcego człowieka w dużym cowboy'skim sombrero.

– Kto to być może?... – myśli z wysiłkiem i lęk na powrót wpełza do duszy dziewczyny. Nie jest to jednak to samo trwożne uczucie, jakiego doznawała na widok Ludwika Bluma. I choć czerstwa, ogorzała twarz nieznajomego ma w sobie coś z rysów drapieżnych bestyj, nie budzi jednak odrazy, a przeciwnie, przykuwa do siebie wpółsenne spojrzenie Anity.

Jakiś czas patrzą sobie w oczy i na oblicze nieznajomego wpełza życzliwy, szczerzy uśmiech zadowolenia.

Anita chce coś powiedzieć, lecz nie może zdobyć się na ten niewielki wysiłek. – Omdlałe z wyczerpania członki nie pozwalają, jej się nawet poruszyć.

Mężczyzna w sombrero znika jej z pola widzenia. Dziewczyna słyszy teraz jedynie oddalające się jego kroki. Nie wie czy było to tylko przywidzenie, czy też istotnie ktoś tu był przy niej i patrzył na nią przepastną głębią czarnych oczu.

Ale w minutę później znów słyhać te same co przedtem stapania i nieznajomy na powrót pochyla się nad nią. Przykłada jej do spieczonych warg niewielką blaszanekę i sący powoli jakiś orzeźwiający, zimny napój. Anita pije chciwie i czuje jak siły wstępują w nią, na nowo i rozpraszają się ostatnie półsenne przywidzenia.

Teraz już zdaje sobie dokładnie sprawę z tego, gdzie jest i co ją otacza. Pragnie się nawet podnieść, co widząc nieznanemu obejmuje ją delikatnie i bez żadnego wysiłku sadza na wysokiej kulbace, stojącego obok wierzchowca, po czym sam lekko skacze na siodło.

Jadą szerokim rozfalowanym stepem. I choć do tej pory nie zamienili z sobą jednego słowa, Anita instynktownie wyczuwa, że ten nieznanemu, nocny włóczęga stepu, który odnalazł ją uśpioną pośród zeszlęch burzanów, wpóldziki cowboy, nie uczyni jej żadnej krzywdy i może mu w pełni zaufać.

Chce więc przemówić do niego, obawia się jednak spłoszyć tę drzemiącą wokół ciszę przerywaną jedynie miękkim stąpieniem niepodkutych kopyt konia i chrzęstem roztrącanych badyli.

Ale kiedy po godzinie drogi znaleźli się na niewielkim pagórku, cowboy pierwszy przerwał przedłużające się milczenie:

– Miss to już niedaleko – rzekł, a jego niski melodyjny głos brzmiał jakoś nieśmiało jakby z zażenowaniem. – Widać już nawet ogniska naszych koczowisk – wskazał ręką na zachód i Anita, spojrzawszy w tym kierunku dostrzegła, choć nikły, ale wyraźny blask płonącego ogniska.

Nie odrzekła nic, tylko poprawiła się nieco na wygodnej kulbace z wysoką meksykańską kulą, co widząc cowboy, objął ją silniej i zapytał troskliwie:

– Może siodło zbyt twarde?... Pozwól miss to podłóżę mój kaftan...

– Dziękuję... nie trzeba. Jest mi całkiem wygodnie – zaprotestowała żywo dziewczyna. – Przykro mi tylko, że panu sprawiam tyle kłopotu.

– Jaki tam pan... – mruknął tamten z pogardą. – Jestem cowboy; Jack cowboy i nic więcej... A co do kłopotu, to bądź miss tego pewna, że choćby do Nebraski gotów jestem cię odwiedzić a będzie to dla mnie jedynie wielkim szczęściem...

– Dlaczego nie na ruchliwy wschód do New Yorku, lub Chicago? – spytała, nie chcąc od razu zdradzać miejsca, z którego tutaj przybyła.

– Tam są źli ludzie, miss... – odparł Jack z przekonaniem. – Dawniej, będąc jeszcze chłopcem, wędrowałem tam wiele razy z tabunem koni, lub pędząc bydło do Chicago. Poznałem tamten świat; świat zbrodni, obłudy i kłamstwa, gdzie dla białego centa sprzedaje się sumienie, honor a nawet odbiera drugim życie... To kraj przeklęty!

Cowboy umilkł i znów jechali w milczeniu, Kołyszając się w takt stąpań konia. Jack może rozważał sens wypowiedzianych tak śmiało poglądów, a może zastanawiał się, czy ta piękna, słaba miss odnaleziona nocą pośród bezkresnych stepów, należy do tamtego podłego świata, czy też jest dobra; wróżką, co błądzi wśród preryj i wywołuje uśmiech szczęścia na szorstkich, spalonych słońcem obliczach synów stepu.

Czuł jednak, że ma przed sobą żywą, choć jakby nadziemską istotę, bo jej zwichrzone kędziory popielatych włosów muskały mu twarz, a poprzez cienką tkaninę jedwabnej sukni wyczuwał dłońmi gorącą, rozpulsowaną krew dziewczyny.

Ale i w serce Anity po strasznych przejściach ostatnich dni poczęły wstępować jakieś nowe, nieznanne jej dotąd uczucia. Pyszna, roziskrzona, miliardem gwiazd noc na, uśpionym stepie, odurzający zapach zeszlęch ziół, wesołe prychnanie konia, wężącego tabun i... ten dziki, przystojny cowboy, wiozący ją niczym brankę do swojego obozu – wszystko to wyglądało na jeden z egzotycznych, dobrze opracowanych filmów.

Po półgodzinnej jeździe kłusem i stępa, na przemian, zbliżyli się już na tyle do obozowiska Jacka, że dziewczyna wyraźnie już dostrzegła majaczące na tle ogniska rosłe sylwetki siedzących ludzi, a nawet nozdrza jej pochwytyły zapach pieczonego mięsiwa.

W niewielkiej odległości od ogniska widniał obszerny szałas z nieokoronowanych bali pozabawiony drzwi i komina.

Obraz ten w pierwszej chwili wywarł na Anicie wrażenie jakiegoś zbójeckiego gniazda i serce nagle zabiło jej mocniej pod wpływem lęku, który na powrót zakradał się do duszy. Ale melodyjny drgający serdeczną nutą szczerości głos Jacka rozprószył chwilowe obawy:

– Jesteśmy na miejscu, miss – rzekł zsuwając się z konia i biorąc go za wędzidła, aby doprowadzić bliżej do ognia.

Siedzący przy ognisku ludzie spojrzeli w ich stronę, przesłaniając dłońmi odbłask płomienia.

– To ty, Jack? – spytał mężczyzna siedzący od tej strony. Ale w tej chwili widać wszyscy spostrzegli Jacka, prowadzącego konia i siedzącą na siodle dziewczynę, gdyż poderwali się z miejsc i z niekłamanym zdumieniem, w milczeniu przyglądali się temu niecodziennemu zjawisku.

Ale Jack, który, jak Anita przekonała się od pierwszego wejrzenia, był wodzem tej gromadki stepowych włóczęgów, nie miał zamiaru objaśniać swych towarzyszy kim jest ta błąda miss i skąd ją wiezie.

– Gdzie Arika? – krzyknął, a głos jego teraz brzmiał stanowczo, rozkazująco nie znosząc wahania ani sprzeciwu.

– Śpi – odparł bliżej stojący cowboy, równie jak tamci dwaj, rosły, barczysty chłop o wygiętych w kabłak nogach, wpuszczonych w wysokie buty.

– Zbudź ją, Ross – rzucił Jack, pomagając Anicie zsiąść a konia.

Ross Shanklin skoczył żywo i zniknął w ciemnym otworze szałas.

– Spocznij, miss – rzekł Jack, ale tym razem głos jego miał w sobie poprzednią serdeczność.

Anita usiadła na dużym głazie nakrytym owczą skórą i jakby zażenowana obecnością, tych obcych, wpółdzikich ludzi, utkwiała spojrzenie w buzujących płomieniach dużego ogniska.

Ale Jack, domyślając się tego, rzucił stojącym obok cowboy'om jakiś krótki, niezrozumiały dla Anity rozkaz i rosłe sylwetki drabów prawie natychmiast zniknęły w pomroce nocy.

Nim jednak Jack zajął miejsce naprzeciw dziewczyny, z szałasów wysunęła się niska, rozczochrana kobieta i mrużąc oślepienie blaskiem ogniska oczy, spojrzała w stronę Anity i cowboy'a.

Nie wiedzieć czemu, Anita chwyciwszy spojrzenie tej, młodej jeszcze, choć zaniedbanej kobiety, doznała jakiegoś niemiłego, jakby trwożnego uczucia.

– Złe oczy... – przypomniała sobie mimo woli tytuł książki Marsleya. Lecz dziwne, że czytając tę przeciętną zresztą powieść egzotyczną, takimi właśnie wyobrażała sobie oczy dzikiej Rasuczi.

Tymczasem Arika zbliżyła się do ogniska, zatrzymując się jednak w pewnym oddaleniu od Anity, co wcale jej nie przeszkadzało uważnie obejrzeć przybyłą od stóp do głowy.

– Ariko – rzekł Jack rozkazującym tonem – przygotuj dla miss posłanie w szałasie. – Nazbieraj najmiększych traw, przetrząśnij je gronami pachnącej tears i nakryj nową, najlepszą skórą. Wachita i Ross ci pomogą!

Dziewczyna zawahała się chwilę, a w jej ciemnych, złych oczach Anita dostrzegła jakieś groźne, nienawistne przebliski. Ale jedno spojrzenie Jacka wystarczyło, aby natychmiast pobięła spełnić wolę rozkazodawcy.

W niespełna pół godziny później, Jack wprowadził Anitę do szałas, przyświecając smolnym łuczycem i ułożył ją na miękkim, świeżo przygotowanym przez Arikę, posłaniu.

– Śpi spokojnie, miss – rzekł, zabierając się do odejścia. – Ja ułożę się pode drzwiami, i będę czuwał nad twoim snem, którego nic nie zdoła zakłócić. Stada rozkazałem odpędzić daleko, ażeby wczesnym rykiem nie zbudziły mej dobrej wróżki...

Ale Anita przypomniała sobie, że przecież, gdy ona tu przybyła, w namiocie spała Arika, a teraz nie ma jej tutaj. Czyżby więc Jack i jej kazał nocować w polu?...

Chciała go o to zapytać, ale cowboy opuścił namiot wcześniej, nim dziewczynie przyszła ta myśl do głowy. Wprawdzie, jeżeli miał spać przed namiotem, wystarczyło tylko zawołać, a zjawiłby się niechybnie, lecz nadludzko wyczerpana dziewczyna nie mogła już zdobyć się nawet na ten niewielki wysiłek.

Jednakże, pomimo zmęczenia długo nie mogła zasnąć. Ilekroć razy przymykała zaczerwienione bezsennością powieki, widziała wpatrzona w siebie dziko płonące oczy metyski.

A Arika, której miejsce w szałasie zajęła blada, tajemnicza dziewczyna, w tym samym czasie wiodła z Rossem Shunklinem jakieś tajemnicze narady, zaszyta w gęstych zaroślach czamizalu.

ROZDZIAŁ XIII

MIŁOŚĆ COWBOY'A

Anita obudziła się wcześniej. Pomimo to czuła się wypoczęta, gdyż widocznie świeże stepowe powietrze podziało orzeźwiająco na wyczerpaną dziewczynę, dając jej nowy zasób energii i zdrowia.

Leżąc jakiś czas na miękkim posłaniu w nędznym pastuszym szałasie przebiegła w myślach straszne przeżycia ostatnich dni, dziękując Opatrzności, że pozwoliła jej uniknąć gorszego po stokroć losu, który niechybnie spotkałby ją w okrutnych szponach Ludwika Bluma.

Obecnie jednak, czując się bezpieczną pod opieką tego dzielnego, choć może nieco dzikiego cowboy'a, jakim był Jack, wierzyła, że przy jego pomocy zdoła wkrótce dotrzeć do najbliższej stacji kolejowej, a stamtąd odjechać do Chicago.

Na tę myśl serce Anity zabiło radośnie, a przed oczyma zamajaczyły postacie ukochanych osób, matki, ojca i Stefana. Nie pohamowana fala tęsknoty ścisnęła serce dziewczyny aż do bólu. Wiedziała przecież jak bezgraniczna rozpacz musi pożerać te najdroższe istoty, które może już zatraciły nadzieję na odzyskanie ukochanej córki i narzeczonej.

Uświadomiwszy sobie tę okrutną prawdę, zerwała się z posłania, aby biec jak najprędzej do najbliższej stacyjki i telegraficznie zawiadomić ich o swym, cudownym wprost, ocaleniu.

Wybiegła przed szałas, aby odszukać Jacka i prosić go o pomoc.

Jednak pierwszą żywą, istotą, jaką zobaczyła wychodząc z namiotu, była, pochylona nad słabo tlejącym się ogniskiem metyska Arika.

Anita dostrzegłszy ją doznała nagłego uczucia lęku i chciała już zawrócić, aby na powrót ukryć się w ciemnym szałasie, gdy tamta odwróciła twarz w jej stronę i spojrzała na speszoną dziewczynę ponurym wzrokiem swoich złych oczu.

W tym jednym, krótkim spojrzeniu, było coś z żywiołowej wprost nienawiści i szyderstwa zarazem; coś z sugestywnego, hipnotyzującego spojrzenia jadowitego węża, który obezwładnia ofiarę, ale nie pozbawia jej świadomości, aby mogła czuć i cierpieć do końca...

Na szczęście trwało to krótko. Metyska na powrót pochyliła się nad ogniskiem i poczęła rozdmuchiwać słabo żarzące się węgle.

Anita odetchnęła, jakby kto zdjął jej z piersi jakiś straszliwy ciężar, który przygniatał ją, pozbawiając oddechu. Szybko odwróciła się w tył i poczęła uciekać od obozu.

– Byle dalej... byle dalej!... – powtarzała w myślach bez przerwy, czując ze następne spojrzenie Ariki potrafi ją, zabić.

W dodatku, nie widząc wokół ani żywej duszy, wyimaginowała sobie, że Jack, tak dotychczas uprzejmy i dobroduszny, umyślnie zostawił ją tu sam na sam z metyską.

Ale kiedy ubiegłszy kilkaset kroków obejrzała się poza siebie, przekonała się, że Arika, jakby nie zwracając uwagi na jej ucieczkę, zajęta jest dalej rozpalaniem ogniska.

To uspokoiło Anitę na tyle, że zatrzymała się natychmiast i dysząc ciężko, usiadła na miękkiej murawie.

– Co robić dalej? – myślała gorączkowo, nie wiedząc, czy tak, jak jest, ruszyć przed siebie, w nadziei dotarcia do jakiejś ludzkiej sadyby, skąd łatwiej byłoby dostać się do najbliższej

stacji kolejowej, czy też zaczekać na przybycie Jacka, który znając okolicę odprowadzi ją, lub wskaże właściwy kierunek drogi.

Jednakże po dłuższym zastanowieniu dziewczyna odrzuciła to drugie. Wprawdzie wczoraj była nadludzko wyczerpana i nie reagowała na wiele dotyczących jej spraw, tym niemniej jednak dostrzegła, że opieka jakiej doznała ze strony Jacka, nie wypływała z jakichś samarytańskich pobudek, lecz kryło się za tym coś więcej.

Pod wpływem tych rozważań Anita znów przypomniała sobie dziewczynę o złych oczach i zimny dreszcz na nowo wstrząsnął jej drobnym ciałem.

– Kto to jest?... – rozmyślała. – Nie wydawało jej się prawdopodobnym, aby Arika miała być żoną Jacka. Młody, przystojny chłopak nie mógł mieć, zdaniem Anity, tak dalece wypaczonego gustu, ażeby wziąć za żonę dziewczynę, której oczy, będące zarazem odzwierciedleniem duszy, nie tylko, że nie mają w sobie nic z kobiecego ciepła, ale przeciwnie, odpychają jakąś, żywiołową wprost nienawiścią. W dodatku z żoną Jack nie postępowałyby w ten sposób – rozmyślała dalej – jak to widziała ubiegłej nocy, kiedy po prostu wypędził Arikę z namiotu, aby w nim dać wygodne schronienie jej, bądź co bądź obcej, kobiecie. A zatem metyska jest co najwyżej służącą i kucharką w jednej osobie – przyszła do przekonania i to przeświadczenie pozwoliło jej zbyć się napadających ją, skrupułów, że może swą obecnością w obozie cowboy’ów wprowadziła rozdzwięk między tym dwojgiem ludzi.

Ale w takim razie – myślała znów po chwili – skąd ta żywiołowa nienawiść Arika do niej?... Czyżby to wynikało jedynie z jakiejś czysto analogicznej struktury oczu dziewczyny?... – Nie! – odrzuciła to przypuszczenie. – Spojrzenie Arika było zbyt wymowne, aby nie miało być odzwierciedleniem nurtujących ją uczuć.

Ale tok tak rozbieżnych myśli przerwał dziewczynie głuchy, odległy tętent konia. Anita spojrzała w tym kierunku i z odległości kilkuset metrów dostrzegła pędzącego w galopie jeźdźca, który leżąc niemal na karku wierzchowca, zdawał się z nim razem tworzyć jedną nierozzerwalną całość.

Ale Jack widocznie dostrzegł Anitę już z daleka, gdyż nagle wyprostował się na siedzeniu i jeszcze silniej ścisnąwszy konia piętami, przeszedł do szalonego galopu.

Ale odgłos zbliżającego się jeźdźca jeszcze wcześniej pochwycił wrażliwy słuch Arika. Metyska zwróciła głowę w tamtą stronę i przesłoniwszy dłonią oczy obserwowała nadjeżdżającego cowboy’a.

Tymczasem Jack, podjechawszy do Anity na odległość kilkuset kroków, osadził konia niemal w miejscu i zwinnym, błyskawicznym ruchem zeskoczył z siodła.

Dziewczyna dopiero teraz, widząc go w pełnym dziennym świetle, stwierdziła, że Jack jest typowym, urodzonym synem stepu, jakich dotychczas oglądała jedynie na filmach, w jakżeż bladym oddaniu najlepszych nawet aktorów. Jego ogorzała, tryskająca zdrowiem twarz, wysmagana porywami groźnego tornada, spalona słońcem, miała w sobie obok beztroskiego, życzliwego uśmiechu, coś z majestatycznej powagi legendarnych już dzisiaj wodzów krwiożerczych Pawnisów, Siuksów, Komanczów czy Arikarów. Rozumne spojrzenie stalowych oczu tego młodego cowboy’a wyrażało stanowczość i nieugiętość żelaznej woli, nie znoszącej sprzeciwu ani wahania. i gdyby nie ten życzliwy beztroski uśmiech, jaki w tej chwili miał dla Anity wydawałby się raczej groźnym jastrzębiem stepowym, który nie licząc się z własnymi siłami, uderza na każdą napotkaną ofiarę.

A jednak ten tak pozornie śmiały i jakby stworzony wyłącznie do rozkazywania, Jack, teraz, jak to Anita stwierdziła z zadowoleniem, stał jakiś zażenowany, nie mogąc zdobyć się na tyle odwagi, aby słowami wyrazić to wszystko, co czuł od owej pamiętnej godziny spotkania samotnej dziewczyny, zagubionej w bezkresnych obszarach stepowych równi. Pierwotny beztroski uśmiech, jakim powitał Anitę, zgasł momentalnie, ustępując miejsca widocznemu wyraźnie zafrasowaniu.

Anita teraz dopiero dostrzegła, że Jack oparty jedną ręką na karku konia, w drugiej, zwieszanej w dół, trzyma olbrzymi bukiet cudnych pąsowych kwiatów. Mdłe aksamitne płatki wielkości dłoni skrzyły się jeszcze ostatnimi kroplami rosy, której nie zdołał strząsnąć lekki bieg konia, a długie, lancetowate liście wydawały z każdym poruszeniem, suchy szelest, choć ich soczysta, nasycona zieleń świadczyła, że pełne są świeżych, żywotnych soków.

Dziewczyna jakiś czas nie mogła oderwać wzroku od tego wspaniałego bukietu, aż dopiero głos Jacka wytrącił ją z niemego zachwytu.

– To dla ciebie, Miss... – rzekł, podnosząc olbrzymią wiązaną kwieciami. – Wiedziałem, że blade kobiety kochają się w kwiatkach... To tyle, co biedny cowboy może ofiarować swej dobrej wróżce... prócz serca... – dodał i spuścił głowę, nie wiedząc, czy bojąc się śmiałości wypowiedzianych słów, czy też nadmiar rozpierających mu serce uczuć sprowadził na nowo, obce mu dawniej, onieśmienie.

– Przyjmij Miss... – rzekł po chwili, widząc wahanie Anity, a jego niski melodyjny głos brzmiał najgorętszą, prośbą.

– Zaniesiemy to Arice – odpowiedziała wzruszona, ale zarazem dziwnie zaniepokojona dziewczyna, spoglądając w ciemne, stalowe oczy cowboy'a. – Ona biedna, zapracowana... Na pewno lubi kwiaty... – dodała.

Ale te słowa ubodły dumnego Jacka prosto w serce. Jego czerstwa ogorzała twarz przyoblekła się nagle trupią bladością, a w oczach zamigotały mu gniewnie przebłyski.

– Nie, Miss! – rzekł teraz, podnosząc hardo głowę. – Potomkowi rodu potężnego wodza dzielnych Pawnisów wolno dzielić namiot z dziewczyną niskiego pochodzenia, wolno odbierać jej pieśczęty, bez ujmy dla honoru, ale nie wolno bezkarnie oddać jej serca... A kwiat ten, spójrz tylko, jest odwiecznym symbolem miłości. Każdy jak gdyby żywą krwią nabrzmiał płatek, to serce, a pod nim ostra, wąska lanca grubego liścia, która albo odpadnie, nim kwiat straci swą świeżość lub też przebiję serce na wylot... To dla ciebie te kwiaty, Miss, a ty je oszczędź albo ubrocz zdradzieckie lance w świeżej, rozpulsowanej krwi serca!...

Jack umilkł i, dysząc ciężko, swym bystrym wzrokiem wpatrywał się w twarz Anity, jakby pragnąc wyczytać w niej to wszystko co kryje się w duszy ukochanej dziewczyny.

– Odpowiedź, Miss... Indyjskie prawo krótkie!... – przerwał znów ciężką im ciszę, byleby jak najprędzej zrzucić z piersi ten przygniatający go ciężar.

Ale wobec tale stanowczego, a przede wszystkim jasnego postanowienia sprawy, w Anicie odezwała się nagle kobieca chytrność. Z jednej strony nie chciała zrażać do siebie jedyne go życzliwego człowieka, na którego pomoc jedynie liczyła, z drugiej znów nie mogła przecież dawać mu najmniejszej nadziei. W wyniku krótkiego zastanowienia, obrała drogę okrężną, postanawiając grać na zwłokę.

– Dziwne macie zwyczaje – rzekła z lekkim uśmiechem, siląc się ma swobodę, pomimo że serce poczęło jej bić niespokojnie. – Dlaczego podarowany kwiat musi zaraz być wykładnikiem uczuć?... Są to już przestarzałe formy i pan, panie Jack'u, jako człowiek najbardziej cywilizowany, pośród tych na wpół dzikich plemion powinien mieć inne poglądy na te sprawy. – Rozpadły się wasze szczepy, rozleciały wigwamy, jednym słowem cała tradycja minionych stuleci runęła w gruzy bezpowrotnie i nie widzę potrzeby roztkliwiania się nad tym wszystkim, tym więcej, że i pan, potomek dzielnych Pawnisów, jest dziś już tylko zwykłym cowboy'em...

– Tak, jestem tylko cowboy'em; pastuchem i nic więcej... – powiedział Jack z goryczą. – I dlatego moja urocza wróżka odwraca się ode mnie, dając mi w zamian Arikę... Dziękuję, Miss! – rzekł, i już szykował się do skoku na siodło, gdy Anita, spostrzegłszy się, że nieco przeholowała, chwyciła go za ramię i z jakimś nagłym ożywieniem spojrzała mu w oczy.

– Nie chciałam panu dokuczyć, panie Jack'u – rzekła – proszę się uspokoić...

Cowboy zawahał się, lecz widocznie słowa dziewczyny rozbudziły w nim jakieś nadzieje, bo twarz powoli poczęła mu się wypogadzać, a groźne szaleńcze przebłyski na powrót zagały w jego ciemnych źrenicach.

– Gdzie pan chciał jechać? – spytała teraz Anita, kiedy Jack wypuścił z rąk uzdę i pogodniejszym wzrokiem spojrzął przed siebie.

– A czy ja wiem?... – odparł ze smętnym uśmiechem. – Może na wietrze rozpędzić smutek, co zalewa mi serce, zachłysnąć się wiatrem, upić szalonym biegiem konia, a może rozbić niešťczęsną głowę o skały Czarciego uroczyska... Sam nie wiem..

– Jak można tak mówić panie Jack’u? Jest pan młodym, przystojnym, chłopcem, a życie przed panem dopiero się otwiera. Trzeba pojechać na wschód... do ludzi.

– Nie, Miss; ja tu zostanę!... Chyba, że rozkażesz mi jak psu wlec się za tobą, to pójdę, choćby do Wielkiej Wody, gdzie słońce wynurza się z morza o poranku i gdzie piętrzą się wasze kamienne wigwamy, niby olbrzymie, niebosiężne skały Kolorado. Gdzie mrowie złych ludzi kłębi się od rana do nocy w ciasnych wąwozach ulic, staczając nieustanne walki o kęs chleba, czy łyżkę strawy, zlorzcząc tym, co fałszem i obłudą wciągnęli ich do niewolniczego zaprzęgu, w pogoni za szeleszczącym banknotem dolara. To wstrętny, przeklęty świat. Niepokojnym spojrzeniem zawisnęła na twarzy Anity, jakby czekając wyroku, który ma zadecydować o losie wolnego syna stepu.

– I po co tam iść za mną, panie Jack’u – odparła dziewczyna, a głos jej tym razem brzmiał jakoś niepewnie – kiedy ja sama należę do tego przeklętego, przez pana, świata obłudy, fałszu i niewolnictwa.

– Nie, Miss, ty jesteś inna; ciebie się zło nie ima, a że w tym ludzkim piekle nie zatraciłaś piękna duszy, tym więcej jesteś godną prawdziwej miłości i uwielbienia... Miłości czystej, tak nieskalanej, jak ten kwiat, co jest jej symbolem, a który znajdziesz tu na szerokim stepie, gdzie wszystko jest inne, piękniejsze i bardziej wzniosłe, niż tam na ruchliwym wschodzie. Jeśli więc pójdę za tobą, Miss, to jedynie po to, aby cię strzec i spragnione oczy napawać twoim, widokiem.

– Ty nie wiesz, jak cię kocham – mówił po małej przerwie – i nie wiesz, jaki okropny ból przeszywa me serce, gdy wspomnę, że cudną, dobrą wróżkę, co tak niespodziewanie zjawiła się na mej drodze i dała mi przedsmak niepojętego wyrost szczęścia, mogę utracić bezpowrotnie...

– To jest straszne, Miss; gorsze niż ten złowieszczy, ścinający krew w żyłach, ryk tornado, co obala wigwamy, łamie potężne sekwoje i wrywa dech z piersi... Gorsze niż oszalały bełkot spienionych na wiosnę wód rozkapryszonej Platy, gdy jednym chluśnięciem żółtej wody zabiera cały dobytek biednego cowboy’a; gorsze niż susza, rzucająca zarazę na stada!...

– Po co tu przyszłaś, Miss... po co stanęłaś na mej drodze, skoro twe serce nie może należeć do cowboy’a?...

Jack umilkł i szli teraz wolno obok siebie, odgradzeni olbrzymim bukietem pąsowych kwiatów.

Wzruszona do głębi Anita, widząc beznadziejność wynurzeń cowboy’a nie mogła znaleźć w sobie nawet jednego wyrazu pociechy. W milczeniu więc, niemal bezwiednie, posuwała się obok niego, choć ta cisza, jaka zawisła między nimi, ciążyła jej niepomiernie jakby w przeźuciu czegoś strasznego, co nieuchronnie musi nastąpić. A kiedy w chwilę później posłyszła trzask płonącego ogniska i uniosła zwieszoną głowę, dostrzegła nadmiernie rozszerzone, pałające wprost żywiołową nienawiścią, złe oczy metyski Ariki.

Dziewczyna pod wpływem tego spojrzenia zdrząła całym ciałem, przed oczyma zamigotały jej miliony srebrzystych pyłków i bezwolnie osunęła się w ramiona Jack’a cowboy’a.

ROZDZIAŁ XIV

ZEMSTA ARIKI

Po strasznym niemal podzwrotnikowym upale, zapadł cichy pogodny wieczór. Olbrzymia, słoneczna kula, niemal biała za dnia, a teraz przechodząca wyraźnie z barwy roztopionego złota w odcień nasyconej czerwieni, powoli opuszczała się za odległe wierzchołki Gór Skalistych. I kiedy niżej u podnóża wierzchołków górskich czały się jeszcze sino-fioletowe, jakby nieśmiało wypełzające mroki, szczyty zdawały się płonąć wszystkimi odcieniami rozedrganych kolorów.

Po bezchmurnym, gdzie nigdzie tylko utkanym białymi barankami, niebie, rozwłóczyły się purpurowo-złote smugi wieczornej zorzy, znaczącej prawie każdy szlak słonecznej wędrówki. A kiedy słońce rzuciwszy na szczyt gór ostatni pęk gołych promieni, utonęło w spienionych wieczornym przypiływem wodach Pacyfiku, nocny tuman jał szybko zasnuwać ziemię czarnym woalem.

Step odetchnął po dziwnym skwarze. Skulone dotąd zioła, przypominające raczej zeschłe, martwe badyle, podnosiły teraz swe małe, okrągłe główki, odrzucające nektarem, kwiaty. W ślad za tym step począł ożywiać się z każdą chwilą. Zrazu jakby nieśmiałe pojedyncze głosy, nawołującego się ptactwa przeszły w zapamiętałe pogwizdywania, kwilenie i szczebioty, zlewając się z ćwierkaniem ukrytych w trawie owadów, tworząc jakąś dziwną tęskną melodię; którą jedynie muzyką stepu nazwać można.

Trwało to jednak krótko. Bo kiedy ostatnie wieczorne zorze i granatowy strop nieba roziskrzył się miliardem gwiazd, a od niskich, gęsto zarosłych łożą brzegów szerokiej Platy, począł leniwie pełznąć tuman silnych oparów, nasycając powietrze chłodem wilgoci, muzyka stepu zaczęła rwać się, przechodzić w pojedyncze, coraz słabsze odgłosy, aż wreszcie ucichły zupełnie, tylko lekki szelest zeschłych badyli, potrącanych słabym podmuchem wschodniego wiatru, kołysał do snu przyrodę stepu.

Ale ten błogi spokój, jaki zdawał się wokół rozptywać, nie zdołał przeniknąć do duszy Anity. Przeciwnie: rodził jakieś bolesne, chwilami przerażające uczucia i myśli, jakby ta cisza co rozsiadła się wokół, miała być ową złowieszczą ciszą przed burzą.

Leżąc na wznak na miękkim, pachnącym, posianiu w namiocie Jacka, przebiegała w myślach te niezwykle zdarzenia ubiegłego dnia, które miały decydujący wpływ na niezłomne postanowienie, jakie uczyniła przed chwilą.

Najwięcej jednak bolało ją a zarazem napawało jakimś lękiem to, że Jack, kiedy popadła w omdlenie pod wpływem spojrzenia złych oczu Ariki, wypędził tę dziewczynę z obozu, aby swoim widokiem nie zakłócała jej spokoju. Arika odeszła, ale kto wie, czy w jej sercu nie zrodziła się straszna myśl o zemście nad tą, która wtargnąwszy w ciche, sielskie życie tych dwojga ludzi, pozbawiła ją pieśczoł ukochanego chłopca. Kto wie, czy w tej chwili zagubiona pośród bezkresnych obszarów stepu, nie knuje zdradzieckich planów, byle pomścić okrutną krzywdę, jakiej doznała od bladej, tajemniczej Miss, która zabrała jej Jacka bezpowrotnie.

Na tę myśl zimny dreszcz wstrząsa ciałem Anity. Chciałaby zerwać się i biec za tą dziewczyną, wyznać jej wszystko i sprowadzić na powrót do obozu. Boi się jednak, że tym razem już jedno spojrzenie metyski potrafi ją zabić. A zresztą czy ta mściwa, zamknięta w sobie

dziewczyna zechce dać wiarę jej słowom; czy zechce zrozumieć, że Anita nie kocha Jacka, który jest jedynym celem życia Arika?

Leżąc tak, Anita przypomiwała sobie ostatnią rozmowę z Jackiem, jaką przeprowadziła na wiadomość o wypędzeniu z obozu młodej metyski. I wtedy dopiero dowiedziała się bliższych szczegółów o niej. Była to bowiem, według opowiadania Jacka, zwykła przybłęda, która rzucawszy ciężką służbę u jednego z farmerów w stanie Illinois, przywędrowała tutaj pieszo, pragnąc w ten sposób dotrzeć do Montehili, gdzie rzekomo posiadała bogatą rodzinę. Wychudłą i wyczerpaną, ledwo trzymającą się na nogach dziewczynę, Jack przygarnął w swoim obozie, tym więcej, że brak rąk roboczych, a zwłaszcza, jeśli chodzi o gospodarskie czynności kobiece, dawno dawał się mocno odczuwać na koczowisku.

Dziewczyna, która już po kilku dniach pobytu w obozie nie zdradzała najmniejszej chęci do dalszej wędrowki, zabrała się szczerze do pracy, doprowadzając wewnątrz szałas, jak i zarówno całe wejście, do wzorowego porządku, jakiego nigdy dotąd oglądać tutaj nie było można. Ale zadowolony z tego Jack nie przeczuwał, jakie plany ukrywała za tym wszystkim przebiegła, chytra metyska. Leniwa z natury pracowała w dwójnasób, starając się przez to jak najdłużej przeciągnąć swój pobyt w obozie cowboy'ów, licząc na to, że młody i przystojny wódz tej garstki stepowych włóczędów, który od pierwszej chwili głęboko zapadł jej w serce, żyjąc w osamotnieniu, z czasem zwróci na nią uwagę jako na jedyną kobietę w tym odludziu, a przez to spełnią się jej najskrytsze marzenia.

I stało się to w niespełna dwa tygodnie po przybyciu do obozu cowboy'ów. Odtąd zamieszkała wraz z Jackiem w szałasie, choć ponury Ross Shunklin i jej współrodak, metys Wachita, z którymi Arika dotychczas spędzała noce przy stadach, spoglądali spode łba na swego wodza, jakby ten wyrządził im jakąś krzywdę.

Stan taki trwał już od wczesnej wiosny i Arika coraz śmielej myślała o tej chwili, kiedy zostanie się oficjalną żoną ukochanego Jacka. Tymczasem te śmiałe, najskrytsze plany pokrzyżowało zjawienie się w obozie bladej Miss, która zajęła miejsce Arika w namiocie, a ona, wyrzucona za próg jak zniszczony, nieużyteczny sprzęt musiała iść precz, by nie zakłócać spokoju znieawidzonej przybłędzie, jak w myślach nazywała Anitę.

Po tym wypadku, zawsze pewny siebie i nie znoszący sprzeciwu Jack był niemal pewnym, że pozyska sobie Anitę. Nic więc dziwnego, że kiedy metyska opuściła obóz, cowboy wszedł do namiotu z rozpromienioną, twarzą i usiadłszy obok Anity, zakomunikował jej tę radosną, według niego, nowinę:

– Bądź już dobrej myśli. Miss; Arika poszła precz, by nie zakłócać spokoju mojej uroczej wróżce... Teraz będziemy już tylko dla siebie... Dlatego przyjmij, Miss, ten mały podarek od twego Jacka... – to mówiąc wydobyl ze skórzanego woreczka garść drogocennych klejnotów i złożył na skórach obok oszołomionej tym wszystkim dziewczyny.

Anita nie była w stanie wykrztusić jednego nawet słowa. Ta pewność siebie, z jaką nieśmiały dotąd Jack kupował ją niejako za tę garść świecących kamyków, przeraziła ją tak dalece, że nie pozwalała nawet na chwilę skupić rozpierzchłych myśli i przedsięwziąć jakiegokolwiek środka obrony przed natarczywością tamtego. Jedynie zalękłym zdumionym wzrokiem wpatrywała się w jego twarz, jakby nie wierząc jeszcze, że to wszystko dzieje się na jawie.

Ale i Jack był mniej zaskoczony zachowaniem się dziewczyny. Sądził bowiem, że Anita olśniona jego wspaniałym gestem w jednej chwili pozbędzie się wszelkich skrupułów, jakie mogły ją dotąd z różnych względów opanowywać, i dobrowolnie zgodzi się zostać jego żoną. Tymczasem jej zalękłe, niemal przerażone spojrzenie i trupia bladeść, jaką przyoblekła się twarz dziewczyny, mówiły mu co innego, wprowadzając myśli cowboy'a w jakiś okropny chaos. Nie wydawało mu się prawdopodobnym, aby ta biedna zabłąkana wśród stepów dziewczyna, mogła pogardzić takim skarbem, jakim wspaniałomyślnie ją obdarowywał.

– A może po prostu nie zdaje sobie sprawy z wartości tego, co otrzymała – pomyślał i jego ogorzała twarz w jednej chwili rozpogodziła się uśmiechem zadowolenia.

– Czy wiesz, Miss, co mogłabyś za to posiadać?... – rzekł, biorąc klejnoty na powrót do ręki. – Stada takie wielkie, że nie objąć ich wzrokiem tabuny młodych, ognistych źrebców i duży, wspaniały namiot z bawolej skóry... To jest skarb, Miss, jakiego nie posiada żaden cowboy, od nizin Missisipi aż po góryste Colorado. To dla ciebie. Miss... – dodał i umilkł, oczekując, jakie wrażenie jego słowa uczynią na Anicie.

Dziewczyna jednak milczała uparcie. Ni jednym słowem nie zdradziła nurtujących ją uczuć i myśli. Nie odpowiedziała również nic na płomienne wyznania i zakłęcia, jakie później wyrzucał z siebie przygnębiony Jack, widząc, że nawet największym skarbem, jaki posiadał, nie zdoła pozyskać sobie wzajemności Anity. Zabrał na powrót klejnoty i złamany opuścił pod wieczór namiot, pozostawiając dziewczynę z jej bolesnymi myślami.

Mimo to nie oddalił się od namiotu, lecz ułożywszy się jak zwykle pod progiem, czuwał nad bezpieczeństwem i spokojem ukochanej dziewczyny.

Anita widziała go wyraźnie, oświetlonego czerwonym blaskiem ogniska i do duszy wkradła jej się trwoga, czy wobec tego zdoła urzeczywistnić swój zamiar potajemnej ucieczki nocą z obozu cowboy'ów.

Wprawdzie Ross i Wachita zostali na noc przy stadach, a Jack, zmęczony dłuższym czuwaniem, zdrzemnie się, choćby nad ranem, tym niemniej jednak los może zrządzić inaczej i pokrzyżować niezłomne postanowienia Anity.

Tego rodzaju myśli przyprawiły dziewczynę o dziwny niepokój, tym więcej uzasadniony, że za dnia wypytywała się Rossa o drogę do najbliższego ludzkiego osiedla, ten mógł zdradzić Jackowi treść rozmowy a tym samym zaostrzyć czujność cowboy'a.

Nic więc dziwnego, że leżąc teraz nieruchomo na miękkim posłaniu, dziewczyna z niepokojem oczekiwała tej chwili, kiedy mrok na dobre zasnuje ziemię czarnym woalem, a miarowy oddech czuwającego Jacka upewni ją, że nadeszła odpowiednia chwila ucieczki.

Ale przeżycia ostatniego dnia zbyt silnie wstrząsnęły nerwami wyczerpanej dziewczyny, ażeby nie wywołać po dłuższym czuwaniu senności. Tak uparcie do niedawna skupiane myśli poczęły rwać się na strzępy, rozplywać w nieprzenikliwej, ciężkiej mgłę zapomnień, aż wreszcie Anita popadła w głęboki, pokrzepiający sen.

Nic więc dziwnego, że nie słyszała szelestu rozsuwanych skór namiotu i nie widziała ciemnej sylwetki kobiety, która w niespełna godzin później niespostrzeżenie wślizgnęła się do wnętrza szałas. Zbudził ją dopiero przejmujący chłód przedświt.

Zerwała się momentalnie i usiadłszy na posłaniu, poczęła zbierać myśli, jakby nie zdając sobie sprawy z tego gdzie jest i co ją otacza. Powoli jednak świadomość wracała jej w całej pełni. Z trwogą przypomniała sobie ostatnie postanowienie ucieczki i serce zabiło jej gwałtownie. Po cichu, zachowując do najdalszych granic posuniętą ostrożność, zsunęła się z posłania i zbliżyła do drzwi szałas.

Jack spał na dawnym miejscu z głową opartą na wiązce ziela. Anita zawahała się na jeden moment, ale słysząc głęboki, miarowy oddech śpiącego, szybko wybiegła z namiotu i w chwilę później zniknęła w pomrokach nocy.

Jakiś czas biegła wytrwale, jakby w obawie ze cowboy dostrzeże jej ucieczkę i rzuci się w pogoń. Lecz kiedy po kilku minutach zatrzymała się, by odetchnąć stwierdziła z zadowoleniem, że wokół zalega niezmacona cisza i radosne uczucie ulgi rozlało jej się na ciele. To, że jest samotna, bezbronna, zagubiona wśród nocy na bezkresnych obszarach nieznanych preryj, nie przerażało ją wcale. Więcej obawiała się tego młodego, wpół dzikiego cowboy'a, który, choć rzucał jej do nóg wszystko i gotów był spełniać każde życzenie swej pani, przecież mógł się z czasem okazać spuszczone z łańcucha dziką bestią.

Odpuściwszy kilka minut, Anita orientując się według gwiazd, skierowała się wprost na południe, gdzie według informacji Rossa Shunklina, po kilkunastu godzinach drogi spodziewała się dotrzeć do pierwszej farmy, utrzymującej stały kontakt z odległym o 20 mil miasteczkiem.

Wprawdzie dziewczyna nie pozbyła się jeszcze obaw, że Jack stwierdziwszy jej potajemną ucieczkę, może udać się w pogoń, i dlatego też wyteżała wszystkie siły, aby przed świtem jak najdalej znaleźć się od obozu cowboy'ów.

Dopiero, kiedy po dwóch godzinach drogi weszła w bujniejszy step, gęsto zarosły krzewami łoży i czamizalu, odetchnęła z wyraźną ulgą, obiecując sobie nawet na wypadek pościgu znaleźć tu bezpieczniejsze ukrycie, niż na otwartym dotąd, spalonym słońcem stepie.

Ale w zamian za to podróż stawała się tu za każdym krokiem trudniejsza. Dziewczyna miejscami ledwo tylko mogła się przedzierać poprzez splątane kolące krzewy, które kalecząc ręce i nogi, czepiały się jej okrycia, darły suknie, a suchy, donośny szelest łamanych gałązek daleko roznosił się po stepie. Dziewczyna jednak wolała to niż łatwą, wędrówkę po odkrytej przestrzeni. Pocieszała się jeszcze tym, iż wstające poranne zorze rozproszą ponure ciemności nocy, a wtedy bez trudu odszuka łatwiejszą drogę.

Ale nagle wśród ciszy, jaka rozsiała się wokół, Anita najwyraźniej usłyszała donośny szelest pobliskich zarośli. Zatrzymała się momentalnie, nad słuchując z uwagą. Z początku przypuszczała, że przyczyną tego jest ucieczka jakiegoś spłoszonego zwierzątka. Kiedy jednakże w chwilę później ten sam co przedtem szelest powtórzył się i opodal zarysowała się ciemna sylwetka jakiegoś człowieka, zimny dreszcz lęku wstrząsnął gwałtownie ciałem dziewczyny. Stało się to wszystko tak nagle, że Anita dłuższy czas nie wiedziała co począć: uciekać, czy też czekać spokojnie, aż owa tajemnicza postać przybliży się do niej. Lecz nim zdecydowała się na krok stanowczy, z owych zarośli wychyliła się jeszcze jedna sylwetka i obydwie w paru skokach znalazły się przy oszołomionej dziewczynie.

Wszystko to jednak nie przeraziło Anity tak dalece, jak dopiero ten fakt, że w tych dwóch, tak niespodziewanie napotkanych osobach, rozpoznała Rossa Shunklina i... Arikę.

– Jesteś zmijo!... – zasyczała metyska, zbliżając się lekkimi ruchami pantery do skamieniałej, trupio-bladej dziewczyny, a jej złe, przymrużone oczy błyszczały w ciemności zielonkawym, niesamowitym blaskiem

– Ross, zwiąż ją! – rzuciła, zwracając się w stronę stojącego opodal towarzysza.

Silny, barczysty cowboy z niezwykłą wprawą omotał ciało znieruchomiałej Anity silnymi, splotami powroza i jednym szarpnięciem obalił ją, na ziemię.

–Wszystko było przygotowane: Ross Shunklin, który od dawna zazdrościł Jackowi Ariki, za cenę jej pieczęci ofiarował swą pomoc w podstępny pochwyceniu Anity, wyszukał jeszcze za dnia olbrzymie mrowisko, mające stać się miejscem wyrafinowanej, nieludzkiej kaźni niewinnej dziewczyny. Obecnie czekał tylko na skinienie metyski, aby jej niecny zamiar urzeczywistnić.

Nim jednak to nastąpiło, wrażliwy słuch Rossa pochwyił w pewnej chwili odległy, przytłumiony warkot, który na tym pustkowiu był czymś tak niepospolitym, że Shunklin drgnął mimo woli i przysłoniwszy oczy ręką przed rażącymi promieniami wschodzącego słońca, jął pilnie wypatrywać źródła tych niezwykłych odgłosów. Wkrótce dostrzegł w oddali szary niewielki punkt, który wyraźnie zdawał się przybliżać w ich stronę, a w miarę tego pierwotny cichy warkot przechodził w rytmiczne, zapadłe szczekanie.

– Auto... – przemknęła mu przez głowę błyskawica myśli i szybko pociągając Arikę za rękę, przywarł w gęstych zaroślach czamizalu. Spodziewając się, że uczynił to w porę, postanowił przeczekać kilka minut, zanim auto, które w ostatnich latach bynajmniej nie było rzadkością w tych okolicach, przewożąc bogatych, żądnych przygód Jankesów, lub ekspedycje naukowe, udające się do wielkiej pustyni, wyminie ich kryjówkę i na powrót zniknie pośród stepowych równi.

Ale przebiegły Ross Shunklin nie przewidział tylko tego, a mianowicie, że nim zdołał wraz z Ariką przycisnąć się w niskopiennych zaroślach, jeden z siedzących w aucie ludzi od pół minuty obserwował ich pilnie przez dużą polową lunetę.

I kiedy teraz Ross, wbrew przypuszczeniom, iż wóz ominie ich z daleka, wybierając najdogodniejszą drogę, posłyszał blisko gwałtowny warkot motoru, pierwotny niepokój w jednej chwili przerodził się w paniczny lęk, przyprawiający ciało o febryczne, nieopanowane drżenie.

– Co robić?! – pomyślał gorączkowo, słysząc, że samochód-liszka, łamiąc z trzaskiem suche zarośla, kieruje się wprost na nich. Nim jednak zdążył zdecydować się na krok stanowczy, spostrzegł z rozpaczą, że jego przebiegła przyjaciółka zniknęła gdzie jakby zapadła się w ziemię, pozostawiając go samego obok na wpół omdlałej, związanej Anity.

Ale i Anita słyszała również odgłos zbliżającego się automobilu i blada z początku nadzieja przerodziła się teraz w pewność, że nadchodzi, jakby przez Opatrzność zesłany, ratunek. Całą piersią zaczerpnęła świeży haust powietrza i ile sił w płucach, krzyknęła, unosząc głowę:

– Ratunku!... ratunku!... Ale ten okrzyk miał w konsekwencji fatalne następstwa;

Ross Shunklin w obawie, że wołanie dziewczyny może naprowadzić podróżników na właściwe miejsce jego kryjówki, wyskoczył z zarośli i nie mając innego wyjścia, a obawiając się w razie ucieczki pościgu, począł, ile sił, biec naprzeciw zbliżającemu się autu.

Kiedy oddalił się od miejsca kryjówki Anity na tyle, że głos jej nie mógł już tu dochodzić, zatrzymał się oczekując z udanym spokojem dalszej kolei wypadków.

Auto podjechawszy do Rossa na odległość kilku kroków, zatrzymało się w miejscu i jeden z dwóch młodych ludzi, siedzących na głównym siedzeniu, wyskoczył z wozu, po czym podszedł do Rossa Shunklina.

Cowboy, który początkowo lękał się zetknięcia z nieznanymi gentlemanami, teraz, spojrzawszy w szare, przyjaźnie, choć jakby ze smutkiem spoglądające oczy tego młodego człowieka, zbył się pierwotnych obaw i z jego szerokiej piersi wyrwało się westchnienie ulgi.

– Co wy tu porabiacie, człowieku? – zagadnął nieznajomy, obrzucając cowboya badawczym spojrzeniem.

Na te słowa Ross doznał na nowo uczucia trwogi. Wiedział przecież, że gentlemeni z dalekiego wschodu nie tylko potrafią rozmawiać ze sobą na setki mil, ale znają przemożne czary; które pozwalają im przenikać najtajniejsze myśli każdego człowieka. A zatem kto wie, czy ten, tak pociągająco uprzejmy młodzieniec nie zna przyczyny, dla której on, Ross Shunklin, przybył tu wraz z Ariką i czy za chwilę nie skieruje swych kroków do miejsca, gdzie leży związana blada Miss, wzywająca; pomocy?... Żałował teraz, że nie poszedł śladem Ariki, która zaszyta o kilkaset kroków w niedostępnych chaszczach, drwi sobie z niebezpieczeństwa, na jakie on wystawił się lekkomyślnie.

Ale nie pora teraz była na tego rodzaju refleksje, gdyż najmniejsze wahanie mogło wzbudzić nieznajomym uzasadnione podejrzenie.

– Stoimy na koczowisku, Sir – odparł z udaną pewnością siebie. – Nasze stada pasą się o trzy mile stąd na zachód, a ja poszedłem wyszukać nowych pastwisk, bo susza spaliła trawy na popiół i bydło w oczach marnieje z braku soczystej paszy. Ot, taki los biednego cowboya – dodał spieszenie, aby zagłuszyć, urojone czy rzeczywiste wołanie Anity o ratunek. – Co pomór oszczędzi, to potem susza zabierze, Sir; taki to los człowieka...

Chciał jeszcze coś mówić, gdyż zdawało mu się, że coraz wyraźniej słyszy odległe wołanie związanej dziewczyny, ale przerwał mu tamten następnym pytaniem:

– A może spotkaliście tu gdzieś w stepie młoda Miss w towarzystwie pewnego młodzieńca, który pozostawiwszy swój zepsuty samolot nad brzegiem Platy, powędrował z dziewczyną pieszo w kierunku najbliższej stacji kolejowej?

– Nie, Sir; nie widzieliśmy; ani ja, ani moi towarzysze, choć daleko zapuszczamy się w stepy i umiemy na wszystko zwracać baczną uwagę – odpowiedział Shunklin z dobrze udanym przekonaniem.

– Coś tu jest nie w porządku w tym wszystkim, co mówicie – wtrącił teraz swe zdanie siedzący dotąd w aucie gentleman i, nie spuszczać cowboya z oka, wysiadł również i podszedł do rozmawiających.

– Dlaczego, Sir? – zapytał Ross, czując, że nogi uginają mu się w kolanach, a paniczny strach na nowo poczynał zakradać mu się do duszy.

– Boć przecież trzy dni temu, dwie mile stąd na północ, opadł samolot i leży dotąd nad brzegiem rzeki; nie bardzo więc prawdopodobnym wydaje się wobec tego, co mówicie o waszej spostrzegawczości i codziennych wędrówkach po okolicy, ażeby to uszło waszej uwadze...

Cowboy przyciśnięty do muru żałował teraz niedawno wypowiedzianych słów, które tak umiejętnie podchwycił ów nieznajomy, przebiegły, jak się okazywało gentleman. Ograniczony umysł Shunklina, który nawet w normalnych warunkach nie był zdolnym do szybkiego orientowania się i wiązania ze sobą poszczególnych fragmentów myślowych w jedną logiczną całość, teraz, pod wpływem strachu, absolutnie nie potrafił zdobyć się na żadną pracę. Ross więc w milczeniu, z trwogą wpatrywał się w swoich rozmówców, nie próbując odpierać stawianych mu zarzutów, co mogło pogрузić go jeszcze bardziej.

Na szczęście trwożne uczucia, jakie teraz opanowały cowboya niepodzielnie, rozproszyły słowa ostatnio przybyłego gentlemana:

– Nic konkretnego nie dowiemy się od tego ograniczonego i nieufnego człowieka, panie Stefanie – rzekł do towarzysza. – Szkoda czasu, który jest dla nas obecnie tak drogim... Jedźmy dalej! – to mówiąc, skinął Rossowi niedbale głową, po czym biorąc przyjaciela pod rękę, szybko ruszył do wozu.

W chwilę później auto ruszyło z miejsca i biorąc kierunek wprost na zachód powoli, ale wytrwale przedzierało się poprzez zeschnięte, splątane trawy stepowych równi.

Ross Shunklin stał, nie śmiejąc się ruszyć, dokąd ostatni odgłos zapadłego szczekania motoru nie rozplynął się w czystym, spokojnym powietrzu wczesnego poranka.

ROZDZIAŁ XV

W POGONI ZA ZŁOTEM

Ross Shunklin mimo wszystko był człowiekiem wyrachowanym. Jeżeli więc chętnie ofiarował swą pomoc Arice w pochyceniu Anity, bynajmniej nie kierował się wyłącznie uczuciem, jakie żywił do młodej metyski, lecz miał w tym jeszcze inne, ukryte plany. Mianowicie wiedział, że Jack posiada bezcenny skarb w postaci złota i drogich kamieni, który, jak szepciem opowiadano sobie na koczowisku, miał znaleźć przy trupie napotkanego w stepie outlaw'a. Jakże jednak było istotne pochodzenie ponętnego skórzanego woreczka i gdzie go Jack przechowywał, o tym wiedział jedynie wódz tej garstki stepowych włóczęgów, co jednak nie przeszkadzało zarówno Rossowi jak i mrukliwemu Wachicie marzyć o możliwości zdobycia tej bajecznej fortuny.

Jednakże sprytniejszy od Wachity, Shunklin, od chwili zjawienia się w obozie Arika, postanowił jej właśnie użyć do celu urzeczywistnienia swoich śmiałych zamierzeń. Spodziewał się bowiem, że ambitny i idący często za popędem pierwszego uczucia Jack, jeśli nie obdaruje dziewczyny kosztownościami, to w każdym razie pochwali się przed nią, a wówczas będzie łatwiej dowiedzieć się o miejscu ich stałego przechowywania.

Nic więc dziwnego, że kiedy po kilku pierwszych nocach, spędzonych na koczowisku przy stadach, Arika na życzenie Jacka przeniosła się do namiotu, Ross ucieszył się w duszy, choć pozornie okazywał dobrze udane niezadowolenie, alby nie wzbudzić najmniejszych nawet podejrzeń. Odtąd jednak wszystkie wolne godziny, pod nieobecność Jacka, spędzał z Ariką, podniecając jej kobiecą, próżność i starając się zdobyć zupełnie zaufanie naiwnej dziewczyny.

Jednak mijały długie tygodnie a Arika, w sprytny sposób indagowana przez Rossa, nie potrafiła nic konkretnego powiedzieć, nie tylko o miejscu ukrycia skarbów Jacka, ale w ogóle o ich istnieniu. Na domiar złego, metyska, rozkochana w Jacku aż do szaleństwa, poczyniała się wreszcie domyślać, że Shunklin nosi się z jakimś złym zamiarem w stosunku do jej ubóstwianego kochanka i, szczerą, otwartą z początku, stawała się z biegiem czasu nieufna i podejrzliwa. Ross zgrzytał zębami, pienił się w bezsilnej wściekłości, ale jego dzika, uparta natura nie chciała pogodzić się z myślą, o wyzbyciu się chęci osiągnięcia zamierzonego celu.

Dopiero w ostatnich dniach, kiedy niespodziewanie w namiocie zjawiała się błada Miss i od jednego wejrzenia opanowała serce Jacka, Arika od tej chwili zmieniła swój stosunek do Rossa, błagając go o pomoc w pozbyciu się znieawidzonej Anity.

Chytry Ross nie odmówił, żądając jednak w zamian wywiedzenia się o miejscu ukrycia klejnotów Jacka.

Od tej pory Arika dniem i nocą śledziła każdy krok Jacka i Anity. Wieczorami, kiedy obydwoje siedząc w namiocie wiodli długie rozmowy, Arika, jak wąż pełzała pod płócienne ściany namiotu i zatrzymując dech w piersiach, łowiła każde ich słowo i chowała głęboko na dnie duszy.

Chwilami, kiedy słyszała płomienne słowa wyznania Jacka, jak klęcząc przed znieawidzoną przez nią dziewczyną, składał ręce niby w żarliwej modlitwie, straszny, niepojęty dotąd ból przewiercał serce metyski na wylot, że z trudem tylko zaciskała kurczowo szczęki, aby nie zawyć na całe gardło głosem zranionego śmiertelnie zwierza. A Jack, jakby rozkoszując

się w cierpieniach biednej, wypędzonej za próg namiotu dziewczyny, klęczał długo, długo, i rozkochanym, smętnym spojrzeniem swych czarnych, stalowych oczu całował zimną, lodowatą obojętną twarz bladej Miss, siedzącej na miękkim posłaniu naprzeciw buzującego ogniska. Jack wolno podnosił się z klęczek i rzucając ostatnie: – „Śpij spokojnie, ma dobra, wyśniona wróżko”... – chwiejnym, niepewnym krokiem opuszczał namiot i kładł się u jego progu.

W takich chwilach Arika tylko z trudem mogła powstrzymać się, ażeby nie skoczyć do śpiącej dziewczyny i zakrzywione kurczowo palce utopić aż do krwi w białej szyi zniecierpliwionej rywalki. Jednakże świadomość, że przez ten szalony czyn utraciłaby, ukochanego Jacka na zawsze, szybko sprowadzała opamiętanie. Arika więc, tłumiąc wewnętrzny szloch, wstrząsający jej piersią, wlokła się wolno, bez celu w szeroki step, spowity nieprzenikliwym woalem nocnych oparów, pełen dziwnych tajemniczych odgłosów, zdających się naigrawać z tragedii sponiewieranego dziewczyny.

Tak wlokła się długie jak wieczność dni i noce, pełne nadludzkiej udręki i koszmarnych, wywołanych gorączką, przywidzeń. Aż przyszedł ów pamiętny dzień, kiedy Arika, wypędzona z obozu podkrađa się, jak zwykle, pod ściany namiotu i ujrzała jak Jack rzucał do nóg Anity swój drogocenny skarb, jako ostatnią nadzieję pozyskania sobie wzajemności bladej dziewczyny. Serce Arika zabiło wtedy jak młotem. Owe błyszczące wszystkimi kolorami tęczy kamyczki miały zgubić po tylekroć przekłętą rywalkę, a jej wrócić ukochanego Jacka. Nie słyszała już wcale słów wypowiedzianych przez te dwie siedzące naprzeciw siebie postacie, a tylko wyteżony aż do ostatnich granic wzrok skupiła na garstce klejnotów. I kiedy w kilka minut później Jack na powrót wrzucił je do węzła i wsunął w kieszeń szerokich spodni, Arika zerwała się momentalnie i pobiegła do oczekującego w stepie Rossa Shunklina.

Ale przebiegły cowboy i w tym wypadku nie chciał narażać się na niebezpieczeństwo, jakie mogło mu grozić ze strony Jacka, gdyby ten przebudził się w chwili rewidowania mu kieszeni przez Rossa. Zapewniwszy więc Arikę, że o ile tylko zdobędzie klejnoty, on, Ross Shunklin, postara się, że bladej Miss jeszcze tej nocy zniknie z obozu.

Gdyby jednak naiwna metyska wiedziała, że Anita postanowiła uczynić to dobrowolnie i w tym celu jeszcze za dnia wypytywała Rossa o drogę do najbliższego ludzkiego osiedla, z czego ten łatwo przeniknął jej zamierzenia, kto wie, czy tak skwapliwie zgodziłaby się na żądanie Shunklina.

Nie mając jednak, jak sądziła, innego wyjścia, niespostrzeżenie wślizgnęła się koło północy do obozu i, zachowując do ostatnich granic posuniętą ostrożność, zbliżyła się do śpiącego pod progiem Jacka. Serce w piersi waliło jej jak młotem, kiedy nachylona nad ukochanym, delikatnie wsunęła mu rękę do kieszeni. Zdawało jej się, że lada chwila Jack się przebudzi, a wówczas nic już nie zdoła jej ocalić przed strasznym gniewem, jakim zapłonie odkrywszy jej podłe zamiary.

– To tylko z wielkiej, niepojętej wprost miłości do ciebie... – powtarzała w myślach, starając się w ten sposób chociaż przed samą sobą usprawiedliwić ów postępek. – To nie dla mnie Jack, wierz mi... – Chciała tak dłużej klęczeć przy nim, ale poczuwszy w ręku skórzany trzosik, uprzytomniła sobie wszystko i szybko, jak legendarny cień, co włóczy się w księżycowe noce po stepie, pobiegła w stronę pobliskich zarośli, gdzie niecierpliwie się, oczekiwał chytry Ross Shunklin.

– Masz?!... – szepnął tamten, wybiegając dziewczynie naprzeciw.

– Mam! – odpowiedziała również szeptem, trwożnie oglądając się poza siebie.

– Dawaj!...

– Nie, Ross... – odparła śmiało. – Dostaniesz dopiero wtedy, gdy tę podłą, przekłętą, kobietę zobaczę związaną i zebrzącą zalękłym wzrokiem miłosierdzia skrzywdzonej Arika... – Dopiero wtedy, Ross...

Shunklin zagryzł wargi z wściekłości. Zbyt jednak blisko byli obozu Jacka, aby miał głośno objawiać niezadowolenie z takiego obrotu rzeczy, a przez to wzbudzić w duszy Ariki, nieobliczalne w następstwach, podejrzenia.

– Dobrze – odparł z udaną obojętnością, – chociaż to na jedno wychodzi...

– Jak to? – spytała metyska, nie rozumiejąc powiedzenia Rossa.

– Bardzo prosto... – rzekł, spoglądając jej w oczy. – Nasza umowa oparta jest tylko na wzajemnym zaufaniu, którego żadne z nas dotąd nie nadużył i nie nadużyje do końca – podkreślił z naciskiem. – Nie widzę więc wyraźnej przyczyny, dla której wzbranasz się przed wręczeniem mi klejnotów już teraz.

– Nie, Ross – to całkiem inna sprawa... Kto mi zaręczy, że twoja uczciwość nie skończy się z chwilą otrzymania tych skarbów, i że za chwilę nie znikniesz mi z oczu raz na zawsze?...

– He, he, he!... – zaśmiał się Shunklin, lecz jego śmiech pozbawionym był jednak owej, łatwo dostrzegalnej nuty szczerości. – Śmieszna jesteś, Ariko... Gdybym miał tak podle postąpić, to czyż nie prościej byłoby mi, silnemu chłopcu, w tej chwili obrabować cię z posiadanego skarbu, niż trudzić się i nadstawiać łba w niepewnej wyprawie.

– I to racja – odparła dziewczyna, a w jej oczach, zamigotały jakieś zagadkowe przebłyski, będące wynikiem uczuć, jakie opanowały ją, pod wpływem przeniknięcia zamiarów cowboy'a. – Ale czy zdajesz sobie sprawę z tego, że skoro dziewczyna pozostanie nadal w obozie, podejrzenie Jacka skieruje się przede wszystkim na ciebie, gdy tymczasem jej upozorowana ucieczka upewni go jedynie, iż nie kto inny, tylko ona jest sprawczynią podłej kradzieży?...

Ross nie odpowiadał. Jakiś czas stał w milczeniu naprzeciw dziewczyny, snadź ważąc w myślach to wszystko, co przed chwilą usłyszał, aż wreszcie rzekł, spoglądając na Arikę roz pogodzoną wzrokiem:

– Wszystko będzie dobrze, malutka. Od naszej wczorajszej rozmowy nie przeoczyłem niczego, co może nam dopomóc do schwytania tej podłej dziewczyny, co mej ukochanej Arice ośmieliła się wyrządzić krzywdę. Chodź za mną, a przekonasz się, że nim słońce ozłoci niebotyczne wierzchołki Rocky Mountains, błada dziewczyna, odpowie za wszystkie wyrządzone krzywdy.

– I właśnie teraz – rozmyślał Ross, kiedy Anita leżała związana pośród zarośli czamizalu kilka minut zaledwie brakowało, aby zawłókłszy ją do wskazanego przez Arikę mrowiska, odebrać zapłatę, niespodziewanie zjawiała się na stepie ta przekłeta maszyna z dwoma gentlemanami, którzy nabawili go tyle strachu, że dotąd jeszcze nie można się uspokoić.

Ochłonawszy wreszcie z pierwszego wrażenia, Shunklin skierował kroki do miejsca ukrycia Anity. Spodziewał się bowiem, że Arika, która pozornie ulotniła się na warkot motoru, zdążyła już powrócić, aby dokonać zamierzonej zemsty i uiścić zapłatę jemu, Rossowi.

Jakież jednak było jego zdziwienie, kiedy przekonał się, że Ariki nie tylko nie było przy skrępowanej dziewczynie, ale nie widział jej nigdzie wokół, pomimo uważnego rozglądania się i nawoływań.

– Co to ma znaczyć? – pomyślał zaniepokojony, nie tyle zniknięciem samej metyski, ile tym, że zabrała ze sobą ów upragniony skarb, który miał przed nim otworzyć, nowe, pełne dostatku, a nawet zbytkowne, życie.

Na tę myśl, że mógł paść ofiarą przebiegłej kobiety, włosy zjeżyły mu się na głowie, a wkrótce potem szalony gniew, kipiący warem, uderzył do skroni gniew tym większy, bo połączony z uczuciem wstydu, iż tak łatwo pozwolił się wywieść w pole, słabej, pozornie bezgranicznie naiwnej, dziewczynie... on, Ross Shunklin, stary, doświadczony stepowy wyga, król trampów, jak nazywano go w całym dorzeczu szerokiej Platy.

– Co robić?... co robić?... – myślał uparcie, targając się w bezsilnej rozpacz. Czy ruszyć na poszukiwanie zwinnej przebiegłej Ariki, która najprawdopodobniej do wieczora przyczała się gdzieś w niedostępnych chaszczach i bezpieczna drwi sobie z jego nieszkodliwych pogróżek, czy też dać za wygraną i ruszyć w bezmierny step, prowadzić dalej przekłeta tułaczkę urodzonego trampa?...

Rozważając to wszystko, Ross spojrział mimo woli na leżącą wśród traw Anitę i nowa jakaś myśl zelektryzowała go w jednej chwili: czy ci dwaj bogaci, jak wnosił, gentlemeni nie poszukiwali właśnie tej dziewczyny?... – Ależ tak, na pewno! – odpowiedział sobie po krótkim zastanowieniu. Słyszał przecież opowiadanie Anity, że przybyła w te strony na skrzydłach stalowego ptaka, który dotąd spoczywa nad brzegiem rzeki... A zatem kto wie, jaką nagrodę można by było uzyskać od nich za naprowadzenie na ich ślad poszukiwanej dziewczyny i czy nagroda ta nie przewyższałaby wartości owych upragnionych klejnotów Jacka?...

Tego rodzaju myśli opadły go tak niespodziewanie, że zapominając o tym, iż nie kto inny tylko on właśnie skrepiował nieszczęsną dziewczynę, oddając ją w ręce żadnej zemsty Arika – rzucił się momentalnie, aby biec śladem, niknącego na horyzoncie auta.

– Dopędzić go, zawrócić z drogi i odebrać sowitą zapłatę – oto były jedyne, naczelne postanowienia, które dodawały mu siły w wytrwałym biegu poprzez rozległe stepowe równie.

Ale kiedy w ten sposób ubiegł kilkaset kroków, stała się rzecz nieoczekiwana. Oto niespodziewanie zaszleściły pobliskie zarośla łożyny i przed zdumionym Rossem stanęła, jak wyrosła spod ziemi, metyska Arika.

Shunklin zatrzymał się w miejscu i niespokojnym spojrzeniem spoczął na dziwnie zmienionej twarzy dziewczyny. Nim jednak zdołał ochłonać z pierwszego wrażenia, dziewczyna doskoczyła do niego i wyrwawszy spod chustki długi cowboy'ski nóż, jednym pchnięciem wbiła go w pierś Rossa aż po rękojeść.

Shunklin zachwiał się, wyciągnął ręce w przód, jakby szukając oparcia i brocząc obficie krwią, runął na wznak pomiędzy suche, kolczaste zarośla czamizalu.

Arika zaśmiała się dziko, niesamowicie i za chwilę zniknęła na powrót w bujnym, zielonym stepie.

ROZDZIAŁ XVI

NA TROPIE

Ronicki po krótkiej rozmowie z pierwszym napotkanym w stepie człowiekiem, Rossem Shunklinem, przekonał się, że poszukiwania za Anitą napotykać na coraz większe przeszkody. Ograniczona inteligencja stepowych trampów, nieufność, a przede wszystkim ich wyjątkowe uprzedzenie do ludzi przybyłych z dalekiego wschodu, wszystko to nastrajało Stefana zbyt pesymistycznie, ażeby mógł pokładać wielkie nadzieje w przedsięwziętej wyprawie.

A jeszcze trzy dni temu, kiedy jeden z turystycznych samolotów, lecących z Kansas do Texasu, był świadkiem lądowania białego płatowca Mr Spenzera nad brzegiem Płaty i wiadomość ta wkrótce dotarła do Chicago, Ronicki był niemal pewnym, że uda mu się odnaleźć ukochaną dziewczynę.

Natychmiast więc pragnął udać się samolotem we wskazanym kierunku, co jednak stanowczo odradził mu jeden z zaangażowanych detektywów, mister Henry Express, dowodząc, że od chwili wylądowania „Bellanki” upłynęło już sporo czasu i Blum, uprowadzając Anitę, najprawdopodobniej ukrył się w stepie, a zatem dalsze poszukiwania możliwe są jedynie przy pomocy przystosowanych do takich podróży samochodów-liszek.

Uznając słuszność dowodzeń Mr Expressa, Ronicki bezzwłocznie udał się wraz z detektywem do Kansas, a stamtąd dopiero wyruszono samochodem we wskazanym przez lotnika kierunku. Ale w miarę posuwania się coraz dalej na zachód przerzedzały się gęste dotąd pobudowane farmy, aż wreszcie podróżnych otoczył szeroki, jednostajny step, rozfalowany lekkim podmuchem wschodniego wiatru.

Ronicki, zapuszczając wzrok w te bezmierne przestrzenie i zdając sobie sprawę jak nikłym pyłkiem jest wśród tych obszarów samotny, zbłąkany człowiek, powoli zatracił pierwotne nadzieje odnalezienia Anity i do zbolałej duszy sączyła mu się gorycz okrutnego zawodu i wątplenia. Dopiero kiedy dobrnęli do brzegów szerokiej Płaty i z daleka ujrzeli biały kadłub „Bellanki”, otucha wstąpiła weń na nowo. Ale martwy stalowy ptak nie powiedział mu nic o tragedii ukochanej dziewczyny... Pomimo drobiazgowych poszukiwań nie natrafiono na żaden najmniejszy nawet szczegół, który świadczyłby, że w kabinie płatowca przybyła tu Anita Childs i wraz z Blumem powędrowała w szeroki step, pełen tajemnic i niespodzianek.

I o ile w dotychczasowej podróży Ronicki miał określony cel, którym było wskazane przez lotnika miejsce, obecnie należało prowadzić poszukiwania po omacku.

Po dłuższej naradzie postanowiono udać się wprost na południe, gdyż – zdaniem Mr Expressa – Blum prawdopodobnie zamierzał przedostać się do Meksyku, a zatem jest to jedyny właściwy kierunek poszukiwań. Spodziewano się przy tym natrafić na jakąś cowboyską osadę i zasięgnąć bliższych szczegółów o zaginionej, gdyż nie wydawało się prawdopodobnym, ażeby lądujący samolot nie został zauważonym przez ludzi z bliżej położonych koczowisk. Jednakże nadzieje te rozproszył pierwszy napotkany po drodze człowiek, Ross Shunklin. Jego mętne, chwilami podejrzanymi odpowiedziami przekonały Stefana, jak trudno będzie od na wpół dzikich mieszkańców stepu dowiedzieć się czegoś konkretnego o zaginionej. I teraz, nie słysząc prawie wywodów optymistycznie zawsze nastawionego Mr Expressa, przeżuwał,

tę gorzką strawę nowego straszego zawodu, który odbierał mu resztki energii i ukazywał czarną, ponurą otchłań beznadziei...

Nagle detektyw szarpnął Stefana za rękaw, nakazując zatrzymać maszynę. Stefan obojętnie, bez zbytniego pośpiechu spełnił życzenie towarzysza i pytającym spojrzeniem spoczął na jego czerwonej, spoczonej twarzy.

Jednakże Henry Express miast odpowiedzi, wyskoczył z wozu i zbliżywszy się do pobliskiego krzewu kolczastego wacthi, delikatnie zdjął z kolca strzępek jakiejś tkaniny, po czym wrócił do Stefana.

– Mister Ronicki – rzekł z tryumfującą miną – zdobyliśmy ważny dowód na to, że Miss Anita tędy przechodziła; oto strzępek z jej sukni. – To mówiąc podał Ronickiemu małe pasko postrzępionej wzorzystej materii.

Stefan nerwowo pochwycił tych kilka nitok, lecz wkrótce oddał to na powrót detektywowi, a chwilowo rozjaśniona twarz jakimś żywszym przeblaskiem, zachmurzyła mu się na nowo.

– Jest pan w błędzie, Mr Express; Anita nie miała nigdy takiej sukni – rzekł złamanym głosem, utkwivszy tępe spojrzenie w obliczu rozpromienionego detektywa.

– Nie, Mr Ronicki; nie jestem w błędzie. Zapomina pani bowiem, że Miss Anitę uprowadzono z domu w bieliźnie, a w takim przecież stroju nie mogła odbywać podróży w samolocie. Blum więc, z całą pewnością, sprawił jej jakąś suknię i z niej właśnie pochodzi ten strzępek.

– Ale równie dobrze mogła go pozostawić każda inna kobieta – zauważył teraz Stefan, choć serce poczęło uderzać mu niespokojnie.

I tu pan nie ma racji – odparł detektyw. – Tutejsze nie używają modnych u nas na wschodzie, jedwabi, a o ile pan zwrócił uwagę na chicagowskie wystawy, to ten właśnie materiał przeważa w obecnym sezonie.

– Czy to możliwe?... – zapytał Ronicki i w jego szarych, rozumnie spoglądających oczach zabłyśły dwie duże łzy, wywołane nadmiarem nowych, radosnych wzruszeń.

Tymczasem rzutki i przedsiębiorczy Mister Express układał gorączkowo szczegółowy plan poszukiwań.

– Jak wynika z zaczepienia sukni – mówił szybko – dziewczyna zdążyła w przeciwnym naszej drodze, kierunku. Należy więc przede wszystkim zawrócić maszynę i posuwając się wolno, przepatrywać dokładnie teren, w celu natrafienia na dalsze ślady. Za ułatwieniem naszego przedsięwzięcia przemawia jeszcze i ta okoliczność, że step w tym miejscu jest dość zarośnięty i, jak pan widzi, wysokie trawy bardzo wolno podnoszą się po przydeptaniu ich stopą.

I podczas kiedy Ronicki na powrót zasiadł przy kierownicy, aby zawrócić wozem, detektyw idąc wolno w raz już obranym kierunku, pilnie przepatrywał ziemię w promieniu kilku metrów.

– Jest! – krzyknął wreszcie, i kiedy Stefan w paru skokach znalazł się przy nim, wskazał mu całkiem wyraźny odcisk kobiecej stopy.

– Co pan na to, Mr Ronicki? – zapytał detektyw, podnosząc tryumfujące spojrzenie.

Ale ten miast odpowiedzi, ukląkł na ziemi i pochylony długo wpatrywał się w ten niewielki ślad, jakby pragnąc wyczytać w nim imię ukochanej dziewczyny. Gdy wreszcie powstał i spojrzał na Mr Expressa, ten bez trudu mógł dostrzec w jego twarzy bezmiar jakichś nowych radosnych wzruszeń, które ukształtowały mu rysy.

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, obaj, pozostawiając auto, ruszyli w kierunku wskazanym przez ślady. W miarę jednak posuwania się coraz dalej, droga stawała się trudniejszą, gdyż gęste zarośla niskopiennych kolczastych krzewów wacthi i czamizalu stawały się niemożliwymi wprost do przebycia. A jednak, kiedy torując sobie drogę rozchylili splecione suche gałązki, dostrzegli na mokrej jeszcze trawie te same świeże ślady niewielkiej bosej stopy. Ale wówczas, Ronicki, widząc to, nie mógł pogodzić się z myślami, aby Anita, ta wypiesz-

czona, delikatna dziewczyna była zdolną bosymi stopami przedrzeć się przez tę, w całym tego słowa znaczeniu, cierniową drogę, i do duszy na nowo zakradało mu się zwątpienie. Jednakże swych myśli nie wyjawiał idącemu przodem detektywowi, który zwracał baczność, uwagę na każdy napotkany po drodze szczegół.

Aż nagle zadumę, w jakiej Stefan trwał od kilku minut, przerwał okrzyk Mr Expressa.

Ronicki, jakby w przeczuciu jakiegoś strasznego nieszczęścia, dopędził go w paru krokach i równie jak tamten zatrzymał się nad leżącymi u ich nóg zwłokami jakiegoś człowieka. Że dokonał ktoś na nim strasznego morderstwa, nie ulegało już na pierwszy rzut oka najmniejszej wątpliwości, gdyż w piersi ofiary tkwił długi, wbity aż po rękojeść, indyjski sztylet, a wkoło trupa widniała szeroko rozlana kałuża świeżej krwi.

Ale zdumienie zarówno Ronickiego jak i detektywa było tym większe, że w zamordowanym bez trudu rozpoznali owego cowboy'a, którego niespełna pół godziny temu spotkali po drodze i na próżno usiłowali dowiedzieć się od niego cokolwiek o zaginionej Anicie.

– Co to wszystko ma znaczyć? – bił się w myślach Stefan, oczekując autorytatywnych wyjaśnień Mr Expressa.

Ale i ten stał obecnie przed nową, niezwykle zawikłaną zagadką. Wprawdzie, sądząc po śladach, pozostawionych na bujnej i świeżej trawie, nie trudno było się domyśleć, że tragedia, jakiej ofiarą padł ten silny i zdrowy człowiek, rozegrała się pomiędzy nim i ową tajemniczą kobietą, której ślady widniały wokół, a przecież, wedle dotychczasowych założeń, miała nią być zaginiona Anita Childs. – Czyżby więc ta dziewczyna mogła dokonać tego czynu?... – myślał detektyw z niedowierzaniem, gdyż jak wynikało z opowiadań Ronickiego, Anita nie była zdolną do popełnienia zbrodni, choćby we własnej obronie. – I skąd ten indyjski sztylet?... skąd przewaga słabej, wyczerpanej kobiety nad silnym, młodym mężczyzną?... A wreszcie, gdzie ona była w chwili, gdy człowiek ten samotnie wędrował po stepie?...

Wszystkie tego rodzaju wątpliwości, cisnące się do głowy Mr Expressa, wykluczały, aby ową kobietą, za której śladem zdążali od kilku minut, miała być poszukiwana Miss Anita Childs. – Ale mimo to, ktokolwiek nią jest – przyszedł detektyw do przekonania po dłuższym zastanowieniu, nie ulega już wątpliwości, że ona właśnie, i tylko ona, dokonała morderstwa na tym człowieku i, co ważniejsze, ukrywa się gdzieś w pobliżu, a zatem należy ją co rychlej odszukać.

Z tem postanowieniem detektyw zwrócił się do Ronickiego:

– Mr Ronicki – rzekł z udaną pewnością siebie – to, czego w tej chwili jesteśmy świadkami, utwierdza mnie tylko w przekonaniu, że obecnie weszliśmy na właściwą drogę naszych zmudnych i bezowocnych dotąd poszukiwań, gdyż mord dokonany na tym człowieku ściśle się musi wiązać z uprowadzeniem Miss Anity. Te liczne ślady, jakie pan widzi wokół, powinny nas w krótkim czasie zaprowadzić do kryjówki sprawczyni tej zagadkowej zbrodni. – To mówiąc, szybko ruszył za świeżym tropem, jakby nie dbając wcale o oszołomionego Stefana, który po krótkim wahaniu powoli ruszył za nim.

Ale po kilku minutach ostrożnego posuwania się naprzód, stanęli wobec nowej zagadki. Mianowicie w pewnym miejscu dostrzegli drugie, takie same jak tamte, ślady kobiecej stopy. Mister Express z początku sądził, że są to odciski stóp tej samej kobiety, dopiero bliższe badanie przekonało go, że jest w błędzie. Bowiem te nowe ślady wskazywały na krótszą, i węższą stopę od poprzedniej. Ponieważ jednak biegły one równolegle i blisko siebie, nie było potrzeby dłuższego zatrzymywania się, wobec czego obaj panowie, przyśpieszając kroku, posuwali się dalej. Lecz kiedy przebyli niewielką odkrytą przestrzeń, i na powrót zapuścili się w zwarty gąszcz przyziemnych chaszczki, do uszu ich doleciał suchy trzask łamanych gałęzi, jakby pod stopą skradającego się w pobliżu człowieka. Mister Express zatrzymał się momentalnie i natrafiwszy na właściwe źródło tych podejrzanych odgłosów, jął pilnie nasłuchiwać. Bliski z początku szelest począł się wyraźnie oddalać, a kiedy obaj mężczyźni szybko podążyli w tamtym kierunku, z gąszczu wychyliła się jakaś szczupła kobieta i skacząc jak sarna

poprzez kolczaste krzewy, pognała w step i wkrótce zniknęła z oczu zdumionym podróżnym. Stało się to wszystko tak nagle, że zaskoczony Mister Express dopiero teraz ochłonął na tyle, że postanowił rzucić się w pogoń za uciekającą kobietą. Ale Ronicki, jakby wiedziony przecuciem, powstrzymał go, pragnąc przetrząsnąć sąsiednie zarośla, w których ta tajemnicza kobieta ukrywała się dotąd. Mister Express zgodził się na to tym chętniej, że jego tusza, zwłaszcza przy wzmagającym się upale, nie wróżyła pościgowi wielkiego powodzenia.

Zanim jednak skrupulatny i wszystko przewidujący detektyw wyłożył swój plan okrążenia z dwóch stron dotychczasowej kryjówki zbiegłej kobiety, Ronicki bez namysłu ruszył przodem, gdyż zdawało mu się, że słyszy jakiś odległy, przyciszony jęk, czy głębokie westchnienie.

Nic więc dziwnego, iż nie zwracając najmniejszej uwagi na dotkliwie kłujące mu ręce i nogi suche gałęzie kolczastej wachti, szybko przedzierał się naprzód, byleby jak najprędzej stanąć u źródła owych, rzeczywistych, czy urojonych odgłosów. Jeszcze kilka minut upartego, gorączkowego zmagania się z gęstwą, suchych, zdawałoby się, nieprzebytych zarośli i z piersi Stefana wydiera się straszny, mrozący krew w żyłach okrzyk.

U nóg jego leży trupio-błada, skępowana silnymi opłotami powroza, Anita, nie dająca najmniejszych oznak życia.

ROZDZIAŁ XVII

STEP STRZEŻE SWOICH TAJEMNIC...

Ludwik Blum otworzył szeroko oczy i błędnym, zaspanym wzrokiem rozejrzał się dokoła, po czym na powrót opuścił głowę na miękką, poduszkę z mchu i zacisnął powieki aż do bólu. Po cudownym, rozkosznym śnie, ta straszna rzeczywistość, jaka go otaczała, sączyła do duszy truciznę goryczy i zwątpienia. Nie chciał patrzeć na ten przeklęty świat, jeszcze tak niedawno uśmiechający się do niego cudnym mirażem świetlanych młodzieńczych marzeń. Dziś wszystko zdawało mu się być jedynie upiornym koszmarem, a w każdym, najlżejszym nawet szeleście rozkołysanych lekkim powiewem wiatru traw, słyszał wyraźnie odgłosy kroków skradającego się potwora, który roztwiera straszliwe, zbroczone krwią, szpony, by zdusić go w okropnym uścisku.

Czuł się jak zwierzę zgonione, nie mogący znaleźć bezpiecznego wytchnienia przed zapamiętałym, bezwzględny pościgiem prześladowcy.

Gmach tak misternie pobudowanych marzeń rozsypał się w gruzy raz na zawsze, a pozostała tylko straszna, nieubłagana rzeczywistość i ten potworny lęk w duszy przed nieznanym, tajemniczym jutrem.

Na tę myśl zimny dreszcz wstrząsa ciałem Ludwika Bluma, a zęby, mimo wzmagającego się upału, dzwonią zawzięcie.

– Co robić dalej?... co robić? – myśli z rozpaczą, widząc, że wszystkie drogi ucieczki zostały zamknięte. Przecież nie dalej, jak wczoraj, kiedy po trzech dniach błądzenia po stepie o głodzie, upadając ze zmęczenia, dotarł do pierwszej ludzkiej sadyby, z daleka już zauważył na pierwszej z brzegu budowli duży czerwony plakat ze swoją podobizną, wyciśniętą decymetrowymi czcionkami, widniała zachęcająca liczba: 100 tysięcy dolarów, przeznaczono dla tego, kto przyczyni się do pochwycenia jego, Ludwika Bluma. Dalej następowały bliższe szczegóły jak rysopis, miejsce przypuszczalnego pobytu poszukiwanego, oraz okoliczności dotyczące jego sensacyjnej ucieczki z uprowadzona dziewczyną.

Lecz tego już Ludwik nie widział. Upiorny strach, jaki uchwycił go za gardło, pod wpływem tego odkrycia, nie pozwalał mu skupić rozpieczętych myśli i spokojnie wszystkiego rozważyć. Zdawało mu się, że czyhający na ową zawrotną, sumę nagrody mieszkańcy małego osiedla lada chwila wypadną ze swych mieszkań i rzucą się nań, aby następnie związanego odstawić do najbliższego urzędu policyjnego. Zawrócił więc bez namysłu i pognął z powrotem w szeroki, niegościnnie step, byleby tylko znaleźć się jak najdalej od ludzi.

Nie czuł już głodu ani pragnienia, gdyż wszystko to przytłumiała obawa urojonego pościgu, a każdy najmniejszy nawet szelest w jego przewrażliwionej wyobraźni urastał do ogromu jakichś potępieńczych okrzyków i nawoływań. Dopiero, kiedy noc rozwlokła po stepie nieprzeniknione mroki i zatarła wszelkie ślady uciekającego człowieka, Blum zwolnił kroku, zatrzymał się i usiadłszy pod krzewem rozłożystej wachtli, odetchnął pełną piersią.

Była to jednak ulga tylko chwilowa, bowiem świadomość, że krótka letnia noc szybko przeminie i znów znajdzie się samotnym na bezkresnej równi odkrytego stepu, nie mogąc szukać ratunku między ludźmi, na nowo napawała go trwogą, sprowadzając zarazem niewiarę we własne siły, apatię i przygnębienie. W dodatku głód, skręcający mu kiszki i straszne pra-

gnienie przyprawiało go niemal o uczucie szaleństwa. Aby oszukać samego siebie, a zarazem, choć na pewien czas, zbyć się owych prześladowających go czarnych myśli, Ludwik ułożył się na miękkim posłaniu z mchu i wkrótce, wyczerpany strasznymi przejściami ostatnich dni, zapadł w ciężki sen, graniczący z omdleniem.

Lecz kiedy teraz pod wpływem palących promieni przebudził się i otaczająca go rzeczywistość przypomniła mu wszystko, Blum skurczył się w sobie, zacisnął na powrót powieki, a blada twarz wykrzywiła mu się wewnętrznym cierpieniem. Nie miał odwagi podnieść się z miejsca i ruszyć choćby na poszukiwanie jakiegoś źródła lub strumyka, choć pragnienie paliło go niepojętym żarem, gdyż zdawało mu się, iż cały step wokół roi się od szukających go ludzi, pragnących zdobyć bajątkową sumę nagrody.

A jednak nie mógł przecież pozostać tu dłużej, rażony palącymi promieniami coraz wyżej wznoszącego się słońca, wypijającego z jego spieczonych warg resztki wilgoci. Zdecydowany na wszystko, nie mogąc już zapanować nad trawiącym go uczuciem pragnienia, otworzył na powrót oczy i uniósłszy się nieco, spojrzął przed siebie.

Wzrok jego tym razem padł na widniejące w oddali białe szczyty Gór Skalistych. Pod wpływem tego widoku jakiś gorzki, złośliwy grymas wypełznął na twarz Ludwika.

– Oto tam, za tymi niebotycznymi masywami granitów rozciąga się słoneczna, wyśniona Kalifornia – rozmyślał z goryczą w sercu – gdzie miał pędzić długie, szczęśliwe lata przy boku pięknej, upragnionej kobiety... Jak niedaleką jest jeszcze chwila naiwnej wiary w urzeczywistnienie tych marzeń... A dziś?... I tam dotarły rozkrzyczane sensacją afisze z podobizną ściganego zbrodniarza tysiące, dziesiątki czy setki tysięcy oberwanych Murzynów, zgłodniałych trampów i wszelkiej bezdomnej hołoty wbija sobie w ograniczone łby jego obraz i go dzinami wałęsa się po wielkomiejskich deptakach w poszukiwaniu zbiegłego przestępcy.

Blum czuł wyraźnie, jak ciasno jest mu obecnie pośród bezmiernych przestrzeni, rzuconych pomiędzy dwoma oceanami i jak zdradliwą, pełną niebezpieczeństw jest ludzka dżungla. Zapomniał tylko, że wśród tej dżungli on właśnie był dotąd jedną z tych okrutnych, nielitościwych bestyj, i że obecnie ścigają go jego zbrodnicze czyny.

Lecz dziwne, w miarę jak coraz lepiej uprzytamniał sobie beznadziejność położenia, w jakim się obecnie znajdował, nadspodziewanie zbudziła się w nim chęć zmierzenia się oko w oko z okrutną rzeczywistością.

Zbyt wysoko cenił sobie swe młode życie, tak jeszcze niedawno uśmiechające się do niego powabem wymarzonej przyszłości, aby miał poddać się całemu zwątpieniu i z biernością, niegodną jego przedsiębiorczej natury, oczekiwać, co okrutny los mu przyniesie w darze. Wiedział przy tym, że jego afera, rozdmuchana w pierwszej chwili do granic niebywałej sensacji, już wkrótce na nowo przygaśnie, rozkrzyczane afisze przyblakną i porwane na strzępy ulecą z wiatrem, a wówczas on, tak wytrwale ścigany przestępca, będzie mógł bez obawy wrócić pomiędzy ludzi. Trzeba tylko na pewien czas zejść im z oczu, ukryć się gdzieś w niedostępnych wąwozach Gór Skalistych, lub na farmie przekupionego kolonisty, zanim ucichnie burza i groźne niebezpieczeństwo przeminie bezpowrotnie. Ale przede wszystkim należy zaspokoić pragnienie i głód, boleśnie skręcający mu kiszki.

Z tymi myślami postanowił ruszyć w dalszą drogę, gdy nagle posłyszał gdzieś blisko suchy szelest roztrącanych zarośli. Chwilowo przytłumiony strach obudził się w nim na nowo, a serce poczęło uderzać coraz gwałtowniej. Zatrzymując dech w piersiach, Blum wsunął się pomiędzy zarośla, wyteżając przy tym słuch do ostatnich granic.

Jakież jednak było jego zdumienie, kiedy rozchyliwszy nieco zasłaniające mu widok gałęzie, ujrzał w odległości kilku zaledwie kroków, siedzącą bokiem do niego młodą kobietę, zającą oglądaniem niewielkiego przedmiotu.

Widok słabej, bezbronnej kobiety pozbawił go momentalnie pierwotnych obaw, rozniecając natychmiast niezwykle zaciekawienie. Ale pomimo to, kiedy dziewczyna zwróciła nieco głowę w jego stronę i Ludwik dostrzegł jej dziko płonącego wzrok i wykrzywioną jakimś

okropnym skurczem, smagłą twarz doznał mimo woli przykrego, jakby trwożnego uczucia. W dodatku sam ten fakt, że spotkał ją samotną w gąszczu bezkresnych preryj, kazał mu się domyślać, że ma przed sobą zagadkową, a tym samym niebezpieczną istotę.

Dopiero, kiedy dziewczyna otworzyła trzymany w ręku skórzany woreczek i wysypała na dłoń mnóstwo drobnych, mieniących się wszystkimi barwami tęczy, kamyków, Ludwik zrozumiał wszystko. Zrozumiał, iż ma przed sobą zbiegłą ze skradzionymi komuś klejnotami kobietę i oczy na widok tak ponętnego skarbu roziskrzyły mu się niezdrowym blaskiem pożądania.

Skoczyć znienacka, wyrwać jej z rąk ów skórzany woreczek i uciec w szeroki step – oto pierwsze myśli, jakie zawibrowały w głowie Ludwika Bluma.

Ale chłodny, zrównoważony rozsądek nakazywał rozwagę. Kto wie, czy gdzieś w pobliżu nie przebywał jej współnik, który na wszczęty alarm rzuci się za nim w pogoń?...

Tego rodzaju sprzeczne myśli ścierały się jakiś czas ze sobą w głowie zbrodniarza, zapominając na, widok klejnotów o pragnieniu, głodzie i strasznym niebezpieczeństwie, jakie i bez tego zawisło nad jego głową. Widział tylko te ponętne połyskujące kamyki i pragnął je pojąć za wszelką cenę... Sama myśl, że mogłoby się stać inaczej, napawała go jakimś przeraźliwym i bolesnym dreszczem.

– Nagrodzi mi to zawiązką, owe sto tysięcy dolarów – rozmyślał – których przez okrutne zrzędzenie złego losu nie zdołałem uzyskać. Nagrodzi mi to trudy nie ludzkiej poniewierki pośród tych dzikich, niegościnnych stepów, gdzie jak zgoniony zwierz tułam się o głodzie od kilku dni i otworzy nowe, beztroskie życie tam, za tymi ośnieżonymi szczytami, w słonecznej Kalifornii...

Blum podczołgał się jeszcze bliżej, ale nagle potrącona gałązka wydała suchy, donośny szelest. Dziewczyna drgnęła, zacisnęła dłoń z klejnotami i odwróciła głowę w stronę podkradającego się intruza.

Na chwilę starli się dzikim, zalekłym wzrokiem. Kobieta zerwała się jak spłoszona przepiórka, zanim jednak zdołała sprężyć w sobie wszystkie siły do gwałtownego skoku przez otaczający ją zwarty gąszcz czamizalu, Blum już był przy niej. Potężnym uderzeniem zwinętej w kulak dłoni powalił ją na ziemię, po czym, chwyciwszy jej smukłą szyję w kurczowy uścisk palców, dławił długo... długo, aż wytrzeszczone przed śmiertelnym przerażeniem oczy dziewczyny zasnuły się mgłą, a z bezwładnie rozwartej dłoni wysunął się mały, skórzany woreczek, zawierający bezcenny skarb Jacka cowboya'a.

Dopiero teraz zbrodniarz odskoczył od swej ofiary i uchwyciwszy trzos z klejnotami, gnany jakimś panicznym, podnoszącym mu włosy na głowie, lękiem, popędził w szeroki, rozkołysany step, kierując się w stronę uśnieżonych szczytów Rocky Mountains.

I znów niezamałony spokój rozsiadł się nad bezkresną, tajemniczą stepową równiną. Omdlałe upałem zioła zdały się drzemać w oczekiwaniu chłodnej, orzeźwiającej nocy, a tylko odurzający ich zapach nasycał czyste, rozedrgane żarem, powietrze. A nad wszystkim królowało roześmiane, przejasne słońce... Nic nie świadczyło, że przed chwilą rozegrała się tu jeszcze jedna ludzka tragedia, jakich tysiące dokonało się dotąd pośród bezkresnych oceanów zieleni.

Step ma swe tajemnice i strzeże ich zazdrośnie...

ROZDZIAŁ XVIII

WŚRÓD SKAŁ „CZARCIEGO UROCZYSKA”

Jack stwierdziwszy potajemną ucieczkę Anity, wpadł w furję wściekłości. Metys Wachita, który pierwszy, nie przeczuwając nic złego, nawinął mu się pod rękę, padł na miejscu, rażony potężnym knock-outem. Wyładowawszy w ten sposób pierwszy gniew, cowboy wskoczył na konia i niczym wichur pognął bez celu w szeroki, roześmiany wschodzącym słońcem step, aby w szalonym pędzie rozproszyć rozpacz, rozdzierającą mu serce na strzępy.

Tak zwykle czynił dawniej, ilekroć razy napadła go niezrozumiała, nieodparta tęsknota za czymś, czego dobrze nie potrafił zrozumieć, ani określić. Czy były to uczucia żadnego pierwszej miłości gorącego serca młodzieńca, czy pęd za wskazaniem podświadomie wyczuwanego społecznego instynktu życia w większej gromadzie, z tego Jack nie potrafił sobie zdać sprawy. Wiedział tylko, że ten szalony pęd na grzbiecie ulubionego konia rozproszy owe dziwne uczucia i przywróci dawny spokój i opanowanie.

Dziś jednak nic nie zdołało ukoić rozedrganych aż do ostatniego fibru nerwów młodzieńca. Żal, wstyd, uczucie poniżenia, a przede wszystkim dziki, nieokiełzany gniew; jednym słowem wszystkie te obce mu dotąd, uczucia kipiącym warem przelewały się w jego duszy. A nad wszystkim górowała ta straszna, boleśnie wgryzająca się w mózg, prawda, że utracił na zawsze jedyny cel swego życia, ów jasny promień, który na chwilę rozjaśnił ponure ściany jego namiotu, dając przedsmak niepojętego wprost szczęścia i wkrótce zgasnął, aby nie rozbłysnąć już więcej, pozostawiając w duszy biednego cowboy'a okrutny, przerażający swą nagą prawdą mrok Beznadziei...

Gwałtowny pęd wiatru, który dawniej tak mile wpadał w ucho pędzącego po stepie Jacka, rozprasząc chwilowe troski i niepokoje, teraz zdawał się jęczeć jakąś dziwną, potępieńczą melodią, oraz pełną grozy i złowieszczonego ryku, to znów chichocząc szyderczym tonem bezlitosnego naigrawania.

Mokry kark konia lśnił hebanowym połyskiem w promieniach coraz wyżej wznoszącego się słońca. Biała piana, zaróżowiona lekko krwią, spływającą z nieludzko kaleczonych ostrogami boków wierzchowca, dużymi płatami padała na ziemię, a Jack w zapamiętaniu wyciągał z konia ostatni dech, byleby tylko dalej znaleźć się od tego, po stokroć przekłętą miejscą, gdzie każdy krzew, każde niemal źdźbło trawy, kołysane łagodnym podmuchem wiatru, przypominało mu te krótkie chwile szczęścia z ukochaną dziewczyną.

– Byle dalej... aż tam, na „Czarcie Uroczyso”, gdzie spod nóg wyrasta zdradliwa skalista przepaść, na dnie której od wieków bieleją kości bawołów, antylop, koni i ludzi, wciągniętych przez Indian w zdradliwą zasadzkę. Jeden skok rozpędzonego konia – rozmyślał Jack – i wszystko raz na zawsze utonie w ukojonej, zbawczej otchłani śmierci. Zginie jak prawdziwy syn stepu, godny potomek dzielnych Pawnisów, których dopiero śmierć strącała z grzbietu wiatronożnego wierzchowca.

Na tę myśl błądy uśmiech przewinał się przez smagłą twarz cowboy'a. Ale w tej samej chwili wiatr, prześlizgnąwszy się przez bujne już tutaj zarośla czamizalu, uderzył o uszy Jacka jakimś szyderczym, niesamowitym chichotem:

– Hi, hi, hiii...!

Jack wzdrygnął się. W poświstywaniu wiatru dostrzegł wyraźnie nutę naigrawania. Oto on, ostatni z rodu Pawnisów, którzy niegdyś z przerażającym okrzykiem bojowym przebiegali bezkresne stepowe równie, zdzierając skalpy z łysych głów pierwszych kolonistów, śmiało wystawiając piersi na mordercze strzały ognistej broni; on, syn ostatniego z wodzów, owego Krwawego Sępa, o którym dziś snują się precudowne legendy po wszystkich koczowiskach, sławiąc odwagę i szlachetność indyjskiego rycerza, króla preryj; on, młody i silny Jack, wódz cowboy'skiej gromady ucieka przed życiem, aby stać się jeszcze jedną, ofiarą rozkapryszonej, słabej Miss, przybyłej z ruchliwego wschodu...

I kiedy z jednej strony szalony ból przeszywał mu serce na wylot i myśl przyprawiał o niepojęty chaos, z drugiej znów rozbudzone zniechęta uczucie rodowej indyjskiej dumy paliło go żarem wstydu, wobec poniżenia, jakiego stał się ofiarą. Jeszcze więc silniej ścisnął boki wierzchowca i przeszedłszy do szalonego galopu, sunął po gładkim stepie, jak niesamowite, ledwo uchwytne wzrokiem, widziadło.

Wkrótce pod kopytami konia zadzwoniły pierwsze głązy „Czarciego Uroczyśka”. Jack uśmiechnął się na myśl, że za krótko już chwilę wyrosnie przed nim strome urwisko, zarzucone na dnie przepaści zwietrzałym skalnym gruzem i zanim zwierzęcy instynkt zdoła powstrzymać szalony bieg konia, runą razem w straszną, zdradliwą, otchłań przepaści... I z tym się skończy wszystko.

Ale Jackowi nie żał tego życia, które miast szczęścia przyniosło mu w darze zawód tak straszny, że tylko jedna śmierć może sprowadzić spokój i ukojenie.

Lecz kiedy już tylko sekundy dzieliły jeźdźca i konia od niechybnej zagłady, wrażliwy węch Jacka pochwycił zapach jałowcowego dymu płonącego gdzieś blisko. W pojęciu cowboy'a, znającego dokładnie położenie wszystkich, odległych nawet koczowisk, było to czymś tak niezwykłym, że prawie podświadomie osadził konia niemal w miejscu i jakaś błada nadzieja wstąpiła w udręczone serce młodego człowieka.

Szybko zeskoczył z siodła i zostawiając ciężko dyszącego konia na miejscu, ruszył w tę stronę, skąd wyraźnie rozchodził się swąd tlejącego ogniska.

Uszedłszy kilkanaście kroków, stanął nad prostopadłym urwiskiem „Czarciego Uroczyśka”.

Objąwszy szybkim, bystrym spojrzeniem cały leżący pod nim głęboki kanion, na dnie którego wiała się srebrna struga potoku, Jack dojrzał jednocześnie gęste kłęby sinego dymu, wydobywającego się z zarośli karłowatych jałowców, zarastających kępami dno szerokiego jaru. To ostatnie spostrzeżenie upewniło go, że płonące tam w dole ognisko zostało rozniecone jedynie przez kogoś obcego, gdyż żaden z nielicznych mieszkańców stepu nie zapuszczał się nigdy na dno kanionu, a tym bardziej nie miał potrzeby rozniecenia ogniska w dzikim, skalistym ustroniu.

– Może to ona?... – nieśmiała, lękliwa myśl przepełniła przez rozgorączkowany umysł cowboy'a, rozniecając na nowo iskrę bladej nadziei. Bez namysłu skierował się w stronę łagodniejszego spadku urwiska i ostrożnie, czepiając się wystających okruchów skalnych, począł zstępować na dno przepaści.

Ale w miarę posuwania się coraz niżej, droga stawała się trudniejszą, czego Jack nie mógł przewidzieć, gdyż nigdy od tej strony nie próbował zapuszczać się do kanionu. Spękane i pokruszone od góry ściany wąwozu wygładzały się coraz niżej, aż wreszcie przeszły w prostopadłą i płaską grań, niemożliwą do przebycia bez niechybnego narażenia się na runięcie na dno przepaści. Wprawdzie o dwa kilometry dalej było łagodne zejście, możliwe nawet do sprowadzenia konia, lecz rozgorączkowany i niezwykle podniecony Jack pragnął za wszelką cenę jak najprędzej dotrzeć do owej kępki karłowatych jałowców, spowitych pióropuszom sinego, wonnego dymu.

Nie mogąc jednak przezwyciężyć tej nowej przeszkody, szybko wdrapał się na powrót na zrąb przepaści i dopadłszy spokojnie szczypiącego trawę konia, zerwał zahaczone, o wysoką kulę lasso i, asekurując się nim, jak wytrawny turysta, po kilku minutach dotknął stopami kamienistego dna wąwozu.

Odetchnął przez chwilę, zwinął lasso i zarzuciwszy je przez ramię począł szybko skradać się w stronę dymiącego ogniska. Serce łomotało mu w piersi, a za gardło chwytał jakiś gwałtowny skurcz nieokreślonego wzruszenia, które potęgowało się z każdym krokiem.

– Może to ona, może ona... – huczało mu w głowie bez przerwy i trwożna nadzieja rozpałała skronie młodzieńca gorączkowym, niezdrowym rumieńcem. Ta myśl, której tak kurczowo uczepił się spostrzegłszy siną smużkę pełną dymu, przejęła go na wskroś i do tego stopnia, iż prędzej uwierzyłby we wszystko inne, tylko nie w to, że ktoś inny a nie Anita może ukrywać się w karłowatych zaroślach na dnie „Czarciego Uroczyśka”.

Dotarłszy do pierwszych krzewów począł ostrożnie, jak tygrys skradać się na czworakach w kierunku płonącego ogniska.

Nagle, kiedy zaledwie kilka kroków dzieliło go jeszcze od ogniska, zadrżał na całym ciele i omal, że nie wydał strasznego okrzyku wściekłości: – miast upragnionej dziewczyny, dojrzał bowiem siedzącego na głazie młodzieńca, który nucąc pod nosem jakąś frywolną piosenkę, opiekał nad płomieniem sporego pstrąga.

Jack stanął jak skamieniały. Gniew, ból, rozpacz, jednym słowem wszystkie te przykre uczucia, jakie opanowują człowieka na widok rozwalonego w gruzy gmachu ostatnich nadziei, sparaliżowały członki Jacka, nie pozwalając poruszyć się z miejsca, pomimo, że lada chwila mógł być dostrzeżonym przez tajemniczego wędrowca. I kto wie, czy gdyby nie owa fizyczna niemoc, wywołana tym strasznym ciosem okrutnego zawodu, Jack nie rzuciłby się na nieznanego człowieka, by wyładować na nim nadmiar bolesnych uczuć, targających mu trzewia.

Jednakże powoli, w miarę obserwowania zachowania się owego niezwykle wędrowca, który prawdopodobnie dla odpoczynku zatrzymał się przez dzień w tym niedostępnym zakątku, pierwotne uczucie niepokonanej wściekłości zaczęło przeradzać się w zaciekawienie.

Jack, zżyty od dziecka ze stepem i znający trudy i niebezpieczeństwa podróży po tych bezmiernych, dzikich przestrzeniach, nie mógł przypuścić ani na chwilę, aby ten wąły młodzieniec samopas puścił się w drogę, w nadziei dotarcia do jakiegoś większego osiedla ludzkiego. Skoro jednak tu się znajduje i w dodatku w niezwykle dobrym usposobieniu, to w każdym razie jest w tym coś niezwykle zagadkowego.

– A czy jego obecność wśród niedostępnych skał „Czarciego Uroczyśka” nie jest ściśle związana z ucieczką Anity? – pomyślał Jack i nagle przypomniał sobie pewien szczegół, nad którym na próżno głowił się od pamiętnej nocy odnalezienia samotnej dziewczyny nad brzegiem Platy. Mianowicie, oglądając z niezwykle zaciekawieniem owego stalowego ptaka, którym Anita przybyła w te okolice, zauważył w jego kabinie męski płaszcz i filcowy kapelusz. I już wówczas, choć dziewczyna przeczyła temu stanowczo, był niemal pewnym, że Anita miała w podróży towarzysza, na którego ślad jednak na próżno przez kilka dni potajemnych wypraw usiłował natrafić.

Zestawiwszy ze sobą tego rodzaju fakty, Jack przyszedł do przekonania, że tok jego domysłów idzie po drodze właściwej. Wprawdzie nie umiał wytłumaczyć sobie wielu spraw, ściśle związanych z osobą Anity i tego tajemniczego gentlemana, tym ciemniej jednak był niemal pewnym słuszności swych przypuszczeń.

– A zatem – rozważał dalej – albo dobrowolnie uciekła z namiotu do owego zagadkowego człowieka, lub też została przez niego podstępnie wykradziona. Ale w takim razie, dlaczego miałby ją przed tym zostawić samotną na stepie, aby później narażać się na poważne niebezpieczeństwo zakradania się nocą, do strzeżonego namiotu...

Tego rodzaju rozbieżne myśli wytwarzały w rozgorączkowanym umyśle cowboya nieopisany chaos, nie pozwalając na logiczne powiązanie poczynionych obserwacji w jedną całość, z której dopiero można by wyciągnąć odpowiednio konsekwentne wnioski.

W każdym razie Jack postanowił pilnie śledzić owego zagadkowego młodzieńca i w tym też celu przyczał się między gęstymi zaroślami, mając jedynie tuż nad ziemią niewielki otwór, w sam raz nadający się do obserwacji.

Przez pierwszych kilka minut nie zauważył nic takiego, co mogłoby choć częściowo uzasadnić powzięte podejrzenia, a przez to odsłonić rąbek dręczącej go tajemnicy. Młodzieniec bowiem, czując się tu widać najzupełniej bezpiecznym, ani na chwilę nie przerywał przypiekania pstrąga, nucąc coraz to nowe, nieznanne Jackowi piosenki. Aż dopiero, kiedy ukończył swe prymitywne kulinarne czynności i z wilczym apetytem skonsumował przyrządzoną potrawę, zadowolony począł monologować półgłosem:

– Zaczyna nam się coraz lepiej powodzić, Ludwisiu – rzekł, układając się na trawie, z głową podparta na łokciu – a zapowiadało się tak szkaradnie... Tfu! na psa urok – odegnał przykre wspomnienia pierwszych dni spędzonych na stepie.

Jack zapał dech w piersiach, starając się nie uronić ani jednego słowa owego zagadkowego człowieka.

Tymczasem tamten mówił dalej:

– Ten zakątek jest jakby w sam raz dla mnie stworzony! miejsce zaciszne od szalejących często na stepie wiatrów, bliskość wody i obfitość ryb, które w braku bardziej urozmaiconej stawy są niezłym pożywieniem, a przede wszystkim znaczna odległość od zamieszkałych okolic. Oto wszystkie dodatnie cechy mojego tymczasowego obozowiska. A mam nadzieję, że zbyt długo nie potrzebuję wieść tutaj pustelniczego życia gdyż po dwóch, trzech tygodniach, gdy tylko przycichnie echo pierwszej wrzawy, jaka wywołałem swym śmiałym przedsięwzięciem, będę już mógł bezpiecznie powrócić między ludzi i życie urządzić sobie jak zechcę. A kluczem do wszystkiego stanie się ta niepozorna sakiewka – to mówiąc, sięgnął ręką do kieszeni i, wyjąwszy skórzany woreczek, wysypał na dłoń jego zawartość.

Jack, widząc to, omal nie wydał okrzyku zdumienia. Machinalnie pomacał się po kieszeni, jakby nie wierząc jeszcze temu, czego był świadkiem. Ale kiedy stwierdził, że sakiewka zniknęła z jego kieszeni i w tej chwili znajduje się w rękach tego młodzieńca, zrozumiał wszystko i dziki, niepohamowany gniew, tym boleśniejszy, bo połączony z uczuciem straszego zawodu, zatargał nim do głębi. I kto wie, czy bez namysłu nie rzuciłby się w tej chwili na Bluma, gdyby ten, rozkoszując się widokiem drogocennych kamyków, nie podjął na nowo przerwane monologu:

– Kobieca naiwność nie ma granic i to je często gubi... – mówił, nie przestając się bawić kamykami. – Mogła mi przecież dobrowolnie oddać sakiewkę, a wówczas, w nagrodę, nie pogardziłbym może na tym odludziu jej kobiecymi wdziękami i jeszcze dostałaby na drogę parę dolarów. Lecz trudno... zgubiła się sama – dodał, chowając na powrót klejnoty do woreczka.

Lecz z Jackiem, pod wpływem ostatnich słów, działo się coś strasznego. Fałsz, obłuda i najskrajniejsza podłość – jednym słowem te wszystkie przywary, jakie w jego mniemaniu cechują ludzi ruchliwego wschodu, wystąpiły przed nim w tak nagiej wyrazistości, że sparaliżowały członki, a myśli przyprawiły o piekielny jakiś chaos. Jego szlachetna, choć pierwotna natura nie była w stanie pojąć owego ogromu upodlenia, stawiającego człowieka poza nawiasem wszelkiej etyki i moralności.

I chociaż z dawna, od zarania dzieciństwa miał wyrobione takie zdanie o ludziach z nad „Wielkiej Wody”, to jednak Anita wydawała mu się być jedynym wyjątkiem, ową dobrą, wyśnioną wróżką, której żadne zło imać się nie może... A tymczasem... pozornie odrzuciła drogocenny skarb, złożony u jej stóp, aby następnie nocą wykraść go z kieszeni śpiącego cowboy’a i uciec w step, zacierając za sobą wszelkie ślady. A ten oto, siedzący przed nim gentleman, kochanek Anity, w co Jack już dłużej nie wątpił, aby nie dzielić się z dziewczyną, zdobywym skarbem, podstępnie ją zamordował i, pogwizdując teraz beztrudno, układa plany na przyszłość swego niecnego, podłego życia...

Lecz dziwne, że Jack, rozważając to wszystko, czuł, że pierwotny, szalony gniew powoli go opuszcza, a miejsce jego zajmuje jakiś niezrozumiały lęk, pełnący mu coraz głębiej do serca. Lęk wywołany przeświadczeniem, że nic już nie zdoła oprzeć się potędze przekłętego wschodu... – Padły nasze wigwamy – rozmyślał z goryczą w duszy – zdobyte na słońcu kości szlachetnych indyjskich wojowników, a na zgliszczach spalonych odwiecznych sadyb wyrastają białe, kamienne twierdze bladych, opasłych farmerów, tępiących bezlitośnie resztki dawnego bujnego życia na stepie. I on jest jednym z ostatnich, którego tak srogo dosięga szatańska zemsta tych bladych twarzy. Zemsta tym sroższa, bo ugodziła w gorące, pełne wschodzącego uczucia miłości, serce i rzuciła go na pastwę strasznych dni powolnego konania w przerażających mrokach Beznadziei...

Ale na tę myśl przytłumiony chwilowo przykrymi refleksjami gniew rozgorzał na nowo w duszy udręczonego młodzieńca, budząc szaloną, niepokonaną żądzę krwawego odwetu. Oto przed nim siedzi bezbronny, nic złego nie przeczuwający współsprawca jego nieszczęścia, które serce przebija na wylot i mózg rozsadza w czaszce. Czarne, stalowe oczy Jacka rzuciły gromy złowróbnych błyskawic, wargi zacisnęły się kurczowo, a rozszerzone nozdrza zdawały się węszyć krew...

– Przez życie pójdziemy po kwiatach... – smagnęła go jeszcze zwrotka śpiewanej przez Bluma piosenki i... rozległ się krótki, urwany świst puszczonego z niezwykłą siłą lasa...

Na moment zapadła chwila grobowej ciszy, lecz wkrótce przerwało ją zachryple rżenie dławionego powrozem człowieka i szyderczy, nabrzmiały szatańską rozkoszą śmiech Jacka.

ROZDZIAŁ XIX

OSTATNIA WĘDRÓWKA

Jack siedział przed na wpół rozwalonym namiotem. Tępe spojrzenie utkwiał w popiele zagasłego ogniska i długo, długo trwał w bolesnej zadumie.

Jakaś przeraźliwa, złowieszczą cisza czaiła się wokół gwarne dotąd obozu. Wypędzona Arika przepadła gdzieś bez wieści, za nią zniknął Ross Shuniklin, jakby w obawie przed losem, jaki spotkał metysa Wachitę, który leżał teraz, ledwo dysząc, w pobliskich zaroślach. Puszczone samopas stada rozeszły się po szerokim stepie i tylko gdzieniegdzie na horyzoncie majaczyły nieliczne ich sylwetki, posuwając się coraz dalej i niknące w nadbrzeżnych zaroślach.

Czasem tylko w tę ciszę odzierało się skrzypnięcie zeschniętych skór rozwalonego namiotu, lub łopot starganych na wietrze płócien. Jackowi wydawało się wtedy, że słyszy szatańskie jakieś odgłosy śmiechu i naigrawań.

– A przecież jeszcze wczoraj – rozmyślał – siedzieli tu razem z Anitą, obok wesoło buzującego ogniska i w sercu miał taki bezmiar radości, że, słowa wymawiał niemal szeptem, aby nie spłoszyć szczęścia, co tak niespodziewanie zapukało do jego namiotu. W niemym zachwycie wpatrywał się w jasne oblicze dobrej, wyśnionej wróżki i nie widział już nie poza granatami jej oczu... Było mu dobrze i pragnął tylko, aby te chwile przedłużały się w nieskończoność. Wystarczał mu za wszystko sam obraz ukochanej dziewczyny. Była bowiem dla niego ucieleśnieniem piękna, dobra i wszelkiej szczęśliwości, o jakiej kiedykolwiek zamarzył. Na jedno jej skinienie gotów byłby iść spełnić każde życzenie, a nawet łeb rozplatać o skały „Czarciego Uroczyska”.

Wierzył jej... a ona... – Jack uśmiechnął się gorzko, zjadliwie – zabrała mu szczęście, zburzyła gmach marzeń i nadziei, okradła go i poszła w step, by paść ofiara podłego zbrodniarza. A jemu cóż zostało?... Oto ten rozwalony namiot, zagasłe ognisko, przerażająca pustka wokół i ból, co serce rozdziera na krwawe strzępy i rodzi żądzę strasznego odwetu. Jack czuje, że gdyby w tej chwili miał z powrotem dziewczynę w swej moc, dopuściłby się na niej szatańskiej wprost zemsty. Bez jednego drgnięcia powiekami, z rozkoszą przyglądałby się wykrzywionej przerażeniem i bólem jej bladej twarzy i jękami ofiary kołby rozedrgane, stargane udawką nerwy.

Jednakże, mimo tak niskich instynktów, jakie opanowały teraz Jacka niepodzielnie, chęć zemsty bynajmniej nie wypływała z samego faktu ucieczki dziewczyny. Oto miał tylko do niej pewien żal, ukryty głęboko na dnie serca, i raczej, miast zemsty, targnąłby się na własne życie. Natomiast nienawiść rozbudziła się w jego duszy dopiero pod wpływem przypadkowego zetknięcia się z Ludwikiem Blumem. Dopiero wówczas przekonał się, że Anita zbiegła z obozu, dokonawszy zwykłej ordynarnej kradzieży jego klejnotów. A zatem ta dobra, wyśniona wróżka, do której modlił się w czasie długich bezsennych nocy, ta biała, łagodna i czarująca miss, której szaty nie śmiał nawet dotknąć, jak czegoś świętego, ona właśnie okazała się zwykłą złodziejką, wyzutą z resztek szlacheckich ludzkich uczuć.

Lecz dziwne, że Jack, pomimo nienawiści do tej podłej dziewczyny, nie miał dotąd odwagi zapytać Bluma o ostateczny los Anity. Ludwika miał w swej mocy, jęczącego na skwarze

południa, z pętlą lassa u szyi, uwiązanego do drzewa w niewielkiej odległości od namiotu i mógł terrorem wymóc na nim wszystko, czego jedynie pragnął dowiedzieć się o zbiegłej Anicie, która, jak słyszał jeszcze w jarze „Czarciego Uroczyiska”, padła ofiarą Bluma. A jednak, pomimo wszystko, bał się tej prawdy, jak czegoś strasznego, co jedynie zdolnym jest zadać mu nowy, okrutny cios w udręczone serce.

Czy powodem tego były tkwiące jeszcze gdzieś w podświadomości resztki dawnego gorącego uczucia dla tej dziewczyny, czy też chęć oszczędzenia sobie nowych cierpień, budzeniem wspomnień niedawnej przeszłości, z tego Jack nie był zdolnym zdać sobie sprawy. Napawał się więc tylko strasznymi jękami więźnia i trwał w bolesnej kontemplacji z wzrokiem tępo utkwionym w popiele zgasłego ogniska.

Ale niepewność, jaka od pierwszej chwili boleśnie targała mu trzewia, nie pozwalała dłużej usiedzieć na miejscu. Jack, choć nie miał odwagi przyznać się do tego przed samym sobą, chciał się koniecznie dowiedzieć, jaki los spotkał Anitę, i czy jego zemsta zdoła ją jeszcze osiągnąć, czy też będzie ją mógł wyładować jedynie na jeńcu, który, jak tamta, należy do podłych ludzi przeklętego wschodu. Chciał się upewnić, zbyć ostatecznych wątpliwości i widzieć jasny cel, do jakiego miał zdążać od dziś z niezachwianym uporami.

Z tym postanowieniem Jack podniósł się ociężale, jakby pod brzemieniem przygniatającego go nieszczęścia i wolno ruszył w stronę zarośli, skąd bez przerwy dochodziły bolesne jęki Ludwika Bluma.

Więzień, ujrawszy zbliżającego się prześladowcę, podniósł na niego zalękłe, błagalne spojrzenie i wyciągając przed siebie ręce, wycharczał słabym, zmienionym głosem:

– Pić!... daj mi pić... Chociaż jedną kroplę... Zlituj się!... – chciał ukłęknąć, ale pętla u szyi, przywiązana drugim końcem wysoko do drzewa, nie pozwalała mu na to. Wyciągnął więc tylko do Jacka związane w przegubach dłonie i żebrał o kroplę wody, gdyż pragnienie niepojętym wprost żarem paliło go do utraty zmysłów.

Ale jęki i żebrania o litość podniecały tylko żadnego zemsty, wpół-dzikiego cowboy'a. Wprawdzie Jack nie zdawał sobie sprawy z tego, za co poprzysiągł zemstę Blumowi. Czy za to tylko, że był białym przybyszem z nad „Wielkiej Wody”, czy też, że zamordował, tak kochaną, przez niego dotąd a teraz znienawidzoną, Anitę, a przez to pozbawił go nadziei dokonania na niej zemsty za ten okrutny cios, jaki zadała sercu biednego, łatwowiernego cowboy'a. A może wypływało to jeszcze z jakichś innych, głębszych pobudek... W każdym razie Jack czuł wyraźnie, że jęki, że cierpienia ofiary przynoszą mu znaczną ulgę i koją, rozedrgane nerwy.

Nic więc dziwnego, że miast uczucia litości, w jego czarnych, stalowych oczach i w wykrzywionej lekkim uśmiechem twarzy można było bez trudu dostrzec objawy sadystycznej rozkoszy. Trzymając obydwie ręce w kieszeniach szerokich spodni, podszedł do delikwenta, i, przesywając go dzikim, nienawistnym spojrzeniem, wycharczał przez zaciśnięte zęby:

– Coś uczynił z dziewczyną, której zabrałeś klejnoty?... Mów!...

Blum zadrżał, bowiem przekonał się, iż odkryto potworną zbrodnię, jakiej dopuścił się na bezbronnej dziewczynie. Teraz dopiero zrozumiał, że tym okrutnym, stepowym włóczęgą nie powodowała chęć zdobycia posiadanych przez niego klejnotów, lecz żądza zemsty za czyn zbrodniczy, jakiego on, Blum, dopuścił się wczoraj tam, w stepie. – A zatem – przemknęło mu przez skołataną głowę – ta dziewczyna musiała być istotą bliską temu dzikiemu cowboy'owi – jego żoną, kochanką, lub siostrą.

Na tę myśl okropny lęk przed krwawą zemstą Jacka targnął nerwami Ludwika i przytłumił – chwilowo uczucie szalonego pragnienia. – A może ona żyje? Może nie zdołałem zadławić jej aż na śmierć, a jedynie pozbawiłem na pewien czas przytomności?... – uczeplił się tej jedynej zbawiennej myśli, wnosząc, że wówczas zemsta cowboy'a nie byłaby tak okrutną, i może ocaliliby swoje młode życie, które obecnie zawisło od woli srogiego prześladowcy.

– Daruj mi, mężny wodzu – rzekł, pragnąc tym wyrażeniem polechtać dumę cowboy’a – ale padłem tylko ofiarą własnej pomyłki. Dziewczynie nie uczyniłem nic złego, o czym możesz się łatwo przekonać, udając się wraz ze mną na miejsce, gdzie ją spotkałem. Jedyna moja wina leży w tym, że widząc u nędznie ubranej dziewczyny ten skarb, posądziłem ją o kradzież tak cennych klejnotów i zabrałem je, aby odszukać prawego ich właściciela i zwrócić mu wszystko... – Umilkł i niespokojnym, lęklwym spojrzeniem zawisnął na twarzy Jacka, aby odczytać, jakie wrażenie ta wiadomość uczyniła na prześladowcy.

Ale oblicze cowboy’a nie rozpogodziło się ani trochę. Nie wygładziła się ni jedna bruzda na czole, a oczy nadal rzuciły groźne, złowieszcze błyski. Bowiem Blum nie wiedział, czy też pod wpływem cierpienia i strachu zapomniał o tym, że Jack podsłuchiwał jego głośne rozmyślenia w wozie „Czarciego Uroczyska”.

– A co znaczą twoje słowa – zasyczał teraz cowboy, zbliżając się jeszcze o krok do swej ofiary – wypowiedziane wczoraj, że dziewczyna zgubiła się sama, co?!

Ludwik struchlał, bowiem zdawało mu się, że Jack w tej chwili pochwyci go w swe potężne ramiona i zadławi na śmierć. Jednakże ten sam strach kazał mu szukać ratunku za wszelką cenę.

– To były tylko puste przechwałki – odparł, siląc się na spokój, lecz w głosie wyraźnie drgała nuta zabobonnego wprost lęku. – Ona żyje... na pewno żyje... – dodał szybko, byleby tylko zażegnać odruch wściekłości groźnego prześladowcy.

– Dobrze... pójdziemy tam i przeszukamy step – rzekł Jack po krótkim namyśle. – Jak psa poprowadzę cię na powrozie. Lecz biada ci, jeżeli inaczej jest, niż mówisz! – rzucił jeszcze tę groźbę, po czym ją szybko odplątywał od drzewa powróż.

– Lecz daj mi przed tym pić; inaczej padnę, uszedłszy pięćdziesiąt kroków... Choć kilka kropel wody!... – jęczał Blum, wyciągając do Jacka związane dłonie

Cowboy, nie mówiąc nic, podprowadził go pod ścianę na wprost rozwalonego namiotu, okręcił powróż o wbity w ziemię pał i zniknął we wnętrzu szalasu. Lecz kiedy po chwili zjawił się znów na majdanie, z zachrypłego gardła Ludwika Bluma wydarł się okrzyk radości. Jack bowiem trzymał w dłoniach olbrzymią tykwę, wypełnioną po brzegi wodą.

– Masz... pij! – rzekł – abyś nie padł, zanim dotrzemy na miejsce.

Blum, jak dzika, krwiożercza bestia wpijająca się kłami w świeże ciało ofiary, przywarł spieczonymi wargami do brzegu tykwy i nie wypuścił jej dotąd, aż wysączył ostatnią kroplę napoju, po czym z wdzięcznością spojrział w ponurą twarz cowboy’a. Jednocześnie w duszy więźnia rozbłysła słaba iskra nadziei, że jak dotąd, uda mu się i dalej przekonać owego groźnego trampa o swojej niewinności. – Byleby tylko dziewczyna jeszcze żyła – pomyślał z trwogą, – przypominając sobie we wszystkich szczegółach walkę z młodą metyską. – Byleby spotkać ją błądzącą po stepie.

Ale nadzieje Bluma na litość ze strony Jacka były płonne. Jeżeli bowiem cowboy nie odmówił jego błagalnym jękom i pozwolił ugasić okropne pragnienie, to powodowała nim jedynie chęć dowiedzenia się prawdy o losie Anity. Wiedział bowiem, iż Ludwik padłby po kilkunastu krokach, rażony szalonym upałem, wysysającym bezlitośnie resztki wilgoci z jego wątłego ciała. Było to więc, pomimo nieokiełzanej nienawiści, proste wyrachowanie.

Toteż nieśmiało przed chwilą wpełzające do serca Bluma nadzieje musiały rozwiać się natychmiast, kiedy w minutę później Jack wskoczył na grzbiet swego ulubionego wierzchowca i przytwierdziwszy do kuli jeden koniec powroza, na którym uwiązany był Ludwik, lekkim kłusem ruszył w szeroki rozsloneczniony step, przynaglając więźnia de pośpiechu silnymi uderzeniami harapu.

Na szczęście dla Bluma, niezbyt wielka odległość dzieliła ich od miejsca, na którym rozegrała się wczoraj tragedia Ariki. W dodatku, w miarę posuwania się coraz dalej w step, cowboy, jakby pragnąc teraz odwlec chwilę spojrzenia nieubłaganej prawdzie prosto w oczy, wstrzymywał konia, i Ludwik mógł odetchnąć po pierwszych minutach wyczerpującego bie-

gu. Prześladowała go tylko uporczywa myśl, co robić dalej?... Czy poprowadzić cowboya wprost na właściwe miejsce, czy też kluczyć bez celu po stepie, w nadziei napotkania dziewczyny. W pierwszym wypadku, gdyby istniała pewność, że metyska nie została zadławiona na śmierć i, odzyskawszy przytomność, oddaliła się z tego miejsca, Blum mógłby łatwo, ukazując jej ślady, przekonać Jacka, że dziewczynie nie mógł wyrządzić żadnej krzywdy. Jeżeli natomiast została zamordowana i trup jej leży wśród gęstych zarośli czamizalu, wówczas już nic nie zdoła ocalić go przed strasznym gniewem dzikiego cowboya...

Nim jednak zdołał zdecydować się na krok stanowczy, przerażenie zjeżyło mu włosy na głowie, bowiem dojrzał o kilka zaledwie kroków przed sobą leżące pod krzakiem zwłoki zamordowanej dziewczyny.

W tej samej niemal chwili Jack wydał jakiś dziki okrzyk wściekłości, czy rozpacz i jednym błyskawicznym ruchem zeskoczył z siodła. I teraz stała się rzecz straszna. Koń, który już wcześniej, wężąc trupa, rozdymał niespokojnie chrapy i z trwogą strzygł uszami, nie czując teraz jeźdźca na swym grzbiecie, gwałtownie rzucił się w bok i niczym strzała pognał naoslep przed siebie, wlokąc za sobą przywiązanego do siodła jeńca. Blum nie stracił od razu przytomności, jakby okrutny, choć sprawiedliwy los chciał, by nieuchronnie zbliżająca się śmierć zajrzała zbrodniarzowi prosto w oczy przerażającą głębią oczodołów. Ludwik czuł, myślał i cierpiał... Pętla powroza dławiła gardło aż do utraty tchu; głowa, twarz, ręce darły się w strzępy na ostrych, zdrewniałych kolcach stepowych krzewów, znacząc ten straszny, upiorny bieg konia krwawą wstęgą.

A Blum był przytomny. Czuł ból, tak straszny, jakiego żadna myśl ludzka pojąć nie zdoła, a słowo nie wypowie. Czuł jak ciało grubymi pasmami odpada od kości, jak krew zalewa ośleple źrenice, a pętla powroza, niczym szpony upiora, coraz silniej zaciska się dokoła szyi.

A rumak, niby wichur, pędzi po stepie, a w odgłosie uderzeń kopyt Blum słyszy ciężkie stąpania zbliżającej się śmierci.

ROZDZIAŁ XX

ZA KULISAMI CYRKU „WIKTORIA”

– Stef...

– Co, kochanie?... – Ronicki oparł się o poręcz fotela i skronią przywarł do gorącego policzka Anity.

– Czy ty nigdy nie pomyślałeś o tym, – rzekła dziewczyna, jakby z pewnym wahaniem, – że nasze szczęście w dużej mierze zawdzięczamy temu biednemu, lecz poczciwemu cowboy’owi, Jackowi?...

– Myślałem, kochanie... – odparł Stefan, choć doznał jakiegoś przykrego uczucia zazdrości, czy wewnętrznego niepokoju.

– Boję się abyś mnie źle nie zrozumiał, jedyny, – dodała po chwili, podnosząc na Ronickiego kochające spojrzenie, pełne bezgranicznej szczerości – ale przecież ten człowiek w pełni zasłużył na to by go w niezamąconych chwilach naszego szczęścia wspominać czasem z wdzięcznością...

Anita umilkła i na jakiś czas cisza zaległa w wytwornym saloniku. Tylko, nie wiedzieć czemu, serce Stefana uderzało jakoś niespokojne. Może pod wpływem słów narzeczonej odżyły w nim wspomnienia strasznych dni nadludzkich katuszy, a może opanowały go jakieś inne uczucia...

– Bo widzisz, Stef, – podjęła dziewczyna na nowo, jakby odpowiadając swoim myślom – Jack jest zwykłym, wpółdzikim cowboy’em, a jednak zdobył się względem mnie na tak dalece posunięty takt, o jaki trudno posądzić naszą, cywilizowaną młodzież.

– Moja maleńka w czasie tego, krótkiego zresztą, pobytu w stepie, wypaczyłaś sobie trochę pojęcia o moralności – rzekł Ronicki z wymuszonym może trochę cierpkim uśmiechem.

Spojrzała mu prosto w oczy z zaciekawieniem.

– To bardzo proste – rzekł, siadając naprzeciwko narzeczonej. – Wdzięczność winniśmy tylko tym ludziom, którzy z poświęceniem pewnego trudu, mienia, lub nawet życia, bezinteresownie wyświadczyli nam dobrodziejstwo. Nie widzę natomiast powodu do wynagradzania kogokolwiek za samo tylko niedokonanie karygodnego czynu.

– Nie rozumiałeś mnie, jedyny – zaprotestowała Anita żywo. – Czyż zapominasz o tym, że gdyby nie Jack, niechybnie zginęłabym, zabłąkana w stepie z pragnienia, głodu i wyczerpania?...

Ronicki dobrze to rozumiał. Jego cierpka uwaga była jedynie reakcją, na to, że Anita, jakby zapominając o tym, co dopiero teraz powiedziała, widziała przede wszystkim owego Jacka, jako gentlemana; jako mężczyznę... A to właśnie zabolalo Stefana w jego męskiej dumie, a może próżności.

Gorący pocałunek młodzieńca przeciął tę małą utarczkę i nic już nie zdawało się mącić harmonii uczuć tych dwojga oddanych sobie serc.

Lecz były to tylko pozory. Bowiem w duszy Stefana zagnieździł się czerw nieufności, niepokoju. Zbyt doświadczonym i myślącym człowiekiem był Ronicki, a Anita młodą i naiwną dziewczyną, aby z jej szczerych słów nie miał odgadnąć, co kryje się poza utartą formą zwykłych, często banalnych, powiedzeń. Nie wątpił więc, że ów, tak często przez Anitę wspomni-

nany Jack, na dłużej utrwalił się w pamięci dziewczyny, nie wiedział tylko, czy powodem tego była kobieca chępliwość z niezwykłych przygód, jakich doznała w prerii i dlatego lubiła je odgrzebywać przy każdej sposobności, czy też osoba Jacka wywarła na niej jakieś głębsze wrażenie. O tym ostatnim bał się po prostu myśleć, tym niemniej jednak wyimaginowany obraz urodziwego cowboya często stawał przed nim jak żywy, a zawsze w towarzystwie ukochanej Anity. W takich chwilach Ronicki cierpiał niewymownie, lecz to jedynie pogłębiało uczucie bezgranicznej miłości, jaką obdarzał narzeczoną. Wprawdzie Anita nie zataiła przed nim ani jednego ważniejszego szczegółu ze swego pobytu w cowbojskim obozie, tym niemniej jednak Stefan nie mógł się pozbyć jakichś niezrozumiałych obaw, czy niedowierzań.

Nic więc dziwnego, że i teraz starał się całą siłą woli odeprzeć tego rodzaju niedorzeczne myśli, wprowadzające zgubny rozdźwięk pomiędzy oddane sobie na zawsze serca.

– To wszystko tylko dowodzi, jak bardzo kocham moją, uroczą Ani... – pomyślał, usprawiedliwiając przed samym sobą ostatnie, krzywdzące narzeczoną, podejrzenia. Nie przeczuwał jednak, że ten drażliwy temat, który przed chwilą zaledwie był powodem jego ponurych myśli, niebawem wypłynie na powrót i w gorące, rozmiłowane serce rzuci ziarno goryczy. Bowiem nie zdążył przysunąć się bliżej do pochylonej nad świeżym dziennikiem, Anity, dziewczyna krzyknęła niespodziewanie:

– Stef... popatrz, to on!...

Ronicki przywarł wzrokiem do pierwszej strony gazety, gdzie widniało dużych rozmiarów tabelaryczne ogłoszenie:

– „Cyrk Wiktorii” już przybył do Chicago i rozbił swe olbrzymie namioty w North Shore Parku”... Opuścił kilka wierszy i spojrzenie zatrzymał na dużych, ryczących niebywałą sensacją, literach:

„...Na arenie naszego cyrku wystąpi oryginalny Indianin, ostatni potomek królewskiego rodu Pawnisów, „Krwawy Sęp”, który...

– To on, Stef... to ów Jack cowboy, którego wspominaliśmy przed minutą – wyjaśniła i, co dziwniejsze, ukryła twarz w białych, wypieszczonych dłoniach.

A tymczasem Jack, ów „Krwawy Sęp”, potomek królewskiego rodu dzielnych Pawnisów, leżał na ziemi pod olbrzymim cyrkowym wozem, który dawał mu trochę cienia, przed rażącymi promieniami południowego słońca. Leżał jak kłoda drzewa, nieruchomy, pozornie apatyczny i bierny na wszystko, co działo się dokoła.

Cały ten świat, jaki otaczał go od kilku miesięcy, wciąż był mu obcym, niepojętym, a zarazem zniechęcającym. Czuł się jak dziki zwierzę, wtłoczony brutalną przemocą pomiędzy stalowe pręty klatki, skazany na straszne, fizyczne i moralne, katusze.

Tylko, że Jack dobrowolnie porzucił bujne, swobodne życie w szerokim stepie i szyję wsunął w obrozę nowego życia. Tak chciał, tak nakazywała mu niepokonana żądza zemsty na bladej, przeklętej miss z dalekiego wschodu...

Bowiem ostatnie wypadki w stepie przekonały go nazbyt łatwo o wszystkim i rozjaśniły ponurą zagadkę. Trupy Ariki i Rossa Shunklina świadczyły wymownie o zbrodni, jakiej Anita, w jego mniemaniu, dopuściła się wraz ze swym towarzyszem, którego niestety, zemsta Jacka osiągnąć już nie zdołała. Jack mianowicie wyrozumował, że Anita, będąc w zмовie z Ludwikiem Blumem, owej pamiętnej nocy wykradła podstępnie jego klejnoty i zbiegła w step, aby podzieliwszy się skarbem ze swym towarzyszem, wrócić do miasta i wieść beztrudne życie, opływając w dostatku.

Jednakże wierna Jackowi aż do śmierci Ariki musiała przeniknąć te plany i wespół z Rossem przyczała się w stepie, aby odebrać podstępnie skradzione klejnoty. Jack tylko nie mógł zrozumieć, dlaczego ten przebiegły, stary i doświadczony wyga, Ross Shunklin, – człowiek o nieprzeciętnej sile mógłby ulec w ręcznej walce słabemu gentlemanowi?... Kładł to jednakże na rachunek nieznanymi, nadprzyrodzonymi siłami, jakimi w mniemaniu półdzikich synów stepu, rozporządzają ludzie z nad „Wielkiej Wody”.

Jakkolwiek dokonała się ta straszna tragedia Ariki i Rossa Shunklina, Jack widział w tym dzieło owej bladej, tajemniczej miss i dyszał straszną żądzą odwetu. Odwetu nie tylko za swe złamane serce i bolesny żar palącego wstydu, lecz jednocześnie, aby zmazać krzywdę wyrządzoną biednej, oddanej mu zawsze Arice.

Dlatego też pierwszy dzień spędzony w Kansasie przekonał go, jak trudno będzie pośród niezliczonego ludzkiego mrowia natrafić na cel swych poszukiwań. Nadaremnie włóczył się do późnej nocy po gwarnych, ruchliwych ulicach, godzinami wystawiał pod drzwiami lokali publicznych, aż wreszcie znalazł się na kilka dni w miejskim areszcie za włóczęgostwo.

Te pierwsze, niefortunne próby kazały mu zarzucić dotychczasową metodę. Pomoc, jakby zesłana przez Opatrzność, przyszła niespodziewanie. Mianowicie, kiedy Jack, opuściwszy areszt, włókł się złamany przez jedną z głównych ulic Kansas, jego malowniczy cowboy'ski strój zwrócił na siebie uwagę pewnego przechodnia.

Był nim dyrektor cyrku „Wiktoria”, mister Adolph Humboldt, który studiując zainteresowanie publiczności cyrkowej, przyszedł do przekonania, iż pora już zerwać z dotychczasowym szablonem cyrkowych widowisk i należy dać żądnym sensacji widzom coś naprawdę emocjonującego. I właśnie ten oryginalny cowboy od pierwszego wejrzenia przypadł mu do gustu. Po krótkich pertraktacjach zawarto korzystną dla obu stron umowę. Bowiem dyrektor Humboldt, dowiedziawszy się, że Jack jest w prostej linii potomkiem „Krwawego Sępa”, szedł na wszelkie ustępstwa, byleby tylko zdobyć dla swego cyrku jeden z najbardziej kasyowych numerów. I odtąd zaczęła się wędrówka Jacka z cyrkiem Mr Humboldta. Z miasta do miasta wlokły się olbrzymie pudła cyrkowych wozów, coraz to w innej części Stanów wznosiły płócienne namioty olbrzymiego czteromasztowca i coraz to inne, pałające żądzą, sensacji spojrzenia śledziły karkołomne ewolucje cowboy'a na grzbiecie wółdzikiego wierzchowca.

Cyrk szalał, trząsł się od niemilknących huraganów oklasków, a pod kopyta rozpedzonego rumaka, leciały wiązanki kwiatów.

Ale tego wszystkiego Jack zdał się nie słyszeć, ani nie widzieć. Jego bystry, sokoli wzrok z jakąś drapieżną chciwością ślizgał się po twarzach tysięcy widzów, a każdy, kto zdołał uchwycić błyskawiczne tego spojrzenia, doznawał jakiejś zabobonnej trwogi, tyle w nim było dzikiej, żywiołowej wprost nienawiści.

Ale już po kilku wirażach ten płomień nienawiści stopniowo przygasał, a na twarz Jacka powoli wypełzła apatia i zniechęcenie. Aż do następnego dnia, kiedy nowa piramida głów wyrastała przed oczyma cowboy'a.

I tak wlokły się długie dni, tygodnie i całe miesiące, bliźniaczo podobne do siebie, a w serce Jacka coraz głębiej zapadało ziarno gorczy i zwątpienia.

Tak było i obecnie. Po New Yorku, gdzie cyrk spędził okrągłe dwa miesiące, przerzucając się z jednej dzielnicy w drugą, – po Chicago Jack nie obiecywał sobie już niczego. Przestał się bowiem ludzi, ażeby wśród tego nieprzejrzanego ludzkiego mrowia, o jakim nigdy dotąd nie miał wyobrażenia, mógł odnaleźć jedną kobietę, tak zresztą podobną, do tysięcy już oglądanych. Nic więc dziwnego, iż żyjąc od kilku miesięcy w stanie nerwowego napięcia, za lada powodem uległ rozdrażnieniu. I teraz leżąc pod swoim wozem, choć pozornie obojętny i apatyczny, nie mógł znieść widoku gorączkowo poruszających się wokół ludzi, gdyż wszyscy oni przypominali mu, że za kilka, zaledwie godzin znów stanie w zwartym pierścieniu tysięcy widzów i znów dozna jednego więcej zawodu. Wypełznął więc spod wozu i wolno powłókł się do głównego namiotu, aby tam, w ponurym półmroku przeżuwać dalej gorzką trawę podłego życia. Pragnąc zupełnie usunąć się z oczu ludziom, który od czasu do czasu zachodzili do cyrku w poszukiwaniu zagubionych narzędzi, czy pozostawionego materiału Jack wsunął się pod niskie kanapki pierwszej łoży i zapadł na nowo w bolesną kontemplację.

Z zadumy wyrwał go dopiero churkot odsuwanych w pobliżu krzesel. Jack wysunął nieco głowę i ujrzał o kilka kroków dyrektora cyrku, Mr Humboldta.

Zjawienie się na pustej arenie dyrektora, który zazwyczaj opuszczał swój gabinet, urządzony w największym cyrkowym wozie, na krótko przed przedstawieniem, wyraźnie zdziwiło, a zarazem zaintrygowało cowboya. Dlatego też z zaciekawieniem począł śledzić jego czynności. Tymczasem Mr Humboldt, sądząc, że znajduje się sam jeden w całym namiocie przewrócił do góry nogami środkową kanapkę czternastej łoża i począł coś majstrować pod jej siedzeniem. Przy tym jakiś złośliwy, wiele mówiący uśmiezek nie schodził z jego szerokiej twarzy. Po kilku minutach pracy wyjął z kieszeni spodni jakiś dość spory, walcowaty przedmiot, który wpuściwszy pomiędzy sprężyny kanapy, silnie przytwierdził grubym szpagatem.

– Taka porcyjka powinna w zupełności wystarczyć, ażeby ta zakochana parka przejechała się prosto z cyrku na łono Abrahama... – rzekł, ukończywszy swe podejrzane czynności ustawiając kanapkę na powrót na dawnym miejscu. – Maszynka nastawiona na samo clou numeru „Krwawego Sępa” – dodał. – Publiczność lubi niespodzianeczki w dobrym stylu, a w tym wypadku „Krwawy Sęp”, istotnie zgotuje krwawe widowisko... He, he, he!... – zarechotał i zasunawszy ręce w kieszenie spodni, podążył w stronę głównego wyjścia.

Gdy tylko przebrzmiał odgłos ciężkich stąpań Mr Humboldta, Jack natychmiast podczołgał się na tamto miejsce, i bez namysłu wsunął rękę między sprężyny kanapki. Przedmiot, jaki namacał, był zimny, twardy, prawdopodobnie sporządzony z żelaza, a z jego wnętrza dochodziło, ledwo uchwytnie dla ucha, tykanie.

– Co to może być? – pomyślał Jack, szczerze zaciekawiony. Nie przypuszczał bowiem, ażeby Mr Humboldt bez wyraźnej przyczyny umieszczał ów zagadkowy przedmiot pod siedzeniem kanapki. A może nawet cowboy nie przykładałby do tego tyle wagi, gdyby nie owo podejrzane cykanie, wydobywające się z wnętrza metalowego walca i wiele znaczące słowa dyrektora, z których można się było domyśleć, iż owo żelazne pudełko prawdopodobnie mieści w sobie materiał wybuchowy.

W pierwszej chwili Jack miał ochotę bliżej zbadać ów tajemniczy przedmiot, jednakże chęć oglądania następstw, jakie niewątpliwie ujawnią się w czasie wieczorowego przedstawienia, okazała się silniejsza nad pierwszy odruch ciekawości. Nie rozumiał tylko, jaki cel miał w tym wszystkim dyrektor Humboldt i na kim ma się dokonać ów okrutny, szatański wprost, zamach.

Inne natomiast myśli, choć owijające się dokoła tego samego tematu, zaprzętały w tym samym czasie głowę Mr Humboldta, siedzącego w swym dyrektorskim gabinecie. Obawiał się przede wszystkim tego, aby jakieś nieprzewidziane przyczyny nie przeszkodziły tym dwóm osobom, dla których została przeznaczona półkilogramowa porcja pyroksyliny, w przybyciu na przedstawienie.

– Od tej przeklętej sopockiej afery prześladowuje mnie wyraźny pech, – zauważył Mr Humboldt półgłosem – a to muszę poczytać sobie za ostrzeżenie, że już najwyższy czas wycofać się z tej śliskiej branży i zacząć spokojny żywot bogobojnego obywatela. Z ogniem igrać nie można... – dodał w myśli, gdyż lada iskra może przerodzić się w olbrzymi płomień, który nie da tak łatwo stłumić się, jak pierwsze zarzewie...

Bo czyż można sobie inaczej wytłumaczyć to wyraźne igranie z niebezpieczeństwem? Oto miał poczytać sobie za ostateczne ostrzeżenie tę okoliczność, że udało mu się olbrzymią sumą przekupić więziennego dozorcę, który ułatwił mu potajemną ucieczkę wobec nieuchronnie ciężącego widma śmierci na elektrycznym krześle, które najprawdopodobniej nie ominie jego współpracowników, Billa Monktona i Francka, on Józef Zilberman, a obecnie Adolf Humboldt, dobrowolnie przybył do Chicago. Osobiście był przekonany, że pchała go do tego chęć zemsty na Ronickim, bezpośrednim sprawcy jego nieszczęścia, gdy w samej rzeczy można to było jedynie poczytać za zrządzenie losu, gotującego zbrodniarzowi godną zapłatę za straszne czyny jego podłego życia.

Ale mister Adolf Humboldt nic myślał o tym. Bajońskie sumy ulokowane w zagranicznych bankach miały mu zapewnić spokojny żywot, a na razie, przed opuszczeniem Chicago raz na zawsze, chciał jeszcze oczy napawać widokiem swojej ostatniej potwornej zbrodni. Chciał, stojąc znieruchomiały w pośrodku areny, dokoła której w takt bębna i metalicznych dźwięków trąb będzie pędził z szaloną szybkością „Krwawy Sęp” na dzikim stepowym rumaku, słyszeć głuchy, potężny huk piekielnej maszyny, zainstalowanej pod siedzeniem Stefana i Anity, i widzieć krwawe strzępy ich ciał pod szczytem głównego masztu.

To miał być finisz ostatniego programu cyrku „Wiktoria”, ostatni spektakl na pożegnanie dyrektora Adolfa Humboldta, odjeżdżającego na południe do pełnej wschodniego czaru, słonecznej Kalkuty.

ROZDZIAŁ XXI

ZEMSTA COWBOY'A

Cyrk zamarł w dręczącej ciszy oczekiwania.

Tysiące spiętrzonych piramidalnie głów odwróciło się w jedną stronę i ciekawe spojrzenia oparły się na drzwiach, przesłoniętych zieloną kotarą.

Aż nagle, jak uderzenie gromu ryknęły mosiężne trąby i „Krwawy Sęp”, niczym burza wpadł na obszerną arenę. Jego barwny, indyjski pióropusz falował w takt szalonego biegu konia, a pióra, ostrymi brzegami lotek wygwizdywały jakąś złowieszczą, choć dawno zapomnianą pieśń dzikich Pawnisów, Komanczów, czy Arikarów, przebiegających olbrzymie polacie pustynnych prerii. Przynajmniej tak zdawało się zachwyconym, żadnym tego rodzaju emocji tysięcznym tłumom cyrkowej publiczności.

– Help! – padło po chwili jedno, krótkie słowo dyrektora Humboldta i cowboy osadził ruma niemal w miejscu, aż koń przysiadł na zadzie, a spod kopyt wytrysły strumienie suchego piasku.

I znów donośny trzask bata Mister Humboldta i koń i jeździec na powrót mkną w szalonym galopie dokoła areny.

Grobowa niemal cisza, jaka zaległa cyrk w chwili ukazania się na arenie „Krwawego Sępa”, przerodziła się teraz w szmer nie ukrywanego zachwyty.

Aż nagle stało się coś, czego publiczność zresztą nie zrozumiała, a co Mr Humboldta zaniepokoiło wyraźnie. Mianowicie „Krwawy Sęp”, nie czekając komendy dyrektora, osadził konia na środku areny i szybkie, nerwowe spojrzenie skierował w stronę łoży, opatrzonej czternastym numerem.

Jakiś dziki, urwany okrzyk wydarł się teraz z piersi cowboy'a. Zaczerwieniona szalonym pędem konia twarz Jacka przyoblekła się trupią bladością a na ciało Wystąpiły krople zimnego potu. Nie śnił przecież, choć cudna, ukształtowana bladym uśmiechem twarzyczka Anity wydawała mu się być uroczym, sennym mamidłem.

Na chwilę, na krótki zaledwie ułamek sekundy dotknęli się zdziwionym, jakby niepewnym spojrzeniem i dziewczyna natychmiast nakryła źrenice koronką długich rzęs, a cowboy z szaloną pasją ścisnął boki ściętego wierzchowca i z miejsca rzucił się do galopu dokoła areny.

I znów rozległ się szybki, nieuchwytny wprost tętent konia, świst nastroszonych piór przesywał powietrze, a zachwycona publiczność przeżywała minuty niecodziennej emocji. Nikt nie mógł się domyśleć, jakie uczucia nurtowały w sercach obecnych tu czterech osób: „Krwawego Sępa”, Mr Humboldta, Anity i Ronickiego. Ale największa walka rozpętała się w duszy „Krwawego Sępa”.

Szalony gniew, straszna, żywiołowa nienawiść, przechodząca w okrutny ból rozpaczy po rozwalonych w gruzy nadziejach, wszystko to kipiącym warem przewala się w duszy biednego cowboy'a. A koń, jakby posłuszny zawrotnemu pędowi myśli swojego pana, zda się nie dotykać kopytami, areny i niczym upiorne widmo sunie po krągłym obwodzie ciasnej areny. Głuchy tętent, zgrzyt piasku, świst piór i zdumiony, pełen zachwyty szmer cyrkowej gawieździ, stwarza razem wizję jakiegoś upiornego misterium.

Zdezorientowany, oglupiały Mr Humboldt śmiertelnie blady stoi pośrodku areny, nie próbując już nawet podporządkować swej woli oszalałego jeźdźcy i konia.

Anita nie może oderwać spojrzenia od majaczącej w nieuchwytnych wprost ruchach sylwetki cowboya, a Ronicki doznaje jakiegoś dziwnego, nieznanego mu dotąd uczucia, które zapiera dech w piersi i serce przyprawia o żywsze bicie.

A mały mechanizm piekielnej maszyny z złowrogim chrzęstem odmierza ostatnie minuty...

Białe płaty piany spadają z boków rżęącego z nadmiaru wysiłku konia. Wzrok cowboya ciska wokół błyskawice dzikiego, niesamowitego spojrzenia, i widzowie, jakby wyczuwając, że zaszło tu coś więcej nad zwykle, przewidziane programem popisy, zamarli w ciszy trwożliwego oczekiwania.

Jeden tylko dyrektor Humboldt nie patrzył już na cowboya, lecz przywarł wzrokiem do łoża Anity i Ronickiego.

I w tej właśnie chwili, kiedy napięcie nerwów całego cyrku doszło do punktu kulminacyjnego, wzrok Jacka przypadkowo zatrzymał się na ułamek sekundy na postaci dyrektora Humboldta.

To jedno spojrzenie wyrwało z chaosu myśli cowboya zapomnianą maszynę piekielną, umieszczoną właśnie w czternastej łoży. – W łoży tej bladej miss!... – smagnęła go ta przeraźliwa prawda i serce jeszcze silniej zabiło w piersi.

– Jeszcze czas... jeszcze pora wydrzeć pierwszeństwo zemsty!..... – przemknęło przez głowę Jacka.

– Te cudne, przepastne oczy ukochanej miss...

– Precz z tym!...

Jack zerwał konia gwałtownym szarpnięciem cugli tuż przed czternastą łożą. Zwierzę przysiadło na zadzie, zawisło kopytami nad trupio-blada przerażona dziewczyną, a cowboy, zwinnym, błyskawicznym wprost ruchem zsunął się z wysokiej kulbaki i wpadł do łoży.

I zanim wółprzymna Anita zdołała pochwycić błyskawice jego oszalałego spojrzenia, cowboy odepchnął ją brutalnie na bok, wyszarpnął kanapkę spod Ronickiego i uniósłszy ją nad głowę, wpadł na arenę.

Przez chwilę zawahał się, nie wiedząc, co począć. Czy rzucić ową złowrogo tykającą maszynę na środek areny, a przez to ocalić najbliższe siedzące osoby, czy też cisnąć ją pomiędzy mrowie znienawidzonych bladych twarzy?

Ale oto przed nim stoi, jak skamieniały, trupio-blady dyrektor Humboldt. Stoi ten, który ów piekielny zamach uplanował na jego umiłowaną, choć i znienawidzona zarazem bladą miss...

Jack sprężył na nowo wszystkie mięśnie, podniósł da góry obitą, wzorzystym gobelinem kanapkę i skoczył w stronę Humboldta.

Nie zdążył jednak uderzyć. W tej samej bowiem chwili rozległ się straszny, ogłuszający huk i Jack, zarówno jak i Humboldt, zniknęli przed oczu widzów, rozdarci na tysiące krwawych strzępów.

Oczekujący niezwyklej sensacji widzowie mogli odprężyć napięte nerwy. Zerwała się burza niemilkających oklasków.

Spektakl się udał. Publiczność szalała.

Anita łkała cicho...

KONIEC